ROK XXIV.
Ogólnego zbioru Tom XCIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.

1899.

DRUK. i LIT. JANA COTTY,
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

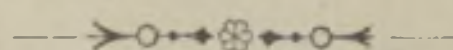
Zeszyt zawiera arkuszy 11¼.

Druk ukończono d. 30 stycznia 1899 r.



ILIADY

Pieśń XXII.



Śmierć Hektora.

Pamięci Ojca poświęca
Tłómacz.

Trojanie wpadli w miasto, pędząc jak jelenie,
Wodą znój spiekły chłodzą i gaszą pragnienie,
Wsparci na pięknych tarczach; Achaje zaś bliżéj
Pod mur się pomykają, a czynią z paiży
Ochronę, nad barkami dzierżąc tarcz wzniesioną.
Nieopodal od Troi popod Skajską broną
Ostał się jeno Hektor, wstrzyman zgubną dolą—
Więc Pelidzie naonczas rzekł Febus Apollo:
—„Przecz mię, synu Peleja, ścigasz chyżą nogą
Ty śmiertelny—mnie boga?! Gnasz nie wiedząc kogo!
Żem bóg—zaliś nie poznał, iż mnie tropisz srodze?
Czy o bój z Trojanami nie dbasz, którzy w trwodze
Pierzchli w miasto, gdy ty się ostajesz leniwie?!
Wszak mnie zabić nie zdołasz—mnie śmierć nie pożywie!”

Odpowiedział mu na to Achil prędkonogi:
—„Zmamiłeś mnie, Łuczniku! Ponad wszystkie bogi
Tyś mi jest najszkodniejszy. Gdyby nie to, że mnie
Od murów odwabiłeś, jeszczeby tu ziemię
Nie jeden gryzł, nim dopaść zdołałby Ilionu!
Mnieś o sławę przyprawił, ich zasię od zgonu
Wyrwałeś, zadufany, że ci nic nie zrobię —
Niechbym jeno mógł — srodze mściłbym się na tobie!”
Rzekł i ku miastu pędzi, pysząc się wspaniale.
Jak rumak rozhukany, kiedy sadzi w cwale
Wyciągnięty, jak struna, i w pełnéj uprzęży
Mknie przez błonia i wszystkich w gonitwie zwycięży,
Tak Achil w biegu nogi i kolana pręży.
Najpierwéj Priamowe oczy go ujrzały,
Gdy biegł przez błonia świetny, jak w żniwne upały
Owa gwiazda ogromna, co w jasności swojéj
Zaćmiewa inne, w nocy, gdy się krowy doi.
Psem Orionowym ona w ludzkiéj mowie zwie się,
Gore jasno, lecz wróżby złe za sobą niesie,
Bo nędznym śmiertelnikom zadaje niemoce:
Tak na piersi Achila w biegu śpiż migoce.
Jęknął starzec i bił się pięściami po głowie,
I wznosił je, w żałosnéj wyrzekając mowie,
I na syna miłego wołał. Ten u brony
Stał ciągle, bój z Achilem mając umyślony,
A starzec, wznosząc ręce, wołał nań co siły:
—„Hektorze, nie ostawaj! Mój synu! Mój miły!
Sam na sam w pojedynku nie walcz z mężem onym
Iżbyś zgonem nie poległ wnet nieuchronionym:
Pelida cię pożyje, mocniejszy od ciebie,
Mężobój! Gdybyś miły był bogom na niebie,
Jakoś jest mnie, to jużby ścierwo jego jadły
Psy i sępy, a mnieby troski z serca spadły.
Z wielu on i walecznych synów mnie ograbił:
Jednych sprzedał na wyspy, drugich mieczem zabił;
I dziś, gdy wojownicy wracają do Troi,
Napróżno upatruję, gdzie dwaj chłopcy moi,
Lykaon i Polydor; obu mi wydała
Dostojna Laoteja, niewiasta wspaniała;
Są-li w obozie żywcem pojmani w niewolę,
To ich okupem złota i srebra wyzwolę.

Tego mi nie brak doma, bo hojne dał wiano
Dostojny stary Altes za dziewką kochaną;
Ale jeśli polegli i poszli w dom Hada,
To biada mojéj duszy i matce ich biada,
Wszak my rodzice. Jednak dla trojańskiéj rzeszy
Zgon ich jest niczem, lud nasz wrychle się pocieszy,
Byleś ty nie legł ręką Achila zgładzony!
Więc w mury wnijdź, mój synu, i żyj dla obrony
I Trojan i Trojanek; nie przysparzaj chluby
Pelidzie i żywota nie dawaj do zguby!
Przeciebyś téż miał litość nad moją niedolą,
Bom — nieszczęsny — żyw jeszcze, ażebym za wolą
Ojca Kronidy patrzał w lat zgrzybiałych kresie
Na wszystkie owe klęski, które los przyniesie:
Na synów w pień rzezanych, dziewki brane w pęta,
Na domy w gruz lecące i na niemowlęta
O ziemię rozbijane wśród wrzasku i szczęku,
I synowe w Achajskich wijące się ręku,
Aż mnie psy na ostatku rozedrą w pobliżu
Bram wchodowych, gdy padnę, skłóty ostrzem śpiżu
Albo strzałą przebodzon, i ducha wyzionę:
Psy żarłoczne u stołu mojego żywione,
Krwi się mojéj opiwszy, legną u podwoi
Złością dyszące... Jużcić łacniéj to przystoi
Młodemu, kiedy w boju aresowym padnie
Przebity ostrzem śpiżu; we wszystkiém mu ładnie,
Nawet w trupiéj nagości; lecz gdy starca ciało
W poniewierce, gdy siwą skroń i brodę białą
I srom jego zbezcześci psiarnia i rozwlecze,
Toć już chyba najgorsze nieszczęście człowiecze!"
Tak rzekł starzec i włosy rwał żałością zdjęty
I targał; lecz w Hektorze duch trwał nieugięty.
Zaczém i stara matka wśród jęku i łkania
Trzęsącą ręką giezło na piersiach odsłania
A drugą wyschłe łono wskazując z daleka
I łzy lejąc, tak słowy lotnemi narzeka:
—„Hektorze, dziecię moje, niechaj cię pokona
Matczyny płacz i widok matczynego łona!
Uszanujże te piersi, które cię karmiły,
I wspomnij sobie na to, mój synaczku miły!...
Męża tego straszliwe odpieraj natarcie

Z po za murów, lecz w polu nie walcz z nim otwarcie.
Mężobój! Gdy cię w krwawéj pożyje potrzebie,
To nawet nie na marach opłaczemy ciebie!
Ja, com wydała ciebie, szczepie ukochany,
I żona twa, nabyta bogatemi wiany,
Z dala od ciebie będziem, gdy twój zawłok zmarły
Psy szybkie u danajskich statków będą żarły!"
Tak ona zawodziła żałosne lamenty
I skargi, lecz w Hektorze duch trwał nieugięty.
Zaczem ostał, Achila straszliwego czeka.
Jak w górach przed pieczarą czycha na człowieka
Żmij okrutny, obżarty jadowitém zielskiem,
Cały w kłębek się zwinął spierścienionèm cielskiem,
Wypręża się syczący i złość go nadyma
I przed pieczarą leży i łypie oczyma:
Tak Hektor, w którym żądze krwi chciwe nie gasną,
Czekał, o węgieł wieży tarcz oparłszy jasną,
I w duchu sam do siebie mówił utrapiony:
—„Biada mi, jeśli wnijdę za mury i brony:
Polydam wnet mnie mową dopadnie zelżywą;
Wszak mi radził do miasta Trojan wwieść co żywo
Nieszczęsnéj owéj nocy, gdy powstał na nowo
Boski Achil. Ja radę odrzuciłem zdrową,
Lud, niebaczeniem mojém, gnałem ku zatracie.
Trojanom i Trojankom w powłóczystéj szacie
Nie śmiem dziś w oczy pojrzéć, bo w pospólstwie niskiém
Może mi pierwszy lepszy bluznąć pośmiewiskiem:
— Toć to Hektor, co w swojéj zadufany sile
Niebacznie na zagładę podał ludu tyle!
Tak rzeką. — Raczéj placu dotrzymam przystojnie,
By sam na sam z Achilem potykać się zbrojnie,
A w onéj walce — albo: jego zabić muszę,
Albo w obronie miasta sam położę duszę...
Gdybym tak niechał tarczy wypukłéj i z głowy
Zdjął hełm ciężki i oszczep zatknąwszy śpiżowy
Podle muru, bezzbrojnie bieżał na spotkanie
Mężnego Achillesa, ręcząc, że dostanie
Helenę i skarb wszystek, jaki z nią był wzięty
I do Troi zwieziony pławnemi okręty
Za sprawą Aleksandra, skąd waśń cała idzie.
Niechby się wszystko nazad wróciło Atrydzie,

Krom tego, niechby sobie Achajscy synowie
Mienie, które jest w mieście, zabrali w połowie,
A starszyzna trojańska zaprzysięże mi to,
Że połowa rzetelna i nic nie ukryto
Z dobytku, jakikolwiek leży w mieście miłém...
...Ale dokądże ja się w myślach zapędziłem?
Nie doń mi w prośby chodzić: on się nie nakłoni,
Nie oszczędzi, ubije, gdy wyjdę bez broni!
Jak niewiastę mnie zarżnie, jeśli zbroję zdejmę —
Więc ja z nim w rozhowory wchodzić mam uprzejme?
O skałach mu i drzewach rozpowiadać będę,
Jak dziewka, kiedy z chłopcem prowadzi gawędę?!
— Na bój mi się gotować, a wnet ujźrym snadnie,
Komu z ręki Zeusowéj zwycięstwo przypadnie!"
Tak dumał. Achil zasię następował z blizka,
Podobny Aresowi, co szyszakiem błyska,
Wojennik przeraźliwy... W prawicy nad głową
Trząsł Pelińską włócznią tęgą jasionową
I biegł świecącym śpiżem opancerzon cały,
W którym blaski, jak ognie, lub jak zorze grały;
Widząc go Hektor, zląkł się i pełen bojaźni,
Nie śmiał dostać i bieżał z pod bramy co raźniéj,
A zanim Achil w nogach zadufany zwinnych. —
Jak w górach jastrząb, szybszy od skrzydłaczów innych,
Za płochliwą gołąbką chyżo się ugania;
Ta ucieka, ten ostre wydając krzykania,
Raz w raz do niéj przypada, rad ją porwać w szpony:
Tak Achil nań przypadał, a Hektor strwożony
Mknął wzdłuż murów Trojańskich gibkiemi kolany...
Już minęli strażnicę, już i wysadzany
Figami gaj przewiewny; drogą, jak mur długi,
Biegli, gdzie z jasnych krynic dwie tryskają strugi
I płyną do Skamandru wirowatéj głębi:
Z tych jedna warem kipi, opar się z niéj kłębi,
Jak z dymiącego ognia; owa zasię druga
I w letni skwar, jak grady zimna, ciecze struga,
Albo jak śniegi mroźne, albo jako lody;
Podle nich pralnie były, pełne żywéj wody,
Piękne, kamienne; dawniéj świetną przyodziéwę
Zwykły w niej prać trojańskie dziewki urodziwe,

A z nimi białegłowy,—w te czasy spokojne,
Nim synowie Achajscy przyszli niosąc wojnę...
Już przegnali: ten zbiega, ów za nim w trop mierzy,
Zbiega mężny—mężniejszy, co pogonią bieży.
Pędem szli—nie o bydlę, nie o skórę byczą,
Co pospolitą bywa dla gońców—zdobyczą,
Jeno na grę stawiony był w onéj pogoni
Dech i żywot Hektorów, poskramiacza koni.—
Jak konie z niedzielonym rogiem u kopyta
Mkną w skok naokół szranków—a dań znamienita
Stoi za dank: więc trójnóg, albo białogłowa,
Gdy gonitwa sprawować ma się pogrzebowa—
Tak oni trzykroć wokół obiegali mury
Priamowego miasta. A w on czas, gdy z góry
Przyzierali się onym gonitwom bogowie,
Rodzic ludzi i niebian rzekł im w téj osnowie:
„Biada! Rycerza mego—własnemi oczyma
Gdy widzę ściganego, ból mi serce ima:
Lituję się Hektora, bowiem udźce wole
Palił mi na zrębiastém gór Idajskich czole,
Lub na grodzie wysokim. Dziś go wiatronogi
Achil wkoło Pergamu żenie... Hejże bogi!
Mówcie, a powiadajcie, zali go wybawię
Od zgonu—na ostatnią zgubę-li zostawię
Pelidzie, acz po prawdzie, rycerz jest nie lada!"
Rzekła mu złotobrewa Atene Pallada:
—„Ojcze, błyskawicowy chmur posępnych panie,
Cóżeś rzekł?! Śmiertelnika, co nieodwołanie
I z dawien dawna oddan przeznaczonéj Doli,
Chcesz wyrwać strasznéj śmierci?! Czyń wedle swéj woli,
Lecz to innym niebianom nie po myśli padnie!"
Zeus onéj odpowiedział, co chmurami władnie:
—„Ukój się dziecię miłe, o Tritogenejo!
Com rzekł, to nie w złéj myśli—zaczém niech się dzieją
Twe chęci: czyń co-ć serce przykaże—a żywo!"
Tą mową pożegł jeszcze Atenę skwapliwą;
Ze szczytów olimpijskich biegła tedy skora,
Achil zasię przyganiał zawzięcie Hektora.
Jak pies, kiedy jelonka ruszy z legowiska,
Śród parowów i dolin dopada go zbliska

I choćby mu się nawet przytaił w gęstwinie,
Znów z ukrycia wytropion, już się nie wywinie—
Tak przez prędkonogiego Achila goniony
Hektor ujść nie mógł, bowiem ilekroć pod brony
Dardańskie chciał się przymknąć, pod budowne mury,
By go swoi strzałami obronili z góry —
Tylekroć Achil krokiem zabiegał mu z przodu
I gnał ku błoniom, biegnąc wciąż od strony grodu.
Jako we śnie kto marzy, że ściga człowieka
I wciąż go próżno ściga, ów groźno ucieka—
Tak ci: jeden dogonić, ujść nie może drugi.
Zali Hektor unikać mógłby czas tak długi
Doli swojéj śmiertelnéj, gdyby nie w odwodzie
Apollo, który przybiegł w ostatniéj przygodzie
I zapalał go męstwem, krzepił mu golenie?
Wtém Achil boski głową dał ludom skinienie,
Iżby nikt na Hektora nie wypuszczał strzały
I ubiegłszy Pelidę, nie odjął mu chwały.
Gdy po raz czwarty źródła mieli mijać w cwale,
Zeus dwa losy śmiertelne kładł na złote szale:
Achilla i Hektora los, poskromcy koni—
I ujął w środku, ważąc. Oto w dół się kłoni
Szala dni Hektorowych i do Hadu idzie;
Odstąpił go Apollo—zasię ku Pelidzie
Bieżała złotobrewa bogini Pallada
I stając przy nim, lotne słowa mu powiada:
—„Teraz ufam, Achilu pełen świetnéj sławy,
Ulubiony Zeusowi—że wnet między nawy
Achajskie uniesiemy ogromne zaszczyty,
Pokonawszy Hektora, acz jest walk niesyty.
Już on sobie ucieczką życia nie ocali,
Choćby z bólu Apollo, który sięga z dali,
Wił się a wił przed Zeusem dzierżącym Egidę!
Stań tedy, wytchnij sobie—a ja zasię idę
I znaglę go, by z tobą walczył w żywe oczy..."
Tak doń rzekła Atene i uległ ochoczy.
Stanął wsparty na włóczni ze spiżowym grotem,
Ta zaś odszedłszy odeń, podbieżała potém
Do boskiego Hektora, lecz Deifobowe
Udała sobie kształty i chrapliwą mowę

I stając przy nim, słowa złotne mu powiada:
—„Bracie, dziś Achil szybki srodze ci dojada,
Wkoło grodu Priama gnając cię zażarcie,
Lecz stańmy wraz i społem wstrzymajmy natarcie."
Rzekł jéj potężny Hektor, co szyszakiem błyska:
—„Deifobie, tyś zawżdy był mi z rodowiska
Całego najmilejszy między bracią oną,
Co Priamowi była z Hekaby zrodzoną,
A ninie tém cię drożéj w sercu mojém cenię,
Że ujźrawszy na oczy moje utrapienie,
Ważyłeś się za mury wynijść, by w przygodzie
Wspomódz mnie, kiedy inni zostali się w grodzie!"
Na to mu złotobrewa Atene odpowie:
—„Bracie, chociaż i rodzic, matka i druhowie
Zaklinali mię wszyscy, biorąc za kolana,
Bym ostał, bo ich trwoga zdjęła niesłychana,
Lecz mnie tu serce żalem przeniknione pędzi—
Dostój mu placu, ręka niech włóczni nie szczędzi!
Ujźrym, zali nas Achil zmoże i łup krwawy
Zdarłszy, na wydrążone poniesie go nawy,
Czyli nasz oszczep jego samego przebodzie."
To wyrzekłszy Atene, szła chytrze na przodzie—
Oni zaś, gdy naprzeciw przystąpili zbliska,
Pierwszy ozwał się Hektor, co szyszakiem błyska:
—„Już ja się ciebie, synu Peleja, nie zlęknę,
Jak pierwéj, kiedy miasto Priamowe piękne
Trzykroć obiegłem, nie chcąc mieć z tobą potkania;
Ale teraz gorące serce mnie nakłania,
Bym ci stanął, więc padnę lub zabiję ciebie!
Wszelako poprzód bogów wezwijmy na niebie,
Którzy są świadki przysiąg i przymierzów straże—
Ja twych zewłok hańbiącą ręką nie znieważę,
Gdy mi Zeus da przewagę, iżbym duszę twoję
Z ciała wydarł—Achilu, ja ci jeno zbroję
Cudną złupię, lecz trupa twojego odemnie
Mogą zabrać Achaje—i ty czyń wzajemnie!"
Z pod brwi nań patrząc, odrzekł Achil wiatronogi:
—„Nie czyń umów, Hektorze, na śmierć myśmy wrogi!
Toć lwów z ludźmi przysięga nie kojarzy święta,
Ani z wilkami zgody nie mają jagnięta,

Jeno się nienawidzą wzajem nieprzerwanie—
Tak między mną a tobą zgoda nie nastanie,
Ni przysiąg między nami nie będzie tak długo,
Aż jeden z nas polęże i krwi swojéj strugą,
Aresa, wojennika strasznego, napoi!
Całego męstwa użyj, boć teraz przystoi
Okazać, żeś oszczepnik i szermierz nie lada;
Ucieczka tu się nie zda, wnet bowiem Pallada
Włócznią swoją cię zgładzi i weźmiesz zapłatę
Pospólną za te druhy i powinowate,
Których ty, gwałtowniku, zbawiłeś żywota!"
Tak powiedział—z rozmachem długą włócznią miota.
Postrzegł się Hektor świetny, uszedł ciosu zdrowo,
Przyniżywszy się w porę, a włócznia nad głową
Śmignęła mu spiżowa—i ostrzem zaryta
Utkwiła za nim w ziemię; wtém ją zaraz chwyta
I Achilowi nazad oddaje Pallada
Tak, iż nie widział Hektor, co ludami włada.
Do śmiałego Pelidy Hektor się ozowie:
—„Cóż! chybiłeś Achilu, ty w którym bogowie
Mają swe podobieństwo. Pono nie objawił
Zeus tobie mojéj doli, jakoś hardzie prawił.
Zaskoczyłeś mnie mową szczekliwie i zdradnie,
Tusząc, iż we mnie siła i serce upadnie.
Lecz ja nie podam tyłu w przerażeniu ślepém
I nie w plecy mnie zdołasz ugodzić oszczepem,
Bo wręcz na ciebie natrę: ubodziesz mię raczéj
W samą pierś, jeśli bóg ci zwycięstwo przeznaczy.
Strzeż się teraz méj włóczni! Bodajżem ją całą
Wraził w ciebie i przebił na wskroś twoje ciało!
Zwróciłaby się wojna dla Trojan zwycięsko,
Gdybyś padł, który jesteś ich najgorszą klęską!"
Tak rzekł i długą włócznią z rozmachem uderza.
Nie chybił, Achilesa w sam środek puklerza
Ugodził, ale grot się odbił od paiży
I padł daleko. Hektor, próżno pocisk chyży
Stradawszy z ręki, zląkł się i stanął stropiony,
Bo już włóczni z jasionu nie miał do obrony.
Co sił na Deifoba z jasną tarczą woła
O włócznię, lecz go nigdzie nie widno dokoła.

Więc myślą przeznał podstęp i rzekł w téj osnowie:
—„O biada! Na zagładę dali mnie bogowie!
Zdało się, że Deifob stał przy moim boku,
Lecz on w murach, Atene zaś mojemu oku
Zadała taką złudę. Oto niedaleka
Okrutna śmierć! Napróżno kto przed nią ucieka.
Wszakci Zeus i syn jego, co wdal strzały miece,
Radzi mnie dotąd w swojéj chowali opiece.
Dziś mnie dola dosięga. Lecz bez walki krwawéj
Nie polegnę zaiste, ani próżen sławy;
Albowiem wprzódy dzieło dokonam ogromne,
O którém będą czasy wspominać potomne!"
Tak rzekł i porwał ostry tęgi miecz od boku
I zebrał się sam w sobie i rzucił się w skoku,
Podniebnemu orłowi podobien zupełnie,
Gdy zająca lub jagnię o kudłatéj wełnie
Spatrzy przez czarne chmury i na dół się ciska—
Tak Hektor naprzód pędzi—a miecz w garści ściska.
Skoczył także i Achil, gniewem zapalony
Straszliwym, nastawiając—piersiom dla obrony —
Tarcz wyrabianą cudnie, i chylił błyskliwy
Hełm o czterech kabłąkach strojny, w sute grzywy
Złociste, co się trzęsły w tę i w ową stronę,
Przez Hefajsta na czubie gęsto nasadzone.
Jako Hesperos świetny, co na niebie stoi
Gwiazda nad gwiazdy—w nocy, gdy się krowy doi:
Takie odblaski w grocie hartownym pałały,
Gdy włócznią trząsł w prawicy Achil zagorzały
I czyhał na boskiego Hektora zawzięcie,
Patrząc żywego ciała, by snadniéj dać pchnięcie.
Lecz Hektorowi zbroja ze spiżu wspaniała
Mało iże nie całe ciało zakrywała.
Zdarł ją był z Patroklosa, gdy go swą przewagą
Zmógł i ubił. Z pod zbroi szyję tylko nagą
Widać było w tém miejscu, kędy obojczyki
Zszedłszy od ramion wraz się łączą niżéj grdyki:
Tam jeśli pchnąć, zagłada pewna jest i skora.
W to miejsce boski Achil ugodził Hektora,
Kiedy nań ów nacierał. I ostrze mu rani
Na wylot szyję miękką, ale saméj krtani

Nie przebiła mu włócznia grotem z ciężkiéj miedzi,
I mógł jeszcze słowami dawać odpowiedzi,
Gdy go było zagadnąć.—Więc się w kurz obalił
A boski Achil nad nim chełpliwie się chwalił:
—„Hektorze, zdało ci się, że z Patrokla zbroję
Zdarłszy, bezkarnie ujdziesz, bo ja zdala stoję
Na uboczu. Więc lekce rozumiałeś o mnie—
Głupcze! Toć mściciel po nim jam ostał, przytomnie
U wydrążonych statków siedzący zdaleka,
Co ci kolana podbił! Zaczem porozwleka
Ciebie haniebnie psiarnia i podrą cię sępy
A jemu pogrzeb dadzą Achajskie zastępy!”
Odrzekł mu świetny Hektor, ledwie łapiąc tchnięcie:
—„Na dech twój, na kolana, na rodziców klnę cię!
Podle naw psom Achajskim nie dawaj mnie łupem,
Raczéj miedzi a złota zażądaj okupem;
Rodzic mój ci zapłaci i macierz wspaniała,
Jeno im wzamian nie broń zabrać mego ciała,
By mężowie trojańscy wraz z białemi głowy,
Trupowi memu czyniąc obrzęd pogrzebowy,
Oddali mnie na ogień żałobnéj pożogi!”
Odrzekł mu z pod brwi patrząc Achil wiatronogi:
—„Ty mnie psie nie zaklinaj na moje kolana,
Ni na rodziców moich, bo chuć rozkiełznana
Ima mnie, by się pastwić żywcem na twém mięsie
I za to, coś mi zdziałał, żreć cię kęs po kęsie!
Nie masz, kto psy od martwéj głowy twéj odżenie,
Nie masz okupu ani w dziesięćkrotnéj cenie,
Ani w dwudziestokrotnéj! Choćby mi na szali
Ważyli skarb i większy dać obiecowali,
Nie odkupi Dardańczyk Priam twego ciała
Nawet na wagę złota, i matka wspaniała
Na marach cię nie złoży wśród łez i lamentu,
Jeno cię psy i sępy rozedrą do szczętu!”
Konając rzekł mu Hektor, co szyszakiem błyska:
—„Znam cię teraz i widzę, że nic nie uzyska
Prośba moja, bo serce masz w piersiach żelazne—
Bacz jeno iżbyś bogi miał sobie przyjazne
W dniu, gdy Febus Apollo przez Parysa ramię,
Acześ jest mężny, w Skajskiéj ubije cię bramie!”
Tak rzekł i śmierć nań padła, dopełniając kresu,

I dusza z członków uszła, idąc do Hadesu,
Rozpłakana nad losów okropnych żałobą,
Sił pełnię ostawując i młodość za sobą.
Już do trupa rzekł boski Achil temi słowy:
— Zgiń! Zcześnij ! Przeznaczenie jam przyjąć gotowy.
Spełni się, gdy Zeus zdarzy i inni niebianie!”
Tak mówiąc wyrwał z trupa włócznię tkwiącą w ranie,
Odrzucił ją i zbroję z ramion jego zwleka
Skrwawioną. Więc Achaje zbiegli się zdaleka,
Dziwiąc się postawie cudnéj i urodzie
Hektorowéj. Kto przejdzie ostrzem, go ubodzie,
I jeden ku drugiemu się z tém słowem zwraca:
—„Hej, hej! Spotulniał Hektor, lada kto go zmaca!
Nie taki był, gdy statki ogniem nam niweczył!”
I z onem słowem trupa ten i ów kaleczył.
Achil zaś, gdy ze zbroi odarł go śpiżowéj,
Stając wpośród Achajów, rzekł lotnemi słowy:
—„Argiwów—naczelnicy i wodzowie mili,
Gdy mi bogowie męża pożyć dozwolili,
Co więcéj klęsk nam zadał, niźli inny który,
Więc daléj-że na miasto, kusić się o mury,
Byśmy Trojan zamysły poznali widomie:
Zdadzą-li gród wysoki, po wodza pogromie.
Czy trwać i bez Hektora zechcą w mieście miłém —
Ale dokądże ja się w myślach zapędziłem?!
Toli u naw Achajskich Patroklów trup świéży,
Nieopłakany jeszcze, niepogrzebion leży!
Nie przepamiętam o nim, póki z żyjącemi
Mieszkam i póki nogi noszą mnie po ziemi —
I w Hadzie, gdyby zmarli poszli w zapomnienie,
Ja pamięci o druhu miłym nie odmienię!
Raźno, syny Achajów! Śpiewając pieśń sławy,
Z trupem na wydrążone powracajmy nawy —
Oto dzisiaj ogromną zyskaliśmy chwałę:
Hektor ubit, którego czciło miasto całe
I mieli dlań Trojanie uwielbienie boże!”
Tak rzekł i czyn okropny spełnił na Hektorze:
U nóg mu ścięgna przebił od kostki do pięty
I rzemień byczy przewlókł, zaczem przeciągnięty
Przymocował do wozu tak, iż głowa w pyle
Zwisała. Na wóz wstąpił, a za sobą w tyle

Złożył przesławną zbroję, zaciął biczem konie,
A te niezwłocznie cwałem pomknęły przez błonie —
Trup wlókł się przez tumany, a włosy czarniawe
Rozmiotły się na głowie strąconéj w kurzawę,
Na głowie niegdy cudnéj! A dziś Zeus pozwalał,
Że na ziemi ojczystéj wróg w pyle ją walał.
Tak było jego ciało w kurzu splugawione. —
Więc matka z głów swych świetną zerwawszy zasłonę,
Precz od siebie rzuciła i targała włosy,
I na syna patrząca wyła w niebogłosy.
Załośliwie zawodził ojciec jego miły,
A rzesze, jęk i lament po mieście czyniły —
Z tém chyba przyrównane wrzaski te być mogą,
Jakby wzgórzysty Ilion zajął się pożogą
I cały do cna płonął. — Rozpaczą rażony,
Rwał się biedz Priam stary za Dordańskie brony
I z ciężkością zdołali utrzymać go ludzie;
Wszystkich błagał, w ulicznym tarzając się brudzie:
I z imienia zwał męże stojące przytomnie:
—„Puśćcie, najmilsi! Pójdę! Nie trapcie się o mnie!
Ja z miasta sam wynijdę i między okręty
Achajskie prosto pójdę, będę błagał zgięty
Onego okropnika, onego mordercę!
Może wiek mój sędziwy zmiękczy jego serce
I starość żal obudzi w tym krwawym człowieku.
Toć on także ma ojca w tak zgrzybiałym wieku,
Peleja, co go spłodził i chował troskliwy
Na zgubę Trojan. Więcéj, niż inne Achiwy,
On jeden klęsk mi zadał: pomordował przecie
Tylu synaczków moich w lat zielonych kwiecie;
Żal mi wszystkich! lecz nie tak, jako tego oto!
Pono do Hadu zstąpię, strącony zgryzotą
Po Hektorze. Bogdaj był skonał na mém ręku,
Byśmy żal wypłakali, syci łez i jęku,
Ja i matka nieszczęsna, co mi go wydała!"
Tak rzekł płacząc, i rzesza jęknęła z nim cała.
I poczęła Hekabe łkać w Trojanek gronie:
—„Dziecię, jakoż mi teraz żyć, po twoim zgonie
W rozpaczy?! Tyś mi chlubą we dnie był i w nocy,
Trojanom i Trojankom zawżdy ku pomocy
Trwałeś w mieście ojczystém przez wszystkie swe lata,

A dziś dola dosięga i śmierć ciebie zmiata!“
Tak mówiła ze łzami... Jeszcze nie świadoma
Hektorowa małżonka była w on czas doma,
Bo nikt z przyjaciół z wieścią nie przyszedł był z miasta,
Że mąż ostał za bramą. Tak tedy niewiasta
Tkała — siedząc w pośrodku wysokiéj komnaty —
Dwoisty płaszcz z purpury w różnobarwne kwiaty.
I dziewkom pięknowłosym dała rozkazanie,
Stawić trójnóg nad ogniem, iż Hektor zastanie
Ciepłą kąpiel, po bitwie gdy przyjdzie z powrotem.
Nieszczęsna! Ona jeszcze nie wiedziała o tém,
Że daléj do kąpieli, niźli do zagłady
Było mu, którą poniósł za sprawą Pallady
Złotobrewéj Atene z Achilesa ręki!
A wtém wrzaski ją doszły od murów i jęki...
Nogi zgięły się pod nią, igła z rąk wypadła,
I pięknowłose dziewki tém słowem zagadła:
—„Wstańcie i pójdźcie za mną. Wyjźrę, co się stało?
Słychać krzyk świekry. Serce do ust mi o mało
Nie wyskoczy — drętwieją podemną kolana...
Snać jakaś klęska synom Priama zadana —
Bodajżem to wyrzekła na wiatr, lecz się trwożę,
Iż dzielnego Hektora Achil odciął może
Od miasta w pojedynkę i ku błoniom gna go,
I koniec czyni z jego nieszczęsną odwagą,
Co go w boju ponosi. Toć on zawżdy śmiele
Przed hufcem wojowników harcował na czele
I nie dał się dzielnością doścignąć nikomu!”
Tak powiedziawszy, biegła, jak obłędna, z domu:
Serce ją gnało — dziewki biegały w jéj ślady...
Na wieżę weszła między Trojańskie gromady,
Z lękiem patrzy: na murze stojąca wysoko,
Ujrzała go! Rumaki trupa jego wloką
Z pod murów bezlitośnie wloką go w tę stronę,
Gdzie Achajskie korable stały wydrążone.
Oczy jéj zaszły nocą, zatętniały uszy,
Runęła wznak i ledwo nie wytchnęła duszy.
I nagle jednym ruchem zdarła sobie z głowy
Wspaniałe stroje: czołko, nagłownik siatkowy,
I zaplotek ze sznurów misternie uwity,
I rańtuch od złocistéj dany Afrodyty.

W on dzień, kiedy złożywszy wiano niezliczone,
Z domu Eetiona pojął ją za żonę
Hektor błyszczący hełmem. — Świeście Hektorowe
I siostry, obstąpiwszy nędzną białogłowę,
Schwyciły ją na ręce, by nie padła z wieży.
Gdy w nią wróciło życie i dech wzięła świeży,
Łkająca, tak w Trojanek zawodziła kole:
—„Hektorze! O ja biedna! Na równą niedolę
Zrodzeniśmy: ty w Troi, domostwie wysokiém
Priama — ja zaś w Tebach pod lesistym stokiem
Plakosu w Eetiona domu, co z powicia
Chodował — sam nieszczęsny, nieszczęsną — do życia.
Było mi się nie rodzić! — Zszedłeś do podziemi,
W dom Hada, i zgnębioną żalami srogiemi
Ostawujesz mnie, wdowę, w samotnych komnatach,
A synaczek nasz mały—w niemowlęcych latach,
Któregośmy wydali biedni! — Ni on tobie,
Hektorze, ni ty jemu będziesz ku ozdobie,
Skoro go odumarłeś. Choćby opłakaną
Wojnę achajską przeżył — i tak nie przestaną
Ciężyć nad nim na zawsze krzywdy i niedole.
Kto bądź wydrze majętność, worze mu się w rolę
Sierocy los, iż chłopca rówieśni odtrącą,
Więc spuści wzrok i liczka zrosi łzą gorącą;
Głodny, do towarzyszów ojcowskich przybieży,
Za płaszcz pociągnie, albo za rąbek odzieży,
Aż mu któryś z litości poda czarkę małą:
Wargi zwilżyć — lecz w gardle kroplą nie postało,
A pieszczoch, co przy ojcu i matce się chowa,
Uderzy go, wyżenie i zelży w te słowa:
—„Ruszaj precz! Ojca twego nie masz tu przy stole!“
Tedy do matki wdowy płaczące pacholę
Powróci — Astyanax, który wprzódy siadał
Na kolanach ojcowskich, zawżdy zasię jadał
Najtłustsze kąski z owiec i móżdżki jagnięce —
A gdy snem zmorzon kończył igraszki dziecięce,
To w ramionach piastunki zasypiał nasz synek
I na miękkiej pościeli w łożu miał spoczynek,
I we wszystko najlepsze opływał do woli —
Teraz — ojca stradawszy, zażyje niedoli
Astyanaks—„Wódz Miasta”, bo takie przezwanie

Dali synowi twemu przez wdzięczność Trojanie,
Iż obrońcę swych murów i wież mieli w tobie;
A dzisiaj przy korablach o wygiętym dziobie,
Zdaleka od rodziców stoczą ciebie roje
Robactwa i psy podrą nagie ciało twoje.
A przecie szat bez liczby jest u ciebie doma
Cienkich, cudnych, utkanych białogłów rękoma!
O, w żywy ogień cisnę szaty z drogich tkanic,
Gdy ty ich nie masz oblec, wszystkie są mi na nic —
W Trojan, w Trojanek oczach spłoną dla twéj chwały!"
Rzekła z płaczem, a wkoło niewiasty jęczały...

Lucyan Rydel.

Kraków, d. 22 X, 1898.



ARTUR GRUSZECKI

JAKO POWIESCIOPISARZ.

I.

Gdy w drugiéj połowie r. 1893 ukazała się pierwsza większa powieść Artura Gruszeckiego, p. t. „Tuzy”, krytyka nie miała z nią wiele do czynienia. Autor dobrze już był znany ogółowi naszych piśmienników, nie tylko jako redaktor i wydawca „Wisły” i „Wędrowca” (za świetnych tego pisma czasów)—lecz téż jako publicysta obozu postępowego, ostro zazwyczaj występujący przeciwko tandecie wyrobów tegoczesnéj beletrystyki polskiéj, szczególnie przeciwko téj jéj części, która pod mianem szkół mieszanych, przejściowych chwiejnie i niepewnie błąka się podziśdzień pomiędzy zanikającym idealizmem dawnego autoramentu, a nieustalonym ralizmem nowych trybów wytwórczych.

Niekiedy w bieżących takich sprawozdaniach, które zasługiwałyby z pewnością na zebranie w osobną całość książkową, Gruszecki usiłował streścić i uogólnić swe poglądy i swe zarzuty. W jednem z wielu, uderzając przedewszystkiém na obfitość produkcyi w beletrystyce polskiéj najświeższéj doby, powiada, że niewinnéj zkądinąd pokusie pisania powieści, nowel, szkiców powieściowych i t. d. ulega u nas każdy—a przedewszystkiém każda—nieco mocniejsza w ortografii. Gromadzi się w ten sposób suty materyał ka-

talogowy, wyrastają sławy jednodniowe, od rogatki do rogatki, w rzeczywistości atoli, o ile szybko wzmaga się ilość, o tyle jakość nie dopisuje pod żadnym względem, ani w pomysłach ani w wykonaniu. Utwory tych naszych „znanych", mniéj znanych i zupełnie nieznanych autor sprowadza do dwu grup głównych. Pierwszą i liczniejszą stanowią powieści dążnościowe, moralizatorskie, nauczające, kaznodziejskie—w tém znaczeniu, że w nich morał, nauka, zgoła tendencya wszelka, zamiast wypływać z objektywnego toku przedstawienia wypadków, narzuca się jako ich regulator i przewodnik. Pisarze téj grupy—powiada—uważają powieść za organ, za katedrę do wypowiadania prawd i zasad, bądź osobistych, bądź ogólnych, zmierzających do poprawy społeczeństwa, do wskazania mu stron ujemnych lub dróg dodatnich. Powieść nie jest tu sama sobie celem, wchodzi na służbę idei, przeznaczona do jéj rozpowszechnienia i zdobywania dla niéj nowych zwolenników. Do téj kategoryi należą całe szeregi opowiadań, mających na widoku zachęcenie: dzieci np. do posłuszeństwa, szanowania starszych, wczesnego wstawania i t. d., dorosłych zaś do pracy organicznéj, trzymania się ziemi, emancypacyi kobiét, pogodzenia się z żydami, rozwijania przemysłu i handlu; inne znowu wykazują złe skutki pewnych uczuć, nałogów lub tradycyi, szkodliwych jednostce, rodzinie czy narodowi. Powieści te, pisane z większym lub mniejszym talentem, budowane są zazwyczaj według przepisów estetyki przestarzałéj, posiadają akcyę szablonową, a bohatérów prowadzą zawsze na pasku z góry wytkniętych, górujących modeł powszechnie-etycznych, specyalnie religijnych, niekiedy abstrakcyjno-filozoficznych. Drugą grupę charakteryzuje zwyczajna, prosta bajka. Byle był zajmujący wątek, ciekawe epizody, byle wstrząsnąć nerwami mniéj wybrednych czytelników lub zabić nudę wybredniejszych — to wystarcza. Okrom tajemnic podsłuchanych z za parawanu, zbrodni nie wykrytych przez policyę, kryminałów wypaczających naturę ludzką, wchodzą tu jeszcze ulubione „zdarzenia" z życia szlacheckiego, miejskiego lub żydowskiego, traktowane humorystycznie, dramatycznie lub tragicznie. Budowa powieści obliczona najpospoliciéj na interesujący „ciąg dalszy". Autor, gwoli naczelnego tego przykazania, gotów jest każdéj chwili bogato lub nieszczęśliwie ożenić swego bohatéra, zbogacić go lub zubożyć, uśmiercić lub odrodzić. Do tego również działu należą przeważnie powieści historyczne, które autor z nadmiarem już przesady nazywa maskaradą mniéj lub więcéj udatnych archaicznych ubiorów, scen i wyrazów. Oprócz nazwy—dodaje—powieści te nie mają nic wspólnego z historyą; „jest to bal kostjumowy

ludzi dzisiejszych, całe zaś bogactwo i rozmaitość kostjumów zawisły od składu garderoby w głowie pisarza"...

Wymagania i warunki, jakie Gruszecki nowoczesnéj powieści postawił, nie myśląc jeszcze zapewne o tém, że jemu samemu wypadnie kiedykolwiek się do nich zastosować, są napozór proste, naturalne, znane: prawda i artyzm—nic więcéj. Ale gdy wnikniemy w istotę dwu tych godeł, trudność zadania nietylko wyrasta po nad poziom zdolności i możliwości przeciętnie-utalentowanéj, lecz wkracza poniekąd na obszary, gdzie jedynie genialność swobodnie obracać się zdoła,—ona, która żadnych zgoła reguł nie zna i żadnych granic nie szanuje. Artyzm twórczy—powiada w jedném miejscu autor „Tuzów", „Rugiwojskich", „Kretów" i „Szachrajów"—zna tylko jedną miarę, jedno kryteryum: jest niém prawda,—prawda uczuć, prawda obserwacyi, prawda logiki. Nie znaczy to, by przywilej prawdy w powieści posiadał idealizm, realizm, naturalizm, czy inna jaka szkoła... Szkoła?—ależ jest tylko jedna. Swój talent czy temperament, swoją indywidualność wyrażać w formie jak można najwłaściwszéj, jak można najodpowiedniejszéj do przedmiotu—i jak można najzrozumialszéj dla wszystkich... Powieść, z przeznaczenia swego, jest zawsze obrazowém odbiciem życia potocznego, rzeczywistości powszedniéj; a wszakże, pomimo to, „najfantastyczniejsza postać, najnieprawdopodobniejsze zdarzenia stają się pięknemi pod ręką artysty, gdyż on je robi prawdziwemi. I odwrotnie, najzwyklejsza, codzienna, podpatrzona i zanotowana historya (bodajby dwojga kochanków) będzie tylko—pod piórem partacza—wymarzoném, bezcielesném, bezkrwistém opowiadaniem, woskową figurą z budy jarmarcznéj"...

Słowem, twórczość powieściowa ma w sobie coś z przymiotów owego młyna filozoficznego, w którym Trentowski obiecywał niegdyś nawet stare brzydkie baby przemléć na młode i piękne dziewoje. Ale w takim razie każda na czémś stalszém oparta ocena dzieła wychodzi na oczywiste niepodobieństwo. Indywidualizm, subjektywizm, jaźń artystyczna, bezbrzeżny polot swobody kreacyjnéj wchłania w siebie, przetapia w sobie i z sobą unosi tak dalece wszystkie swe podwaliny i ściany objektywne, przedmiotowe, że możemy być jedynie niemymi świadkami cudownego owego przeobrażenia,—nigdy jego sędziami. Wprawdzie, niektóre z tych podwalin i ścian Gruszecki usiłuje wrócić na miejsce, odszukać lub odbudować nanowo, ale się to mu udaje w części tylko i na bardzo krótko, — dopóki duch twórczy, który *flat ubi vult*, znowuż wszystkiego nie powywraca i nie porozpędza. „Niema w życiu faktu—pisze nasz autor,—którvby nie miał swych przyczyn i skutków, więc

i w powieści prawo to jest warunkiem nieodzownym. I jak w naturze niema przeskoków, jest tylko konsekwencya, jak w życiu realném każdy osobnik posiada swe właściwości ruchu, mowy, uczuć,— tak i w powieści każda postać powinna być z sobą zgodną, konsekwentną, posiadać swój język, ruch, uczucie, barwę"... Doskonałe wskazanie, ale zabierzmy się do jego realizacyi, a zobaczymy, że dowolność, żeby nie powiedzieć samowolność a nawet swawola osobistéj rzutkości twórcy, jego *quod ego* popsuje nam zaraz wszystkie rachuby objektywne. Jakoż, zaraz od punktu czytamy w Gruszeckim: „W tém jest wielkość, w tém jest twórczość artysty, że z całego morza faktów i spostrzeżeń—nikłych, drobnych, codziennych, potrafi wybrać te, które rzeźbią i charakteryzują daną osobę, rzecz lub uczucie"... Trafność wyboru!—w co trafność i według czego wybór?

Po za temi kwestyami naczelnemi, reszta rozumowań lub pewników rozszerza tylko i wydłuża rusztowania budowy powieściowéj, któréj plan główny, układ części, szczegóły ornamentacyjne— wciąż pozostają zawieszone w próżni przedmiotowéj, oddane na łaskę i niełaskę podmiotowości genezyjnéj. Przytaczając zdanie swych ulubieńców, braci Goncourtów, że powieść dzisiejsza „rozrasta się i wznosi", że jest „poważnym, namiętnym, żyjącym objawem pracy literackiéj i badania społecznego", że w następstwie metody analityczno-psychologicznéj „staje się współczesną historyą duszy ludzkiéj", że dążąc do artyzmu i prawdy „przyjęła na się pracę i zadanie nauki"—Gruszecki tak od siebie powiada o artyzmie. Pod artyzmem rozumiéć należy siłę i jedność oddania odczutych wrażeń i obrazów, zachowanie właściwéj miary na rzeczy ważne i poboczne, ujęcie cech charakterystycznych i decydujących, umiejętny wybór szczegółów, które razem wzięte dają typową, logiczną i prawdziwą postać tak ludzi jak i rzeczy, wreszcie wypowiedzenie tego językiem jasnym, szczerym i tak malowniczym, ażeby wywołał zamierzone wrażenie nie tylko w wyobraźni, lecz i materyalnie, przez dobór dźwięków i harmonię frazesu... Artyzm nie wyklucza wcale etycznych lub społecznych zasad i dążności, tylko że wypływać one powinny z przedstawienia spostrzeżonych faktów, nie zaś z założenia powieści. Powieść, jako dzieło sztuki, powinna miéć jedno tylko założenie i cel jeden, — być artystycznie piękną i prawdziwą. Czy miłość Romea i Julii jest moralną i w dobrym tonie, czy niewdzięczność córek Leara jest naganną i karygodną, czy lady Macbet źle lub dobrze wpływa na swoje otoczenie, kraj i ludzkość, czy nieprzeparty werterowski ku sobie pociąg Płoszowskiego

i Anielki (po wyjściu jéj za mąż) zgadza się z sakramentem małżeństwa czy się nie zgadza,—to są ze stanowiska sztuki rzeczy mniéj niż poboczne,—wobec pewności naczelnéj, pierwszorzędnéj, że są zrobione artystycznie, że są piękne...

Gdyby światły czytelnik miał czas i chęci do refleksyjnego zestawienia w jedno wszystkich tych subjektywno-powieściopisarskich zastrzeżeń, zawartych w wyrazach: „zrobić", „przedstawić", „zharmonizować", „skupić", „wywołać zamierzone wrażenie", „nadać siłę i jedność odczutym obrazom lub nabytym doświadczeniom"—przekonałby się bez dłuższych wywodów, czém jest w rzeczywistości owa objektywna „prawda" w powieści, która według Gruszeckiego, Goncourtów, Flauberta, Zoli, Maupassant'a i najzdolniejszych estetyków dawnych i tegoczesnych—jest „jedyną miarą, jedyną granicą, jedyną krytyką" twórczości i artyzmu.

Bądź co bądź miło jest miéć do czynienia z pisarzem, który tak wysoko podnosi znaczenie gałęzi piśmiennictwa, uważanéj pospolicie za dostępną byle czyjemu pióru, byle czyjéj dobréj woli i chęci. Ale miléj jeszcze spotkać się z pracownikiem, co wymagając od innych wiele, za wiele niekiedy, nie folgował téż i sobie, gdy sam stanął w szeregach powieściopisarstwa, w którém dziś reprezentuje jeden z najciekawszych, najbardziéj oryginalnych działów. Teorye głoszone przez niego przed kilku laty, przestawione na grunt praktycznego ich zastosowania w czynie, nabiérają wskutek porównania szczególniejszego ożywienia i barwności. Dokładniejsze ich zbadanie obiecuje dość znaczny pożytek—nawet społeczny, gdyż jak dobrze zaznaczył Gruszecki, w literaturze polskiéj, zarówno jak i w europejskiéj, powieść zajęła za dni naszych stanowisko górujące; swoboda formy, możność wszechstronnego wypowiedzenia się, łatwość znalezienia przystępu do szerokiéj publiczności złożyły się na to, iż ten niepoczesny niegdyś romans stał się najulubieńszym organem porozumiewania się pisarzy z ogółem. Dla nikogo w takim razie nie może być obojętném usiłowanie wniknięcia w istotę sprawy: co téż naprawdę mieści w sobie ta książka, rozpowszechniająca się dziś coraz bardziéj, pełna scen z domowego życia, zwierzeń i pogawędek poufnych, którą ojciec rodziny tak często spostrzega w ręku swéj dziatwy, młodzian w najlepszéj wierze składa w darze swéj oblubienicy, a subretka pochłania z równą nieraz jak i mąż stanu skwapliwością. W ostatecznym swym wyniku jest to pospolita gmatwanina wyszukanego dowcipu i fantazyjnego zmyślenia, czy téż raczéj coś gruntowniejszego i poważniejszego, nad czém zastanowić się i pomyśléć warto i zamarzyć niekiedy wolno?

Autor „Tuzów“ nie odmówi nam swojego pośrednictwa i współudziału w tak postawionêm zagadnieniu, a ułatwiając je, pozwoli, że bez dłuższego wyboru, na chybił trafił, wypiszemy sobie jakikolwiek ustęp z niemałego już dziś pocztu jego powieści, z „Nawróconego“ np., który jest dalszym ciągiem i zamknięciem zbyt wcześnie głośnych, okrzyczanych niemal „Szachrajów“. Wpada nam oto pod rękę rozmowa w parku pani Karoliny Strauchfeld z bawiącym w jéj domu kuzynem, Ludwikiem Balińskim. Nadmienić wypada, dla zrozumienia faktycznéj osnowy dyalogu, że pani Karolina wyszła była za mąż (jeszcze w „Szachrajach“) z musu, pod ciosem grożącéj nędzy, za młodego, wykształconego ideologa-neofitę, Maurycego Strauchfeld, którego ojciec, bankier warszawski, w grubéj grze na giełdzie dorobił się milionów, ale w robocie téj z torbami puścił dobrodusznych swych klientów, przeważnie szlachtę; ofiarą jego machinacyi stała się téż i matka Karolci, pani Danborska. Daleki kuzyn Danborskich, Ludwik Baliński, inżynier, zjechał do majątku młodego małżeństwa ze swoją ciotką, dobrą i zacną matroną; traf zdarzył, że u państwa Maurycostwa bawiła w tymże czasie siostra Maurycego, Emma, niedawno wydana za Julka Runowskiego, zaszarganego majątkowo lowelasa. Świeża, powabna, bez głębszych zasad, pani Emma nie brała zbyt żywo do serca obowiązków małżeńskich; w przeddzień właśnie rozmowy Ludwika z Karoliną w parku spróbowała ona, najzupełniéj zresztą niefortunnie, siły swych wdzięków na przystojnym kuzynie swéj bratowéj, (który był niegdyś kolegą Julka)—w jego pokoju... Zła, zawiedziona, odwróciła przed Karoliną swą przygodę wten sposób, jakoby sam p. Ludwik był stroną zaczepiającą... bez powodzenia, — nie zaś ona. Karolcia się oburzyła, z jéj zaś oburzenia Emma wywnioskowała, że się kochają, „tych dwoje“ i na odjezdném szepnęła o tém na ucho bratu Maurycemu, całując—naturalnie—bardzo serdecznie bratowę... Uczony, zajęty doświadczeniami z elektrycznością Maurycy przyrzekł był wprawdzie przed ślubem Karolinie, że będzie wyłącznie jéj bratem, przyjacielem, doradcą, alę oto, po kilku miesiącach pożycia,—uroda, rozum, dobroć młodéj żony oddziaływać zaczęły na jego krew południową nie koniecznie po bratersku; przypomniały mu się prawa mężowskie, przed ołtarzem nabyte. Można teraz sobie wyobrazić, jakie to zawisły naraz nad domem państwa Maurycostwa chmury wskutek złośliwéj intrygi Emmy. Ludwik, do żywego dotknięty nagłą zmianą w postępowaniu z nim kuzynki Karolci, a nie mogąc dociec powodu téj niechęci lodowatéj, nagli ciocię Balińską do odjazdu. Ale poczciwa ciocia, zaniepokojona również niespodziewaném zasępieniem

się widnokręgów, zwleka... Właśnie skończono śniadanie, które — jak to najwyraźniéj czuć było w powietrzu, mogło wyjść na pożegnalne... Pana Maurycego nie było w pokoju... Pani Karolina siedziała smutna.

Wszedł lokaj i zajął się sprzątaniem ze stołu.

— Może pójdziemy do ogrodu — ozwała się Karolcia do cioci Balińskiéj głosem jakby zduszonym, od upału zapewne, który istotnie przygniatał ziemię od rana... Pokażę cioci nowy gatunek gwoździków,—prawie czarne.

Pani Balińska, którą drażniło nieporozumienie między Karoliną a Ludwikiem, chcąc im ułatwić zgodę, odpowiedziała z dobrym uśmiechem:

— Idźcie młodzi oboje, mnie starą osłabia upał.

Pani Karolina wstała:

— Przyniesiemy cioci za chwilę, bo ten gwoździk jest za drugą altaną.

Wyszli. Z gazonu, rozświetlonego promieniami słońca, wionął ku nim żar lipcowy.

— Ależ dziś upał—szepnęła—i taka cisza...

— Możnaby powiedzieć za dużo światła, — nawet liście drzew wiszą senne i nieruchome...

— Światła nigdy nie jest za dużo — podjęła pani Karolina z lekkim, drżącym nieco w głosie naciskiem, zwalniając kroku... A taki jasny dzień powinienby rozproszyć cienie... pomiędzy nami...

— Zdaje się, że obraziłem czemś kuzynkę zupełnie bezwiednie. O ile wiem, zachodzi w grę pani Runowska... Niech mi kuzynka wierzy, wobec pani Runowskiéj moje postępowanie było bez zarzutu.

— Prawdą jest jednak — zaczęła z pewném ociąganiem się,— że kuzyn rozmawiał z nią... rano... o poezyi... i...

— Odpowiadałem na pytania, nic po za tém. Pozwolę téż sobie dodać to jedno: nie mogłem przecie zapomnieć, że jestem w twym domu, pani.

— Czy się podobała kuzynowi? — spytała podnosząc oczy.

— Nie lubię kobiét z jéj światka. Julek zmarnieje przy niéj doszczętnie... Czy kuzynka ma inne jeszcze zarzuty?

— Nie.

— W takim razie zapewniam panią, możemy przejść nad panią Runowską do porządku dziennego. Względem niéj, powtarzam, nie mam sobie nic do zarzucenia... Czy dosyć światła na tę sprawę?

— Dla mnie dosyć, — i wyciągnęła ku niemu rękę, którą serdecznie uścisnął.

Weszli w aleję. Od czasu do czasu z nieruchomych drzew spadały liście pożółkłe z niewyraźnym szelestem.

— Dopiéro lipiec, a liście opadają jak jesienią, — przemówiła pani Karolina po chwili milczenia.

— Zwykły los, gdy kto nadto zbliży się do słońca. Czasem lepiéj pozostać ukrytym, w cieniu i poprzestać na mierności...

— I to kuzyn mówi? i chwali egoistyczną mierność?

— Może przemawia za mnie instynkt samozachowawczy... — jeśli mam wierzyć wróżbie cyganki.

Wróżbie?... Wróżyła kuzynowi? Co powiedziała?

— Mam się wystrzegać ogniska.

— I kuzyn się wystrzega?—zaśmiała się wesoło.

— Za późno poznałem prawdę wróżby...

Spojrzała na niego zaciekawiona.

— Widzi pani, bywają różne ogniska. Płomienne i tchnące pożogą są najmniéj niebezpieczne...

— Jakież są inne?

— Inne? — Czasem człowiek zestrzeli wszystkie promienie uczucia, rozumu, fantazyi w jedno ognisko świetlne, a gdy ono gaśnie dla niego, ogarnia go pustka i noc... Na mnie sprawdziła się wróżba.

Pod wpływem jego spojrzeń i słów zarumieniła się, serce jéj biło gwałtownie, ogarniać ją począł jakiś lęk ubezwładniający.

Milczał krótką chwilę, pochłaniając ją wzrokiem. I zmożony uczuciem, rzekł:

— Kocham cię...

Zbladła i spojrzała na niego prawie przerażonemi oczyma.

— Jeśli cię obraziłem, daruj mi. Jeszcze wczoraj chciałem wyjechać, uciec. Uległem pragnieniu, chciałem cię raz jeszcze zobaczyć i... pożegnać. Z pełnego serca usta mówią. Dziś, nie umiałem się przezwyciężyć. Przebacz...

— Nie mów,—nie mów już! ja nie mogę, mnie nie wolno słuchać słów takich!... — zawołała patrząc na niego z prośbą w oczach.

— Nie mogę... nie wolno... Niech ci się zdaje, że czytasz rozdział powieści... O, pozwól mi dokończyć, usprawiedliwić się... Czy sądzisz, że wyznałbym miłość innéj kobiécie zamężnéj? Tobie nawet, którą tak bardzo kocham, nie powiedziałbym i słowa, gdybyś była szczęśliwą, gdybym nie znał tak dokładnie twego życia i pożycia, gdybym nie wiedział i nie widział, że każdy dzień jest cierniem więcéj w twém życiu. Bijesz się jak ptak wolny o pręty twéj klatki, krwawisz się i padasz, zrywasz się znów, by odnieść nowe ciosy...

— Przestań... zamilcz... — błagała.

— Czy myślisz, że w téj chwili i moje serce nie jest na pręgierzu? że mówiąc to, nie słyszę jęku własnéj duszy? — Znam warunki, pod któremi się zgodziłaś na zamążpójście, odczuwam każdą twoją przykrość, każdą ranę, każde draśnięcie, — a każde sięga do głębi twych uczuć narodowych, społecznych i odziedziczonych... Rzuć te walki bez zwycięstw, troski bez pociechy, ofiary bez nagrody... Przed nami kraj światła, słońca...

— Nie mogę...

— ..... przed nami kraj pracy owocnéj, przed nami jasna droga prawdy, szczerości i życia...

— Nie mogę i nie chcę! Pomyśl tylko, gdy nędza, choroba i upokorzenie zajrzały do nas, sprzedałam się mężowi-przechrzcie, on spłacił długi, ubezpieczył matkę, wyposażył mnie, umożliwił życie... A ja, gdym oto wyzyskała wszystko, wzięłam rozwód... I ja miałabym być twoją żoną?... twoim ciężarem?... twojém przekleństwem może?... Przed tobą przyszłość, sława, wielkość, a ja byłabym kulą u twych nóg, zaporą, przeszkodą?... Zanadto cię szanuję, cenię... zanadto jesteś... zanadto blizkim mi jesteś, ażebym widząc nieszczęście w naszym związku, kajdany twego życia, zgodziła się na to. Nie nigdy!

— Karolino! Karolino!... — wołał z żalem i skargą.

— Nie chcę, nie mogę!... Rozstańmy się, Ludwiku, — drogi nasze stanowczo się rozchodzą... Dziś możemy się rozłączyć jak przyjaciele... Ty pójdziesz szerokim gościńcem pracy i zasługi dla kraju, dla społeczeństwa, mnie zostaw na mojéj ścieżce... Wyjedź, po co się mamy męczyć wzajemnie,—moje postanowienie niecofnione... I jeśli prawdą jest, że mię kochasz, to wyjedź i nie nalegaj. To daremne, Ludwiku,—nie mów, nie proś,—nie mogę...

— Więc mam cię zostawić samą?... z nim?... wśród tego otoczenia?... Mam wyjechać bez słowa pociechy, nadziei? — Ależ ta myśl, że z czasem ulegniesz i będziesz jego żoną,—doprowadza mię do szału, do obłędu...

— Jedź!—nie mogę... A jeśli *to* cię ma pocieszyć, upewniam, iż nie będę ani twoją, ani... niczyją żoną.

Urywamy cytatę.

Zasadniczą właściwością talentu pisarskiego trybu Gruszeckiego jest właśnie ten szczegół, że jego powieści nie przypuszczają przytoczeń luźnych, dorywczych. Podana wyżéj rozmowa, jakkolwiek sama przez się wytworna, przeprowadzona prosto, skromnie, bez żadnego prawie akompaniamentu mimiki i gestykulacyi refleksyj-

néj, przepełniającéj zazwyczaj nasze dyalogi sentymentalne, rozumowe lub humorystyczne, wygląda blado, nikle,—w porównaniu do nadzwyczajnego wrażenia, jakie wywiera na tle rozwiniętéj, rozwijającéj się całości. Całość ta składa się u niego i stopniuje w ten sposób, że każda po szczególe scena streszcza w sobie racye swego istnienia zawarte we wszystkich powodujących ją poprzednich; każdy odrębny i nieraz zaledwie zlekka zarysowany widok uwypukla się i barwi szeregami jednorodnych obrazów dawniéj skreślonych; każde wyrzeczone słowo podgarnia pod siebie najbardziéj oddalone, przebrzmiałe zdawało się już odgłosy zajść cichych lub burzliwych, bólów ukrytych lub ujawnionych, radości zhamowanych lub rozproszonych rozrzutnie. Jak te liście drzew w parku spadające od spiekoty słonecznéj zdają się zawczasu nosić w sobie wszystek ciężar wątpliwości, uraz lub obaw, które przygniatają duszę Karoliny i Ludwika, tak samo téż i ich zwierzenia się wzajemne — choć napozór wiotkie i ulotne, dźwigają na sobie, w każdym swym szmerze, w każdém swém półwyznaniu, całą stężałą i uwarstwioną już masę faktów dokonanych, pragnień niewysłowionych, nadziei niedopowiedzianych. Kiedy po kilku wyrazach tłómaczenia się Ludwika, Karolina podnosi na niego swe oczy, lub kiedy po pierwszych jego wyznaniach oblewa się rumieńcem i blednie, późniéj autor nie potrzebuje ani nas objaśniać, jaki promień przebaczenia i prośby o przebaczenie świéci z tych oczu, ani bliżéj określać dziewiczości téj purpury, ani zapewniać od siebie, że przerażenie to było głębokie, głęboko rzetelne i uczciwe: wszystko to znacznie wcześniéj już nam powiedziała sama akcya, stale wzbierająca w swych strumieniach głównych, pod wpływem i naciskiem okoliczności powszednich, zmiennych o tyle tylko, o ile dzień dzisiejszy różnym jest od wczorajszego. A kiedy znowu z ust kobiéty spada odpowiedź odmowna, — na pozór zawodna, siebie niepewna, szukająca oparcia i potwierdzenia w wielokrotném powtórzeniu motywu „nie mogę“, nie żądamy i nie oczekujemy dla téj odmowy żadnéj doraźnéj sankcyi, żadnego podmiotowego zapewnienia piszącego, w formie np. deklaracyi, iż postanowienie Karoliny brzmiało, jak niecofniony wyrok przeznaczeń, albowiem z góry i oddawna sankcyę tę otrzymaliśmy, przeznaczenia te odczytaliśmy (wiersz po wierszu, rozdział po rozdzdiale) z charakteru bohaterki i z zasadniczych założeń sytuacyi ogólnéj, które we wzajemném na siebie oddziaływaniu, porządkującém bieżące swe zgodności, uwydatniającém lub zacierającém przypadkowe swe kontrasty, zawczasu przygotowały, powoli określiły a przedmiotowo zdeterminowały zamie-

rzony przez autora rezultat, rezultat tym razem ważki i ważny jak życie: „nie mogę, nie chcę“.

Nabiórcza, integracyjna ta metoda, gromadząca rysy lub cechy drobne, skupiająca różniczki nieskończenie niekiedy małe dla otrzymania znacznie większéj, znamiennéj całki, ma swoje zalety i dogodności, ale ma téż i swoje niebezpieczeństwa. Wymaga ona, przedewszystkiém nietylko wielkiéj przenikliwości spostrzegawczéj, ale téż i ogromnego zasobu spostrzeżeń już zrobionych, doświadczeń już nabytych. Zastosowana przeważnie do modelowania i portretowania (ma się rozumiéć w znaczeniu bardziéj psychologiczném niż plastyczném) jednéj, dwu lub co najwyżéj kilku postaci naczelnych, ku czemu zdaje się być najlepiéj jeśli nie wyłącznie przysposobioną (przynajmniéj u Gruszeckiego), opłaca się ona dostatnio, sowicie i nawet nad miarę, nad potrzebę. „Jest się istotnym artystą, wyższym od innych—powiadał Flaubert, gdy się umie wstrząsnąć duszę, wzbudzić nagle radość lub przerażenie, entuzyazm, żal, oburzenie, litość lub śmiech niczém więcéj tylko użyciem jednego dobranego przymiotnika“, co oczywiście nastąpić może dopiéro wtedy, gdy ów przymiotnik w porę dotyka napiętą już gamę antecedensów odpowiednio nastrojowych; w przeciwnym razie gotów wypaść efekt fatalnie dysonansowy. Weźmy przykład. W saloniku państwa Wireckich gość Garliński jest obecnym przy rozmowie, w któréj gospodarz dość wyraźnie afiszuje się z zasadami graniczącemi o miedzę z oszustwem groszowem, tém brudniejszém właśnie, że jest groszowe, mniéj nawet bo szelągowe, a tém smutniejszém, że je w części przemazuje etyka neo-utylitaryzmu szlacheckiego, w części zaś łagodzi przechwałka pospolitéj, tradycyjnéj praktyki gospodarczéj. Po wyjściu z salonu Wireckiego, Stasia, młodsza siostra Wireckiéj, przesiadująca przy niéj, do czasu swéj pełnoletności lub zamążpójścia, na posagowéj połowie niepodzielonego dotąd Krzywca, odezwie się do Garlińskiego głosem cichym: „Czy pan nas potępia? — Nie — I... będzie pan u nas bywał? — Jeżeli tylko pani... — Bez formułek, powiedz pan szczerze.—Będę.—Dziękuję panu“... Umieszczone dopiéro na stronicy 365 „Tuzów“, kiedy już autor miał czas dać nam dokładnie poznać, kim jest Garliński i czém jest Stasia, owe „będę“ jednego i „dziękuję“ drugiéj zaokrąglają charakterystykę obojga, sposągowaną już przedtém grudka po grudce — jak wszędzie u Gruszeckiego, i jednocześnie same one, w sobie i dla siebie, stają się obok téj charakterystyki czémś w rodzaju pomienionego „przymiotnika“ Flauberta,—dotknięciem mistrzowskiém a finałowém, pełném żywotnéj treści, „wstrząsającém duszę, wzbudzającém

żal, radość, entuzyazm, oburzenie etc.“. W tém „będę“ Garliński złożył świadomie swe przyzwolenie na tolerancyę otoczenia Stasi, byle z nią samą nie zrywać; Stasia w tém „dziękuję“ najśmieléj zaznaczyła, że się wyodrębnia ze swojego środowiska, ażeby się przez to zbliżyć do Garlińskiego; razem zaś powiedzieli sobie młodzi znacznie jeszcze więcéj: że się szanują, że się kochać mogą, że się kochają; więc nie tylko machnęli ręką na cudzą przeszłość, lecz zaangażowali swoją przyszłość. Przerzuciwszy jednocześnie gałganiarską junakieryę Wireckiego i zwięzłą zobopólną spowiedź Stasi i Garlińskiego ze str. 365 na str. 25 lub 33, „będę“ Garlińskiego mogłoby go narazić niemal na posądzenie o koniokradztwo, a „dziękuję“ Stasi znaczyłoby bez mała tyle, co „kłaniam uniżenie“ lub nawet na odwrót „daj buzi, tęgi z ciebie złodziéj“,—bo jedno, drugie, czy trzecie, jako niczém nie uwarunkowane, jest najzupełniéj dowolne.

Przeciwko finezyom i subtelnościom tego gatunku nic-by do nadmienienia nie było w sztuce, ze stanowiska teoretycznego, boć przecie dobrze wiemy, że nie co innego tylko delikatne, ledwie dostrzedz się dające muśnięcia dłuta w ręku prawdziwego artysty-rzeźbiarza odróżniają jego robotę od roboty prostego kamieniarza wiejskiego i jego zamaszystych uderzeń młota; w muzyce znowu największy profan chętniéj się zgodzi na to, abu mu zamiast rozdzierającéj uszy „katarynki“ wędrownego słowaka ktoś z Paderewskich lub Barcewiczów popieścił lub podrażnił duszę... W powieści atoli, która ma być artystycznie skróconym odwzorem rzeczywistości, rzeczywistych zjawisk życia, takie wyrafinowane piętrzenia zacięć misternych i akcentów fachowych, po za obrębem wysoko podnieconych stanów duszy i wyjątkowego zbiegu zdarzeń donioślejszych, nie zawsze są pożądane, niekiedy wręcz sprzeciwiające się wymaganiom prawdy w sztuce. Posłużymy się i tu przykładem. Jest w „Szarańczy“ postać, wyciosana jak z jednéj bryły białego marmuru —jasna, czysta, spokojna, równająca się promieniejącém ciepłem dobrych swych chęci i skupioną w sobie godnością postępowania Karolinie w „Nawróconym“. To Sobolski, przywódzca i bożyszcze włościan szląskich. Rodowód dobrych i pięknych tych duchów — jeden: dumny odpór bezecnéj klęsce. Tu, wewnątrz kraju, w jego ognisku, wśród obniżonych i wciąż pod stopami tubylczéj klasy wyższéj obniżających się poziomów dobrobytu materyalnego, ruina majątkowa, obowiązek ratowania staréj matki, nienormalne, wspólnym tylko dachem osłonięte pożycie z mężem, wstręt do niego niepohamowany, instynktowy, plemienny, trzymany na wodzy wyłącznie względami dobrego wychowania i świadomie danego słowa,

nieustająca czujność nad nietkniętym skarbcem zacności osobistéj i tradycyjnéj, potrzeby młodego dziewiczego serca, coraz głośniéj dopominającego się o swe prawa, i coraz donośniéj hucząca w niém burza rozżalenia nad niedolą biednego a poczciwego tego ludu wiejskiego, który administracya żydowska okrada, wyzyskuje, okpiwa, drze i na szykany wystawia,— wszystko to razem, nieznacznie, kropla po kropli, jak zwykle u Gruszeckiego, wpija się, rzecby można, w mózg i ciało Karoliny, wytrawia i spędza z niéj ostatnie możliwe pozostałości zboczeń od złożonego w niéj saméj ideału i czyni tę mohikankę domierających już dzisiaj trybów czucia i myślenia niewieściego nie tylko nieposzlakowanie wzniosłą i piękną, ale też, co nieskończenie ważniejsze, najrealniéj prawdziwą, do tego stopnia prawdziwą, że pod urokiem niebywałego tego zjawiska wyrównywa się i tężeje nawet grunt sytuacyi chwiejnéj, niepewnéj, wysnutéj z postulatów wątłych, wymagających kaucyi (1^0 wyjście urodziwéj i wykształconéj szlachcianki za doraźnie wychrzczonego żyda; 2^0 rzetelna, z zobopólną dobrą wiarą zawarta umowa bezinteresowności małżeńskiéj). To samo poniekąd dzieje się i z Sobolskim na naszych kresach zachodnich, na Szląsku Górnym, gdzie pod wpływem niemilknącéj od daty swego obudzenia się walki żywiołów slowiańskich, niemal wyłącznie gminnych, ze zwycięzką i przez wieki do panowania wdrożoną niemieczczyzną wytworzyło się w masach wołających o życie tak żywe poczucie i tak nieubłagana potrzeba solidarności rasowéj, współrodaczéj, obejmującéj i przenikającéj nie tylko początkujące zakresy działalności publicznéj lecz i najpoufniejsze stosunki prywatne i domowe, że jéj ognie wypalają najbardziéj niekiedy godziwe i przyrodzone, ale od reguły społecznéj uchylające się dążenia i zachcianki osobiste, zwłaszcza w jednostkach wysuniętych na czoło ruchu, postawionych na świeczniku sprawy ojczystéj. Wymagania wielkie, niezmierne, a zamknięte w obręcie dość stosunkowo ciasnym. Lud szląski jest biedny, niewykształcony, pobożny, cnotliwy; jego patryotyzm świeży, niemal wczorajszy, nawija się wyłącznie prawie dokoła kościoła, złotego ołtarzyka, niedzielnego numeru gazety świątecznéj i kilku lichych ogólników konstytucyi pruskiéj, dozwalającéj nieco gromadniéj wiecować podczas okresu wyborczego. Dla przywódców stwarza to położenie ze wszech miar męczeńskie. Obarczeni zaufaniem bezwzględném, bezgraniczném, potwornie wydłużającém najlżejszy nawet cień podejrzenia o odstępstwo, zniewoleni są oni ofiarnie zakuwać w ciasny i niemowlęcy formularz „swojszczyzny katolicko-polskiéj" najszlachetniejsze niekiedy popędy swojego serca, najszczytniejsze poloty swojego umy-

słu, wystawionego na otwarte prądy cywilizacyi wyższéj i jéj ponęt towarzyskich, jéj powabów humanitarnych. I trzebaż trafu... nader co prawda często odgrywającego królewską rolę zarówno w życiu jak i w powieści, że u Sobolskiego owe powaby i ponęty cywilizacyjne uderzają pod jedyną przyłbicą, w obec któréj najroślejszy, najtęższy, najszczelniéj w stal i żelazo zaszpuntowany i zalutowany sarmata nigdy zupełnie bezpiecznym się nie czuł: pod przyłbicą Eweliny Krügerówny, zaczarowanego wcielenia najbardziéj sympatycznych przymiotów i wdzięków téj „kobiecości niemieckiéj", na jaką ojczyzna Beethovenów i Goethych kiedykolwiek w wieku XIX-m zdobyć się mogła. Granit stopniałby, cóż dopiero polak, w księżycowym blasku takich spojrzeń, uśmiechów i rozmarzonych rojeń, unoszonych na półsennych skrzydłach dum schumanowskich... A gdy Ewelina na widok pierwszych lekkich drgnięć, wydobywających się z głębi na powierzchnię barczystéj téj kolumny słowiańskiéj, dobierze się pokryjomu, przez nikogo nie strzeżona, do pierwowzorów mowy szląskiéj, gdy od niéj przejdzie do „arki przymierza między staremi i nowemi laty" — do pieśni gminnéj i Schumanna zastąpi Chopinem — już Sobolskiego niema... O, nie prędko jednak punktacyjny proceder naszego autora pozwoli sercom dwu tych istot z jednego zaziemskiego swiata i nie z jednéj ojczyzny ziemskiéj uderzyć pełnym akordem miłości, a uderzyć po to tylko, ażeby w końcu i ten akord zerwać w zgrzytliwym jęku powinności: „nie wolno"... Wpierw uczyć się biedni muszą sylabizować i chować się ze swym elementarzem za plecy konwenansu salonowego lub przygodnéj jakiéj zabawy na gruncie neutralnym — więc tak czy inaczéj wzdychać na oczach ludzkich i obracać się w mniéj lub więcéj nieprzychylnie usposobioném a tłumném środowisku... I tu proceder Gruszeckiego, tak wyśmienity w duetach, czasem nawet jeszcze w kwartetach,— zawodzi, gmatwa się, mimo wysileń, czy też właśnie z powodu tych wysileń, z ich nadmiaru, dobrze znanego w nauce śpiewu chóralnego, gdzie wszyscy razem pierwszymi być nie mogą.

Wieczór u państwa Krempów, szlązaków z pochodzenia, ale zniemczonych i w skutek wychowania oraz zarobkowego stanowiska męża w miejscowéj gazecie pruskiéj mimowolnie płynących czas jakiś z głównym nurtem fali germanizacyjnéj. Oprócz gospodarza, nie dobrze często wiedzącego, gdzie, kiedy i na jakim stołku usiąść, tudzież jego młodéj żony, kobieciny miłéj, serdecznéj, chwilowo zupełnie niemal pochłoniętéj przykrą przygodą szkolną z jéj synkiem Adalbertem, któremu służąca Tekla, zajadła Szlązaczka, zbyt wcześnie wszczepiać zaczęła ów jad polskości, który imię nawet jego

odniemczy i przekręci niebawem na Wojciecha,— oprócz téj gromadki rodzinnéj, zebrał się w saloniku niewielki poczet gości: doktór Daum (twardy reprezentant pruskiéj racyi stanu), panna Herminia (stale od pewnego czasu wtórująca Daumowi z pobudek o wiele cięższych jeszcze od racyi pruskiéj), zacna pani Krügerowa z Eweliną, no i Sobolski. „Rozmowa—zapewnia autor wbrew tym razem swojemu powołaniu, zabraniającemu referować po dziennikarsku to, co pokazać należy po powieściopisarsku—rozmowa, po kilku ogólnikach towarzyskich, utykała co krok, gdyż w całéj atmosferze dawała się odczuć wzajemna niechęć Szlązaków i Niemców". Utykała ona, dodajmy, i z innych także jeszcze powodów, nigdy prawie nie spotykanych w rzeczywistości, zwłaszcza w kółku bliższych znajomych, w domu prywatnym, do którego nikt z sobą w kieszeni nie przynosi zapasu znaczków, czyli „marek artystycznych", osobistość posiadacza ich uwydatniających, i nikt téż nie obowiązany jest mówić tak, aby nową jeszcze markę do starych dorzucić. Bądź co bądź pomimo rozterek i szermierek językowych, przypominających raczéj parlament wiedeński, niźli skromny zakątek mieszkania szląskiego, Sobolski znajduje przecież sposobność wysłuchania teoryi panny Eweliny o miłości, jako „harmonii dwóch umysłów, dwóch dusz, dwóch uczuć, które nigdy nie występują względem siebie szorstko, niechętnie obraźliwie, lecz wzajem się uzupełniają i uwzględniają". A ponieważ zacne, kochane dziewcze mówiło to z takiém przejęciem się i zapałem, iż zdawało się, że pod białą, prawie przezroczystą skórą jéj twarzy przebiegają płomienie, nie dziw przeto, że Sobolski, wpatrujący się w nią z zachwytem, porwany jéj pięknością, wdziękiem, tonem głosu, harmonią ruchu, przemówił po chwili ciszéj: — „Słuchając pani, zdaje mi się, że słowa jéj są pieśnią harmonii wszechświata, która spłynęła na ziemię. Zapominam, gdzie jestem, kim jestem pragnę wierzyć, że istotnie na świecie może istnieć zakątek cichy, spokojny, słoneczny...Wiara zbawia"...—szepnęła na to cichutko. Wniesiono herbatę, a po jéj skończeniu pani Marya poprosiła Ewelinkę o śpiew. — „Zaśpiewaj moje dziecię tę nową piosnkę, tak oryginalną... — odezwała się matka, a zwracając się do gospodyni: —Powiadam ci, moja droga, że nawet ja stara unoszę się nad tą melodyą, tyle w niéj życia, młodości"... Wywiązał się wnet znowu spór jakiś, przypominający obstrukcyonizm Schönerera i Wolffa, — złagodziła go interwencya pani Krügerowéj zatarło, zaniepokojenie pana Krempy, — aż oto wróciliśmy do pierwotnego wątku...

— Czy mam pani akompaniować? — spytał Sobolski, otwierając fortepian.

— Nie. Dziękuję panu.

Usiadła sama. Towarzystwo ugrupowało się w ten sposób, że po lewéj stronie pianina umieścili się: Krügerowa, gospodyni, Sobolski, po prawéj Herminia, Daum, Krempa. Zaledwie pierwsze dźwięki introdukcyi zakrążyły w powietrzu i odbiły się o powałę i ściany, wydało się, że dom cały odpowiedział im westchnieniem jakiémś głębokiém, rzewném, długotajoném. Szmer cichy przebiegł po pokoju: to Adalbert wybiegł na próg, a za nim, ostrożnie suwając nogami po posadzce, stanęła Tekla i oboje wpili się wzrokiem w Ewelinę. Sobolski drgnął i podniósł głowę, spojrzał na grającą i znów nasłuchiwał się badawczo, jakgdyby sobie i uszom swoim nie dowierzał. Pani Krügerowa się uśmiechała, a twarzyczka pani Maryi, rozpromieniona, jaśniała niby w słońcu poranném. Tylko Daum i panna Herminia siedzieli sztywni, obojętni. Pan Krempa tarł czoło i najwyraźniéj miał minę człowieka, który coś stracił, a nie wié ani co, ani gdzie, ani kiedy... Wtém zabrzmiały słowa pieśni:

Gdyby mi też Pan Bóg dał,
By mnie jaki grajek chciał,
Gęśle za nim bym nosiła,
Chleba bym mu uprosiła,
Byle jeno grał,
Byle jeno grał...

W interpretacyi Eweliny mazurek rzeczywiście dziwnéj nabrał ekspresyi. Dzwonił, tętnił, sunął, jak barwne, radosne, powiewną tylko mgłą letnią przesłonione nieco widmo weselne, a miał w sobie tyle dziarskości i życia, tyle nadziei szczęścia, tyle świeżych uczuć młodzieńczych i pewności urzeczywistnienia marzeń, że błogim rumieńcem rozkoszy oblał twarze wszystkich obecnych, nawet Herminii. Jedynie Daum, który na razie w dźwiękach fortepianu zaledwie coś niecoś pochwycił był z melodyi wiejskiéj, teraz pochwyciwszy słowa poszczególne, zaczerwienił się z oburzenia, śpiewaczkę zmierzył pogardliwym wzrokiem i, udając, że chce lepiéj posłyszéć, z wyprostowaną godnością przesunął się na stronę lewą i stanął za Sobolskim. Właśnie Ewelina rozpoczynała drugą zwrotkę, a w tonie jéj głosu znać już tym razem było najwyraźniéj spowiedź serca, szczere wyznanie uczucia... „Gdyby mi król“...—i spojrzenie jéj jak błyskawica, przelatując nad głową Sobolskiego, uderzyło wprost w twarz Dauma:

Gdyby mi król rzeknął sam:
„Królestwo ci swoje dam!“

Jabym jeno się rozśmiała,
Wszystkim świętym dziękowała,
Że se grajka mam,
Że se grajka mam...

Prześliczny, wspaniały motyw! Dla czegóż jednak nie wykończony, nie dociągnięty, nie wyzyskany?—dlaczego przytém wydaje się (nie w skróceniu tu naszém, jak mniemamy, lecz wśród hałaśliwéj wrzawy innych motywów samego tekstu)—tak rzetelnym a jednak tak zmąconym, tak prawdziwym a przecież tak zatartym, wątłym, niepewnym? Czy stało się to wyłącznie wskutek zbyt skrupulatnego stosowania autora do kilku jednocześnie motywów rozmaitych (daumowskich, krügerowskich i t. p.) nieubłaganego przepisu faktury realistyczno-artystycznéj: w miłości czy w nienawiści, nie dawać „marki" odrazu, w całości, lecz tylko w częściowych na nią zaliczkach?...

Bardzo to być może. Tymczasem, jedno jest jasném i widoczném, że wraz z powyższém pytaniem wkroczyliśmy na całkiem nowy, nieporuszany dotąd poletek powieściopisarski; nie jesteśmy już na gruncie indywidualizmu, odsłaniają się przed nami widnokręgi powieści społecznéj. Inny to już całkiem kraj twórczości artystycznéj.

II.

Z jednostką ludzką, pojętą bądź typowo, jako wcielenie pewnéj wybitnéj cechy gromadzkiéj (rodowéj, gatunkowéj), bądź wyodrębnioną indywidualnie, romans dawny nie miał dużo zachodu Czy w głównych dążnościach literackich przeważał kierunek klasyczny, dbający przedewszystkiém o plastykę swych postaci, czy kierunek romantyczny, zaprzątnięty więcéj ruchem, rzutkością swych figur, osobnik płci męzkiéj czy żeńskiéj zawsze najswobodniéj się obracał w plątaninie okoliczności zewnętrznych, urozmaiconych dowolnie, najzupełniéj nieraz nieprawdopodobnych, nawet cudownych. Przed „wybrańcem losów" piętrzono często trudności i zawady,—lecz fikcyjne, wyraźnie w tym celu ułożone, aby „bohater" mógł je zwyciężać i z niemi walczyć rozgłośniéj, chwalebniéj, jak w baśniach gminnych. Otoczenie, czyli tak zwane środowisko rzeczywiste, nie przestawało wprawdzie istniéć i wtedy i późniéj; czas, miejsce, stosunki towarzyskie, przyroda tak samo jak i dzisiaj stawiały zapewne pewien opór lub sprzyjały jednostkom uprzywilejowanym; boć przecie naj-

bardziéj indywidualnie w sobie skupiony i na sobie poprzestający magnat ducha tak czy inaczéj stąpać musi po ziemi, ilekroć z kochanką udaje się na przechadzkę, a chyba choć raz na tydzień, wstając z pościeli sentymentów i marzeń, przemywa sobie oczy wodą rzeczywistości. Rola wszakże takich rzetelnych, niezmyślonych środowisk była niegdyś całkowicie podrzędną, dodatkową, chwiejną i rozcieńczoną; zazwyczaj bez śladu tonęła ona w akcyi, wiążąc się z nią tylko przypadkowo, domniemanie, lub nie wiążąc się wcale. Cała usilność twórcza pierwszych w przeszłości prób powieściopisarskich zmierzać zdawała się ku temu wyłącznie, aby z nieprzebranego mnóstwa nieokréślonych i obnażonych warunków postronnych wypleść dla jednéj lub kilku osób głównych sznurek przygód najbardziéj ciekawych, skręcić nić zdarzeń najbardziéj zawiłych, najpospoliciéj miłosnych (gdyż miłość, w szeregu skojarzeń wszelkich, podziśdzień zdefiniowanych, była i pozostała cementem najprostszym i najsilniejszym, najwcześniéj poznanym, a zarazem najkapryśniejszym); odtąd, Robinson czy Donkiszot, ujęty w więzy *ad libitum* słodkie lub okrutne, nie łatwo już mógł zboczyć z drogi mu wytkniętéj. Cierpiał, weselił się, bawił siebie, nauczał innych, ocalał honor księżniczek, podbijał królestwa—według woli, zlecenia i wynalazczości autora. Czy błędnemu rycerzowi odrazu przypiąłeś skrzydła, rogi i ostrogi, czyś je przyklejał łatka po łatce,—czy puszcza życia w mgnieniu oka przeobrażała się przed rozbitkiem w raj ziemski, czyś mu ją trzebić kazał karcz po karczu, nikt o to sprawy nie wszczynał. Szło o potęgę i największy rozwój indywidualności, więc wszystko, co dokoła niéj było, służyć temu widokowi, naginać się ku niemu musiało biernie.

Ten stan rzeczy zmieniać się zaczął w Europie od daty, jak ze wrostem ludności i w następstwie idącéj za nim powszechnéj demokratyzacyi stosunków i wyobrażeń jednostkę zastępowała powoli — w życiu i w opisie—grupa, grupę—tłum. Przesilenie liczby pojedyńczéj na mnogą ujawniło się najpierw w dziejopisarstwie, następnie w romansie; od téj pory tu i tam, coraz szybciéj pułkownik ustępował miejsca pułkowi, marszałek szlachty—wybierającéj go rzeszy szlacheckiéj, poborca—swoim płatnikom. W piśmiennictwie naszém zwrot nowy dokładniéj dałby się wyśledzić już w czasach, kiedy Pług pisał swoich „Bakałarzy", swoich „Officyalistów". Niepokój w pomysłach, zamęt w trybach artystycznych, kompozycyjnych był na razie wielki. I nie dziw. Przed laty jako tako jeszcze radziło się sobie z jednym, z dwoma officyalistami, z jedną z dwiema rodzinami bakalarzy, występ-

pujących na nieobjętych, niczém powieściowo nie określonych obszarach bytu. Lecz oto zjawia się obecnie kategorya ich cała: dwustu, trzystu, tysiąc—a każdy czegoś żąda, coś ma do powiedzenia, prosi o wskazówki, o protekcyę, każdego trzeba wysłuchać, wyrozumiéć, każdemu, o ile możności, dopomódz... Zkądże się nabrać téj możności?—Zależy ona całkowicie od tego, jakie są wymagania, potrzeby i środki... odpowiedniego na dany wypadek otoczenia, czyli inaczéj „podłoża" powieściowego. Że owo podłoże nie powinno tym razem być równie fantazyjném lub fantastyczném, jak za dni Cerwantesa lub Swifta, o tém wiedział już u nas prawdopodobnie Bernatowicz; ale żeby ono stać się z czasem miało czémś ważniejszém, niż np. dekoracye w teatrze, ważniejszém, niż przedstawienie samo, tego to już chyba nawet Korzeniowski nie przewidywał./

Tymczasem u realistów francuskich, zwłaszcza téj barwy która u Emila Zoli przybrała nazwę „naturalizmu",—otoczenie, niegdyś konwenansowe, całkiem ukryte za kulisami nominalizmu,—rosło, wzbierało, rozszerzało się do granic, za któremi z kolei sama indywidualność ludzka i od niéj zależny świat czynu, mniéj więcéj świadomego, mniéj więcéj własnowolnego i odpowiedzialnego, zanikać powoli zaczęły, zapadać w ziemię, iść na dno jakiéjś bezosobowości olbrzymiéj, mistycznéj, metisowéj — na pół martwéj, na pół żywéj, niekiedy mechanicznéj prawie, niekiedy znów omal nie panteistycznéj. Świéżo, jeden z naszych antropologów starannie wyświetlił przesadę i jednostronność téj ultra-realistycznéj maniery autora „Nany" („Prawda", 1898, NN 32—35, „Psychologia mas ludzkich"). W głębi każdéj sceny Zoli—każdego działania ludzkiego istnieje, jako zasada i dźwignia ruchu i życia, olbrzymia maszyna społeczna, działająca pod wielkiém ciśnieniem praw fizycznych, a posługująca się nami, śmiertelnikami, jako swemi mięśniami, językiem, mózgiem... Chłopi, właściciele drobni tak żyją i umiérają u mistrza naturalizmu francuskiego, tak kochają się i krzywdzą, mordują i okpiwają, jak im ziemia każe: ich wzruszenia i pomysły są z niéj czerpane, ich sympatye i nienawiści pochodzą z tego samego źródła, są to nogi, ramiona, głowy uprawnéj macierzy-ziemi w pewnym okresie społecznym... Wszędzie i zawsze, nietylko po chatach wiejskich, ludzie są jedynie kołami i drągami, kotłami i klapami przyrządów społecznych — fabryk, kopalni, giełd, hal, kolei żelaznych — w których i za pośrednictwem których tłumy żyją, rozwijają się, potężnieją, spełniają swe zadania. Wielkie magazyny nowości, pochłaniające nie tylko oczy, lecz cześć, mienie, dusze pięknego świata niewieściego, karczmy i zajazdy szerzące pijaństwo, bezwstyd i spu-

stoszenie, kamienice bogatych dzielnic miasta omdlewające w uściskach zbytku i rozkoszy, ciemne nawet zakątki gogów i kontrolowanych nierządnic — to nie są już żadne podłoża społeczne, które na człowieka lub na zbiorowiska ludzkie wpływają, oddziaływają, — to są istoty, które same działają; oddychają one, czują, żyją, niemal mówią, myślą, mają swoje zachcianki i namiętności, rozstawiają sidła, chwytają w swe ramiona, wleką, pieszczą, często jak Otello—duszą. Bestye idą za bestyami, potwory ustępują miejsca potworom, a tchnienie ich jest tak wszechwładne, że sam widok, sama etykietka wywieszona nad powieściową klatką: „Wnętrzności Paryża", „Pieniądz", „Assomoir", „Człowiek zwierzę", „Walka", „Lourdes", „Rzym",—z góry nam powiadają, że nie człowiek tu dźwignią, lecz tylko pewna siła przyrodzona lub społeczna. Wyobraźnia Zoli, tak względnie uboga, ociężała, rozwlekła, ilekroć chodzi o zgłębienie duszy indywidualnéj, dosięga mistrzowstwa tam, gdzie się ima owych brył ożywionych, owych całokształtów wpijających się szponami swemi w indywidualność ludzką. I właśnie to obdarzanie życiem nie tylko materyalnych dziedzin podłoża (lasu, parku, kopalni, stepu), lecz i wytworów ręki ludzkiéj, warsztatów i działalności (magazynu, kolei, maszyny, świątyni) sprawia, iż w powieściach Zoli niema wcale istot imiennych, tylko otoczenia pełniące ich funkcye, niema osobistości, tylko schematy, niema wreszcie duszy, tylko czaszki, barki, pięści, brzuchy, uda, rzucone na pastwę jakiéjś potwornéj sieczkarni lub młockarni, wystawione na sprzedaż w jakiéjś ludożerczéj hali, w jakimś cmentarnianym składzie ingredyencyi społecznych...

Nadużycie efektów naturalistycznych w tym procederze Zoli jest widoczne, jaskrawe. Do realizmu francuskiego zabłąkało się ono jako mętne odbicie pewnych doktryn historyozoficznych (Comte'a, Buckle'a, Spencer'a), szeroko rozpowszechnionych w drugiéj połowie naszego wieku, usiłujących umysłowy i moralny rozwój ludzkości wysnuć z żywiołowych wątków świata fizycznego, materyalnego. Jakakolwiek byłaby wartość tych usiłowań w dziejopisarstwie, przeniesienie postulatów buckle'owskich i spencerowskich na pole beletrystyki współczesnéj, wtedy tylko mogłoby być uwzględnione zasadniczo, gdyby kto dowiódł, że umiejętne badanie zjawisk społecznych jest równoznaczném z artystyczném ich uwydatnieniem, gdyby w ogólności dało się okazać, że cel, zadania i metody nauki ściśle odpowiadają celom, zadaniom i metodom sztuki. Żadna tego rodzaju wspólnota nie została dotąd ustaloną teoretycznie; w zastosowaniu zaś, w praktyce fachowéj, fachowo-literackiéj,

zwłaszcza powieściopisarskiéj, nieodzownie prowadziłaby ona do zboczeń niebezpiecznych, gmatwających istotę i elementarny zarys wszelkiego budownictwa powieściowego, w którém, bądź co bądź, nie sposób przecież brać za jedno: domu do postawienia i gruntu pod dom ten przeznaczonego — potoków akcyi powieściowéj i kanałów, któremi się ona toczy. Kłaść życie ludzkie w podwaliny wznoszonego gmachu, dorabiać w nim z serc klamki i okucia, z dusz—piece, z natchnień — wentylatory, a gdy się pałac skończyło, kazać „otoczeniu" (warunkom bytu) mieszkać, oddychać, działać w tych fizyologiczno-psychologicznych komnatach — nie zdaje się to być zgodném ani z dalszemi przeznaczeniami rodu ludzkiego, ani z dotychczasowemi wymaganiami architektoniki literackiéj. Uwolnione nawet od uniesień i zabarwień zolizmu, podłoże pewieściowe zupełnie co innego oznacza i przedstawia się inaczéj, niż podłoże naukowe, historyczne i t. p. Niemcy walczą na Szlązku z Polakami; w oczach dziejopisa walka ta—równomiernie i równostopniowo *czynna*, ma jedno dla obu stron wspólne podłoże: wykréśla je przedewszystkiém długa, grubo uwarstwiona przeszłość, następnie cała masa powstających na jéj powierzchni stosunków politycznych, ekonomicznych, religijnych, obyczajowych i t. d. Z poszukiwawczo-historycznego punktu widzenia nie zachodzi żadna konieczność uwzględniania alternatywy, nieodzownie narzucającéj się na stanowisku obrazowo-powieściopisarskiém, a mianowicie, że o ile na Szlązku działalność swą roztacza żywioł niemiecki, tyle polskość jest wobec niego podłożem; i nawzajem, o ile działają Polacy, o tyle znowu Niemcy wobec nich stanowią otoczenie. Przypuśćmyż teraz, że naukowemi receptami historyka posłużyć się w robocie postanowił artysta. Wybornie sobie postąpi—bez kwestyi—gdy przeszłość szlązką weźmie w takim razie za tło i na niém przystąpi do odmalowania oblicza teraźniejszości — w jéj dwuobozowym pochodzie. Jeżeli jednak zapragnie i ten dualizm odtworzyć również po dziejopisarsku, to jest—utrzymując na równéj wysokości, w równém napięciu obiedwie obozowe harfy, obiedwie narodowe dusze, polską i niemiecką, bez ułożenia w nich primu (akcyi) i wtoru (otoczenia), czeka go niechybnie zawód nieoczekiwany. Bo choćby prawda ruchu, życia (walki w danym wypadku), podparta nadmiernym trudem obserwacyi i erudycyi, chciała nam niekiedy ukazać ostre bojowe kontury swego oblicza, równouprawniona dwutonowość kolorytu natychmiast za każdym razem zarzuci na nią swą zasłonę szarą, zamętną, i łącząc się z perspektywą o dwóch wyjściach, dwóch frontach (niemieckim i polskim), zasypie całość miałkim piaskiem krzyżujących

się co moment świateł... Ratunku od niepożądanych następstw tego równouprawnienia akcyi z otoczeniem Zola szukał w oddaniu pierwszych skrzypiec starożytnemu heleńskiemu chórowi,—otoczeniu; żywotność ludzka, cichym zaledwie szmerem zdradzająca na koncercie swą obecność pod olbrzymią górą fatalizmu, uważaną być może—na upartego—za akompaniament. Mamy przeto i plany pierwsze i plany drugie. Równowaga, acz odwrócona do góry nogami—jakoś się utrwala; daleko jéj wprawdzie do harmonii, ale niech już będzie jak jest.

Idzie teraz o Gruszeckiego.

Po tę harmonię, która w sztuce wyrównywa największe nieraz sprzeczności i rozterki życia i przetapia w retortach artyzmu najtwardsze, najbardziéj złowrogie otoczenia społeczne i podłoża materyalne, autor „Szarańczy" (powieści saméj, nie zaś jéj niewłaściwego tytułu,—zaznaczmy to mimochodem), sięgnął w całkiem inną krainę, daleko położoną od wszelkich fatalizmów Buckle'a i naturalizmów Zoli—w platońską krainę przyszłości. Pieśń Eweliny z Sobolskim, któréj pierwsze, znane nam zwrotki tak wysoko wyniosły się po nad poziom najbliższego w danéj chwili ich środowiska (u państwa Krempów),—jest zwiastunem i przedświtem nowego, za widnokręgiem dziejów ukrytego dotąd porządku rzeczy: braterstwa ludów, pojednanych w imię zasady „równi z równymi, wolni z wolnymi". Płynie ona jasno, czysto, dźwięcznie, strumieniem wązkim, wężykowatym, skręcającym się i raz po raz znikającym wśród scen pojedyńczych a różnorodnych—niby wśród pagórków i gajów, stanowiących jéj podłoże przyrodzone. Z zabarwienia i połysku fal, z melodyjnéj, sielskiéj nuty śpiewu słyszymy, czujemy, że grunt pod strumieniem i dokoła niego, m a t e r y a l n e jego otoczenie—jest starosłowiańskie, polskie... A otoczenie s p o ł e c z n e? a ludzie?—Ludzi—jak i u Mickiewicza—„rozdzieliły boje". Linii jednak tego podziału zaledwie się tylko domyślamy na obrazie, bieg jéj zanurza się i zaciera ciągle w jakiéjś kurzawie dymnéj, dwugatunkowéj, rzecby prawie można „niebywałéj", nienaturalnéj—błękitnawo-żółtéj i różowéj, oblewającéj wszystko powietrzem twardém, nieprzenikliwém. Wiemy dobrze—i w części widzimy, ale niedokładnie, że „z téj strony tłumy litewskiéj młodzieży, w kołpakach rysich, w niedźwiedziéj odzieży, z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów snują się śledząc niemieckich obrotów"; wiemy jeszcze lepiéj, lecz prawie nic zgoła z tego nie widzimy, że „po drugiéj stronie w szyszaku i zbroi Niemiec na koniu nieruchomy stoi; oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec nabija strzelbę i liczy różaniec". Łuki, groty, kołpaki zamieniły się oddawna na lemiesze, elementarze, siermięgi; szyszaki, zbroje,

strzelby, różańce od wieków ustąpiły miejsca szkółkom, więzieniom, sękatemu kijowi policyanta, ukradkowemu spojrzeniu szpiega: jedno i drugie spostrzegamy należycie, lubo znacznie lepiéj jedno niż drugie... Ale niezbędny faktycznie, w świadomości naszéj dość wyraźnie i *a priori* zarysowany stosunek, według którego tamto ma walczyć i walczy istotnie z tém (lemiesze np. z kijami, elementarze z zezami) słania się, chwieje, podupada, omdlewa z niemocy w oświetleniu węzełkowo poplątaném, idącém z dwóch ognisk równego na pozór natężenia, chociaż genezyjnie najzupełniéj snadź różnych, skoro ognisko polskie zdaleka już piecze i smali, a w ognisko niemieckie, poniekąd nawet jak się zdaje większe, bezpiecznie obie ręce włożyć możesz—i nie zagrzejesz ani jednéj. A pieśń, aczkolwiek wciąż urywana, płynie i płynie, zawsze jasna, zawsze czysta, świéża, zdrowa, spokojna, siebie pewna, a tak prawdziwa, tak wymowna, (objektywnie, subjektywnie, rzeczowo, artystycznie, realnie, jako dzieło sztuki), że wzmaga przez to jeszcze i uwidocznia zamęt powietrzny, świetlany i kolorytowy ogólnego społecznego swego otoczenia... Spytajmy ją o powód téj jéj przewagi, o tajemnicę jéj wdzięku.

Zaproszony przez matkę Eweliny i ją samą, Sobolski wstąpił do ich mieszkania, wracając z pogrzebu księdza Halbrota, powszechnie kochanego i czczonego patryoty szlązkiego. Był przygnębiony stratą przez ten zgon poniesioną i brutalném zachowaniem się policyi pruskiéj, która nawet na cmentarzu nie zawahała się wystąpić z pięścią przeciwko słowu polskiemu. Staréj Krügerowéj w domu nie zastał; Ewelina przyjęła go rozpromieniona jak zorza. Matka zaraz nadejdzie, ona mu sama przygotuje posiłek. Pod urokiem jéj uśmiechów i niezwykłego ożywienia ciężar spadał powoli z duszy Sobolskiego, aż znikł zupełnie. Nie taił tego przed dziewczyną, powiedział to jéj zaraz:

— Zdaje mi się, że napiłem się wody zapomnienia, przestępując ten próg.

— I co pan czuje?—spytała zaciekawiona.

— Jestem wolny, mam skrzydła... Kłopoty, nędza, łzy, cierpienia téj ziemi tak zbladły, zmalały, że ledwie mogę je dojrzéć... Czuję w sobie innego człowieka, który wokoło siebie ma jasność i w sobie ma jasne serce, jasną duszę, jasne zmysły i może patrzéć wprost w dobroczynne słońce...

Wsparta ręką o poręcz, zwróciła się ku sąsiadowi:

— To musi być bardzo przyjemne — mówiła.

— Takim jest zapewne stan człowieka gdzieś w zaświatach, gdy próg świadomości przekroczy...

— W zaświatach?... Wierzy pan w duchy?...

— Czy w duchy wierzę... Nie wiém czy to się nazywa duchem, ale wierzę w niezniszczalność energii moich myśli, pragnień, dążności, uczuć,—całego tego życia umysłowego, niepochwyconego przez mikroskop ani chemię, związanego z ciałem, a jednak niezależnego.

— Dziwną zagadką jest człowiek—rzekła zamyślona.

— Raczéj jego życie wewnętrzne... Są tam szczyty tak zwrotne, że się jest bliżéj Boga niż najwyższa gwiazda—i widzi się przepaści, na których dnie siedzi blada trwoga i pełza zbrodnia... Spostrzega to jednak człowiek w chwilach silnego podniecenia, w chwilach nadzwyczajnych, gdy zapomni o pętach materyalnych, jak naprzykład dzisiaj.

— Dzisiaj?—spytała mimowolnie.

— Tak pani, dzisiaj... Dziś pochowałem przyjaciela i towarzysza broni; dziś widziałem obelgę i zelżenie ludu mego, dziś słyszałem o nowych krzywdach... I dzisiaj téż czuję się bardzo szczęśliwym. Nie wiém i nie chcę wiedzieć, czy to jest szczyt, czy przepaść, — to jedno wiém, że kocham panią.

Ujął jéj rękę, któréj mu nie broniła, i mówił:

— I nie czuję wyrzutów sumienia, żalu, goryczy, wstydu... Jakiś duch oddalił się z mego ciała i rozmawia z duchem pani spokojnie, bratersko, szczerze, jak dwaj przyjaciele, którzy nigdy się nie spierali i zawsze się kochali... Bo ja panią dawno, bardzo dawno kocham...

Ona pochyliła się nad klęczącym, ucałowała jego białe czoło i spytała prawie szeptem:

— Jak dawno? mów, mów...

— Nie pamiętam jak dawno. Może to było w snach dziecinnych... może późniéj—nie wiém. Gdym jednak zobaczył cię po raz pierwszy, wiedziałem, że cię znam. I nosiłem cię zawsze w mém sercu, byłaś tam taką białą, czystą różą... Nie dotykał cię tam żaden brud ziemski, żadne bezbożne spojrzenie, chowałem cię jak relikwię... Gdy znękany i zmęczony nieustanną walką, w oczach i ustach miałem tylko żal, rozpacz, gorycz—w ciszy samotnéj wyjmowałem cię z mego serca: byłaś zawsze czystą, wonną, świeżą... I taką cię kochałem zawsze i taką kocham,—kocham do zapamiętania... Sam nie wiém, po co to mówię... Chciałbym być prochem u stóp twoich, rzeczą twoją, niewolnikiem, a chcę cię miéć i czuć moją, tylko moją.

Wziąć cię, jako swoją niepodzielną własność, i pójść gdzieś daleko, na kraj świata i przeżyć tak całą wieczność.

Ona, słuchając słów tych cichych, a jednak wyraźnych, przejętych miłością a nienamiętnych, pochylała się bardziéj ku niemu i ostatnie słowa mówił jéj prawie do ucha. Oddech jéj, zapach jéj włosów, sukni, ciała działał na niego tak silnie, że pobladł. Ona przytuliła głowę jego do swych piersi, dłonią przyciskała jego włosy, twarz, usta i powtarzała głosem ledwie dosłyszanym:

— Ja cię kocham, mój Jerzy, boś ty dobry, szlachetny, głęboko współczujesz ze wszystkimi, którzy cierpią. Gdy będziesz smutny, ja cię rozweselę, gdy wrócisz zmartwiony, ja się pocieszę, gdy będziesz wątpił, upadał, ja cię podtrzymam. Kocham cię takim, jakim jesteś... Nie chcę żadnych zmian, żadnych wyrzeczeń...

Przy pierwszych posłyszanych słowach czuł się bardzo szczęśliwym i to upojenie miłosne wzrastało, ale ostatnie jéj wyrazy przypomniały mu nagle jego zasady, przekonania obowiązki... Odsunął się zwolna od niéj i przerywając, rzekł tonem niemal ostrym:

— Lecz ja nie porzucę ani méj przeszłości, ani przyszłości.

Ona przyciągając go ku sobie, mówiła:

— Nie, mój Jerzy! Nie tylko nie porzucisz, ale twój Bóg będzie moim bogiem, twój naród—moim narodem, bo ja cię kocham... Kocham cię, mój Jerzy!

Umilkli oboje. Sobolski patrzał na nią z miłością i zachwytem, bojąc się spłoszyć najmniejszym ruchem swe wielkie, niezmierzone szczęście. Ona bezwiednie pieszcząc jego włosy, całując oczy, czoło, przygarniała go ku sobie, jak matka ukochane dziecko.

Wtém zabrzmiał dzwonek w przedpokoju...

Znamy głos tego dzwonka. To wchodzi niemiecka połowa „otoczenia“, traktowanego historycznie, z równouprawnionemi swemi uroszczeniami nietylko do bytu rzeczywistego — czego się mu bynajmniéj nie zaprzecza, ale téż i do przedmiotowego objawu w sztuce polskiéj—co już jest mniéj usprawiedliwione i potrzebne wobec syntetycznie wyrównanego, zasadniczo-polskiego motywu pieśni, która w słowach Eweliny „naród twój moim narodem“, pozyskuje pełnię ostatecznego swojego akordu. Alboż nie dość niemieckiéj téj połowie podmiotowego odzwierciedlenia się w przejrzystym ruczaju szczeréj, serdecznéj, poufnéj spowiedzi dwojga dusz zakochanych?alboż ta „walka“, któréj ciężar pochyla Sobolskiego do stóp Eweliny z wyznaniem, że radby uciec na koniec świata, zdołałaby do nas przemówić dobitniéj i żywiéj, gdybyśmy ją faktycznie na swojéj dłoni ujrzeli? alboż pałasz pruskiego żandarma koniecznie objektyw-

nym znaczkiem spaść nam ma na kark w czasie pogrzebu księdza Halbrota, ażebyśmy w głębi swego jestestwa poczuli tę „nową krzywdę“, tę krwawą obelgę i to „zelżenie mego ludu“, które Ewelina ustami swemi zdejmuje z czoła i policzków kochanego człowieka? alboż na promiennych skrzydłach miłości i nadziei ten „żal“, ta „gorycz“, ta „rozpacz“, te szlązkie „kłopoty, łzy, cierpienia“ błyszczą mniéj płomiennie, drżą mniéj tkliwie, mniéj rzęsistemi smugami skarg i wyrzutów kładną się na białe, czyste, świéże łono współrodaczki Glücków i Haydnów, niż kiedybyśmy je oglądali na własne oczy u państwa Krempów wśród nawałnicy administracyjnych pogróżek i hakatystowskich złorzeczeń Dauma? — Wróćmy na parę jeszcze minut do tego saloniku, w którym Ewelina wstydliwie uchyliła przed nami pierwszy rąbek dziewiczego swego serca, powiadając: „Gdyby mi téż Pan Bóg dał, by mnie jaki grajek chciał“...

Zaledwie mazurek umilkł, gdy do siedzącéj przy pianinie przypadła służąca Tekla i całując ręce ze łzami w oczach mówiła:

— Zaś to było cudnie! Bóg zapłać panience! I w samym kościele tak pięknie nie śpiewają!

Wszyscy pośpieszyli z pochwałami i podzięką. Wreszcie zbliżył się pan Daum. Od początku wieczora był rozdraźniony. Kiedy pani Krempowa uskarżała się na szkoły niemieckie, że nagradzają kłamstwo i pochlebstwo, że syna jéj ukarano za to, iż nie chciał przypuścić aby matka szczepiła w nim fałszywe wyobrażenia o historyi Szlązka, przedstawiciel niemczyzny próbował d r w i n a m i zbić z tropu rozżaloną kobiétę:—„Więc my wszyscy jesteśmy, zdaniem pani, wychowywani w kłamstwie i pochlebstwie? — Cha, cha, cha! to doskonałe! Jeśli tak mówi Niemka, za jaką uważam panią, cóż dziwnego, że Szlązacy walą góry potępienia na nasze szkoły!“ A kiedy znowu Sobolski, biorąc w swe ręcę obronę czysto naukowego, ściśle pedagogicznego kierunku w wychowaniu szkolném, dowodził, iż szkoła, która obrzuca błotem i hańbą wszystko co nie wchodzi w cykl c i a s n y c h idei państwa pruskiego, zasługuje na naganę, na potępienie każdego człowieka wykształconego, dr. Daum pobladł z o b u r z e n i a: — „Ostrożnie, panie Sobolski—wołał—użyłeś pan niewłaściwego tonu, mówiąc o Prusakach. Nie zapominaj pan, że my tu wszyscy, prócz pana, c z u j e m y s i ę Prusakami i j e s t e ś m y d u m n i z tego. Dostawszy i na tym punkcie odprawę nawet od staréj Krügerowéj, która oświadczyła, że jest Niemką, z Bawaryi, nie zaś Prusaczką, Daum przyczepił się teraz znów do Eweliny, gdy piosnkę skończyła... — „Wyrzeka się pani Prus — mówił do niéj z u ś m i e c h e m z j a d l i w y m — chce pani pozostać Niemką... a pra-

gnie być Szlązaczką"... Spuściła oczy i lekko zarumieniona odparła: —„Śpiewając, nie myślałam o polityce"... Daum dusił się od bezsilnéj złości. Siadł wreszcie w kącie salonu i tak rozmyślał: „Nie ulega wątpliwości, że ten Krempa jest szlązakiem, a w każdym razie nie jest zdecydowanym patryotą niemieckim... Jego żona, pani Marya, to Szlązaczka udająca Niemkę. Ewelina z rodu Niemka i szczera Niemka—a i ona przecież przechyliła się ku Szlązakom... A więc, cóż właściwie on, doktór Daum, robi w tém towarzystwie tak niewyraźném i chwiejném?... Wszedł tu dzięki pięknéj pani Maryi... Ona i teraz jest powabna i ponętna. Poromansowałby z nią, przywiódłby ją do upadku chętnie, z przyjemnością, bodaj ze względu na jéj zakapturzoną szlązkość... Wpadła mu w ręce jéj siostra Herminia. I ta ma wdzięk sobie właściwy,—ładna, młoda, przyjemna... Honor nakazuje ożenić się z nią... Hm, tak...—ale z rodziną jéj zerwie... A może i nie, gdyż"...

Rozmyśla doktór Daum prawidłowo. Wszyscy zresztą Niemcy na Szlązku, równie jak i on, rozumują logicznie, uśmiechają się w porę, gestykulują regularnie, a mówią najpoprawniéj i w nieposzlakowanéj zgodzie z ogólnym tematem swych stanowisk, jako strony czynnéj, wysuniętéj w powieści — pospołu ze stroną szlązką — na front główny. Ich narady i rozprawy śmiało mógłby drugi jakiś Liwiusz zaciągnąć do swojéj kroniki. Nie przeszkadza to krytyce utrzymywać, że nawet w Liwiuszach „rzeczywistość" bywa niekiedy papierową, skomponowaną na urząd, dopasowaną do normy naczelnego założenia historycznego. W „Szarańczy" Gruszeckiego pierwszoplanowa ta rzeczywistość niemiecka, tak samo jak i pierwszoplanowa ta rzeczywistość polska posiada obfity, obficie zgromadzony rynsztunek obozowy, zewnętrzny, anatomiczny i fizyologiczny, ale prawie po mateykowsku nałożony na psychologię tłumów. I kiedy pod własną zbroją Niemiec rusza się, gada i rezonuje po swojemu, to Szlązak — zwłaszcza chłop — w swojéj siermiędze, w swojéj czapie, w swoich butach, nietylko obraca się, sapie, klnie, stąpa, wierzga i pluje, lecz miłuje, nienawidzi, rozckliwia się, roznamiętnia — żyje po szlązku. Zmięszane razem, wygląda to dziwnie. Wyobraźmy sobie zabawę towarzyską z piętnastu, dwudziestu osób — przy stole. Wkładki są równe: po talarze. Jakże szeroko otwieramy oczy na widok, że jedni płacą rzetelną gotówką, drudzy żetonami, liczmanami—i nikt się na tém nie spostrzega. Czy nie spostrzega się i sam autor? Prawdopodobnie. Gruszecki, niestety, nie jest Niemcem, i jak zaraz zobaczymy, nie jest nawet żydem. Zmierzyć i odmodelo-

wać antropologicznie czaszkę niemiecką, skroić po rzeźbiarsku, po fidyaszowsku bodaj (dowodem Ewelina) pierś niemiecką—stać go na to; wsadzić z siebie pod tę czaszkę mózg niemiecki, wlać z siebie do téj piersi duszę niemiecką — nie umié, nie zdołał przynajmniéj tym razem w „Szarańczy“. A wszakże sztuka, któréj jest tak szczerym wielbicielem i często mistrzem pierwszorzędnym, wyciągała ku niemu rękę i w téj również potrzebie. Po co tak skrzętnie, upornie wszędzie i zawsze wysuwać modele i kroje niemieckie na czoło akcyi objektywnéj, skoro w tylu wypadkach łatwiéj je było odźwierciedlić w pierwszoplanowym subjektywizmie polskim, jako otoczenie obce w potoku swojskim. Potok drga, wre, wzbiera nadmiarem prawdy, realizmu—to i odwzór nie mógłby wypaść nierealnie. Nie znaczy jeszcze, że chcielibyśmy żywioł niemiecki — *respective* ogólno-cudzoziemski—pozbawić całkowicie przedmiotowego a frontowego w powieści stanowiska. Pragnęlibyśmy tylko, aby w niéj jaknajwięcéj znaleźć się mogło takich oto, jak następujący, od wzorów rzeczywistości postronnéj, skąpanéj w przeczystém świetle podmiotowości rodziméj:

Marya Krempa, po cudowném wyzdrowieniu swojego synka Adalberta, który padł był ofiarą nienawiści i zawziętości niemieckich swych kolegów szkolnych, powraca z Częstochowy, doznawszy drugiego z rzędu cudu: przekonała się naocznie, namacalnie, wszystkiemi zmysłami duszy, że ten biedny i zahukany lud szlązki nie jest samotny na świecie, że „ojcowizna“ jego nie kończy się i nie zaczyna na wązkim cypelku ziemi nadodrzańskiéj, zatopionym — zdawałoby się, już od czasów Noego w oceanie niemieckim... Szlązacy mają pobratymców, braci, przyjaciół, współwyznawców. W pogadankach z mężem coraz częściéj i natarczywiéj powtarzała pocieszające i ważne to odkrycie, nakłaniając go do opuszczenia współpracownictwa w dzienniku niemieckim, prześladującym i czerniącym Szlązaków. Pan Krempa czas jakiś stawiał namowom opór twardy, niekiedy nawet ostry. Cóżby z sobą począł, dokąd się uda?... Wie on dobrze, że tam, za kordonem, w stronie Częstochowy są rodacy, ale jakaż ich możność? — jaka potęga? w czém ulżyć zdołają Szlązakom?—Sumienie jednak gryzło... Szukał w głowie wyższych racyi stanu dla usprawiedliwienia przed żoną swego mimowolnego stanowiska w obozie nieprzyjaciół. Pewnego dnia, gdy pani Marya ozwała się ponownie ze swojém ostrzeżeniem, powiadając: „tysiące przecież ludu i tysiące takich, jak ty i ja, oddają tam pokłon Królowéj swojéj, modlą się, mówią po naszemu, nie znając ani języ-

ka Niemców, ani ich oświaty“—on wstał i w milczeniu przeszedł się kilka razy po pokoju, wreszcie zatrzymał się przed nią i rzekł:

— Przypuśćmy, że ty masz zupełną słuszność, ale raz jeszcze pytam, co zyskają na tém Szlązacy? Jednocząc się z Niemcami, stają się wspólnikami wysokiej kultury, daleko posuniętej cywilizacyi, przyswajają sobie obyczaje i zwyczaje narodu, który je wypróbował przez tysiąclecia...

— I zginą bez śladu, utracą swą osobowość — przerwała żona, — zmarnują cały dorobek swéj przeszłości, zostaną zawsze upośledzonymi mieszańcami, wyrzekną się siebie dla idei pangermanizmu. Swoje dobro stracą, a cudze ich przygniecie. Jakaż ztąd wygrana dla téj czy innéj cywilizacyi?

Po dłuższém milczeniu odezwał się mąż;

— To dziwne, Maniu, zkąd wzięły się u ciebie takie myśli, poglądy społeczne i polityczne... Gdyż zmiany twych przekonań nie tłómaczy dostatecznie Częstochowa...

— A moje bezsenne noce — żywo pochwyciła kobieta — gdy tak się znęcano nad naszym Adalbertem? A przejścia z wujem Szymiczkiem? A pogrzeb księdza Halbrota? Czy sądzisz, że to wszystko odbiło się odemnie bez dźwięku i bez łez, bez bólu i bez następstw?...

Jak w téj duszy niewieściéj narastają łzy i bóle, tak w opowiadanie autora, wszędzie najściśléj trzymającego się metody powolnego kojarzenia drobnych przyczyn na donioślejszy skutek, gromadzą się refleksye Szlązaków nad ich położeniem i dolą wśród otoczenia niemieckiego, ale się gromadzą wśród zanadto licznych szkopułów i zawad p r z e d m i o t o w é j expozycyi tego otoczenia. Ogranicza to i zacieśnia zakres akcyi naczelnéj, z powołania i pochodzenia swego objektywnéj a swojskiéj; jednocześnie zaś odbiera powieściopisarzowi możność swobodnego, szerokiego mienienia jéj fal obrazowych w odblaskach własnego indywidualnego natchnienia. Traci na tém dzieło sztuki, wszelka bowiem twórczość tém więcéj skupia w sobie prawd i wieszczb nieśmiertelnych, im głębiéj dostroimy ją do tęsknot i modłów n a s z é j duszy, im wspanialéj czoło jéj ozdobimy „kwiatem n a s z y c h uczuć i przędzą n a s z y c h myśli”.

Zbyt rozległy, międzynarodowy niemal widnokrąg „Szarańczy” niepomału zapewne przyczynił się do tego, że artystyczna ich synteza pozostawia nieco do życzenia. Natomiast na innych powieściach Gruszeckiego, gdzie zarówno osnowa wypadków jak i ich otoczenie społeczne, towarzyskie, trzymają się progów domowych, ojczystych, nie ciąży najlżejszy zarzut pod względem architektoni-

cznego urównoważenia dwóch tych światów; jeden i drugi — akcya i jéj podłoże — tak ściśle wszędzie uzupełniają się wzajem, tak logicznie z sobą się wiążą, jak gdyby nigdy nie zaznały mąk porodu, zestawienia, wyboru, eliminacyi, zcalenia. Warunki i okoliczności, w jakich pewna grupa osób powołaną zostaje do działania, ani się nie podsuwają pochlebnie pod stopy działalności, ani też nie ujarzmiają jéj niewolniczo; toczą się z nią współrzędnie, niekiedy tylko, być może, nieco za prawidłowo: dość jest nieraz u Gruszeckiego zmierzyć wypukłości i pochylenia środowiska, aby módz napewno przewidzieć, jaki będzie przebieg wypadków głównych. Daje się to szczególnie zauważyć na takich powieściach, jak „Krety" lub „Hutnik", gdzie do zapasów z otoczeniem martwém (kopalnie węgla) lub mechanicznie ożywionėm (przetapianie rudy cynkowéj) występuje masa robotnicza, przykuta do taczki zajęć ciężkich, jednostajnych, wyczerpujących siły, wykoszlawiających i zatruwających przyrodzony wzrost i rozwój organizmu ludzkiego. Ale i tu nawet, wśród tych ciemnic i piekieł, jeszcze jaśniejsze słowo przeznaczeń ludzkich — wola, wolność, nie daje ostatecznie za wygraną ślepemu fatalizmowi poddania się i pokory. „Czterdzieści lampek górniczych rozświetlało odwieczne ciemnice, w których pracował człowiek. Każda piędźtéj ziemi, każdy załom, wklęśnięcie, każda szczerba to ślad pracy zawziętéj, usilnéj, nieustającéj. Ani twardy granit, oporny piaskowiec, zdradliwy łupek, uparta glina, podstępny piasek, zawzięta woda — nie wstrzymały postępu pracy ludzkiéj. Małe karły, uzbrojone tak pierwotnemi narzędziami jak oskard-młot i świder-dłuto, pruły wnętrzności olbrzyma ziemi, bez przerwy, bez wytchnienia, bez znużenia, z przyświecającą jak lampka górnicza nadzieją, że z przepaści wyjdą zwycięzcami. Od czasu do czasu zniecierpliwiony olbrzym kapalni otrząsnął się z niemiłych karłów, zgruchotał ich kości, odświeżył się ciepłą krwią, odetchnął jękiem, zamarzył o przedwczesnym spoczynku nicości. Ale wnet zbudziły go uderzenia oskardów, zgrzyty świdrów, gwizd maszyn, blade światełka lampek — i daléj wrzała walka nieustająca, nieubłagana, zawzięta, nieprzejednana. Na każdym chodniku, w każdéj pochylni to ten to ów górnik wspomniał przeżyte dzieje, westchnął za towarzyszem, rozświetlił na chwilę podartą w strzępy ścianę, skinął głową na znak, że poznaje miejsce,— i szedł daléj z niezachwianą wiarą, iż chociaż śmierć zajrzy mu w oczy, on jéj uniknie, rzuci na jéj pastwę swą ciężką pracę, sam wróci do oczekującéj go rodziny i znów ją zobaczy w promieniach jasnego słońca"... To trudno: ziemia, wcześniéj czy późniéj, wszystkich nas pochwyci

w swe chłodne objęcia, z każdego z nas zedrze „tę szatę ciała", ale duch... Ach ten duch, tak nieraz wiotki, tak chwiejny — ugina się i on często pod potężnemi łapami bezdusznego, materyalnego otoczenia. „W hali olbrzymiéj, murowanéj z kamienia, nakrytéj dachówką, wspartéj na belkowaniu żelazném, z podwójnym daszkiém u wierzchu dla dostępu powietrza i dla utleniania wywiązujących się gazów, stoi pośrodku dwadzieścia pieców hutniczych, mieszczących wewnątrz każdy po osiemnaście glinianych tygli. Tygle, ogrzewane płomieniem węglowym, utleniają swoją zawartość z rudy w gazy, z których tlenek cynkowy skrapla się w oziębionym zbiorniku, inne zaś gazy palą się jasno u wylotu osiemnastu rur w trzech kolorach, wychodzących z pieca — białym, seledynowym i niebieskawym... Smutno i pusto było w olbrzymiéj hali, oświetlonéj tak barwnie, z taką rozrzutnością kolorów. Tylko szum ognia i szmery płomieni łączących się z powietrzem odzywały się jednostajnie od końca do końca pieców hutniczych. Ostre, niemiłe ognie ulatały w powietrze... Dziwne przeciwieństwo pięknych, jasnych, różnokolorowych płomieni z posępnemi twarzami siedzących, z których każda nosiła na sobie piętno choroby, nurtującéj organizm, wkradającéj się zwolna, ale nieubłaganie w płuca, krew, serce... Żadnego gwaru, łoskotu, hałasu, bo tu nie maszyny, ale płomienie ogniste są zaprzężone do pracy wytwórczéj. A płomień nie warczy, nie grozi, nie ostrzega, on ślizga się cicho, podstępnie, a objąwszy nie zabija, lecz dusi... Czasem z huty wysuwał się koń, ciągnąc wagonik napełniony gorącemi, zwęglonemi resztkami nabojów tyglowych. I koń, podobnie jak ludzie, w téj pracy, wśród zaduchu gazów, gwałtownéj zmiany temperatury, tracił wkrótce swój temperament, wesołość, siłę. Z głową pochyloną, ociężałą, szedł jak skazaniec, patrząc smutnie swemi wielkiemi oczyma; tylko gdy doleciało go rżenie wiejskich koni, zastrzygł uszami, podniósł trochę łeb w górę i zarżał przeciągle na powitanie — czy na pożegnanie... Dzień wiosenny był ciepły, pogodny... Chwilami z dalekich pól i lasów powiał wiatr świeży, odsunął na sekundę żółtawy pył, dozwolił robotnikom odetchnąć głębiéj czyściejszem powietrzem i uciekał daléj na pola i bory. A pył znowu migotał w promieniach słońca, napełniał rozpalone, zaduszne powietrze; delikatny, subtelny, lekki, wchodził w usta, nos, oczy, uszy; przedostawał się przez okrycia, bieliznę; korzystał z każdego otworu, by tam zapuścić swe żądła jadowite. Ze wszystkich stron hali odzywał się wśród milczenia pracujących kaszel chrypliwy i nieustanne spluwanie. Czasem, zniecierpliwiony robotnik zaklął siarczyście bezdźwięcznym głosem, lub

porwany gwałtownym kaszlem, szukał bezskutecznie czyściejszego powietrza... Tylko miłość — podobnie zresztą jak i nienawiść — obojętną była na tło tak złowrogie. Ta hala szara, brunatna, pokryta żużlami i popiołem, z rozpaloną ziemią, ziejącą zatrutemi gazami i pyłami, unikana starannie przez ptactwo i zwierzęta, nie odstraszała zakochanych. Nawet sam ten pył zjadliwy, ostry, gryzący zostaje sprzymierzeńcem miłości, gdyż na razie podnieca, pobudza, roznamiętnia zmysły, zanim, zatruwszy organizm, doprowadzi do znieczulenia skóry i zwiotczenia mięśni"... Znękana i stargana w skaleczoném ciele dusza, wyrywa się od czasu do czasu — w dnie świąteczne lub odpoczynkowe — z okropnéj téj kaźni, pędzi do gospody, na targ, do kościoła, w pole... Niedaleka droga! „Oto ubogie, na pół zeschnięte sosny wyciągają w niebo swe nagie konary, jak gdyby błagały ratunku i miłosierdzia... To tak zwany lasek martwy. Drzewa bronią się rozpaczliwie przed nieuniknioną zagładą, która nieustannie krąży nad niemi i wśród nich w postaci zjadliwego dymu z poblizkich hut i fabryk. Szczególna cisza panuje dokoła tych smukłych pni, zaledwie u wierzchołków, w koronie, licho ulistnionych. Z każdą wiosną puszczają młode pędy, zdrowe, świeże, zielone, połyskują dumne w słońcu, odżywiając suchotniczy pień ojczysty. Lecz gdy je owieje dym zabójczy, raz, drugi i dziesiąty, stracą szybko swą młodość, zmarszczki starości się mnożą, stają się ostre, zgryźliwe jak wiek sterany bez nadziei i padają na suchą, gdzieniegdzie zaledwie nędznie porośniętą ziemię, by choć rozkładem swoim służyć drzewu za pokarm. I znów wychylają się nowe pąki, ale coraz mniéj liczne, mniéj silne, mniéj zdrowe... Żaden ptak nie ściele tu sobie gniazda, nie śpiewa, nie troszczy się o przyszłe swe pokolenie; groza czającéj się śmierci odstrasza skrzydlatych śpiewaków. Czasem tylko zrozpaczony robotnik bez zajęcia, czasem nędzarz nie umiejący znieść niedoli poszukują tu sobie spoczynku... I znajdują go zawsze... Nie jedno złamane klęskami i trudem ciało zawisło na tych czarnych, obnażonych gałęziach".

Inaczéj nieco, chociaż nie tak znowu bardzo inaczej, dzieje się na wyżynach społecznych, dogorywających cywilacyjnie wśród nowych, nieznanych przedtém otoczeń. Ziemianie, hucznie, wesoło, „po dawnemu" tracący resztki fortun na salonowém próżniactwie, rojnych polowaniach, grze w karty, pokątnéj rozrywce z guwernantkami francuzkiemi i dający się zarazem lekkomyślnie a niesfornie obdzierać ze skóry sąsiedniéj cukrowni („Tuzy"), możnowładztwo, podtrzymujące splendor swych domów związkami z domierająca anemicznie arystokracyą zagraniczną i jednocześnie wylewające

ostatki swéj żywotności rasowéj w romansach z córkami rządców i dzierżawców („Rugiwojscy"), podupadli szlachcice, zakupujący wotywy po kościołach dla uproszenia Boga o giełdową, „haussę" lub „baissę", która szczątek ich fortun pomnoży w czwórnasób... ale już w kieszeniach roztropnych, czujnych bankierów („Szachraje")— wszystko to najniezawodniéj żyje życiem własném, samoistném, aryjskiém, słowiańskiém, nawet polskiém, niezależném w gruncie rzeczy od otoczeń żydowskich, niemieckich, lub... chamskich. Jeździ jeszcze na swoich koniach, ręczy swoim honorem, posiada swoje rodowody, przechowuje portrety swoich przodków, przemawia do służby swoim językiem. Pomimo to wszakże, nie sposób zataić, że i tu również, jak na nizinach lub w podziemiach, życie to swojskie, więcéj ruchliwe niż działające i więcéj rozgadane niż do czucia i myślenia usposobione, zmierza u Gruszeckiego nieco za konsekwentnie do swego epilogu. Sprawił to prawdopodobnie długi publicystyczny zawód autora, iż w jego opowiadaniach zachodzi stale pewna, prostolinijna niemal ciągłość powszednich przypadłości bytu, nanisanych niby na dobrze ułożony sylogizm sytuacyi. „Rugiwojscy", „Szachraje" i t. d. są z tego względu jakby problematami matematycznemi, których rozwiązania, ukrywające się na razie ze swą widocznością wewnętrzną, ujawniają ją szybko—w miarę jak niewiadome ilości otoczenia wchodzą do szeregów ilości wiadomych, czynnych—i z niemi się wyrównywają. Dla autonomii ducha ludzkiego, dla polotu lub tylko przejścia jego swobód trochę tu za ciasno. W grubych pokładach spraw ziemskich, krzyżujących się z sobą na podstawie interesu, instynktu, namiętności — żądza świętsza, dążność podnioślejsza nie ginie wprawdzie bez śladu, ale się w ich łonie wije, jak nikła, cienka żyłka drogiego kruszcu w warstwach gleby ciężkiéj, lepkiéj, nieraz plugawéj. Człowiek, ściśnięty i osaczony zewsząd nieubłaganém, wiekuistém wzorowaniem się skutków na obraz i podobieństwo przyczyn, tu i owdzie kocha idealnie, wierzy w szczęście czyste, niezmącone, z zawiązanemi oczyma kładnie na pieniek głowę w obronie sprawiedliwości,—naprawdę atoli ideałów tych i szczęścia tego i sprawiedliwości téj jest w całym wszechświecie zaledwie tyle, co w owym „romansie gwiazd", o którym w „Nawróconym" Baliński opowiada Karolci—szczerze, jak się zdaje, i najzupełniéj uczciwie.

Z tém wszystkiém, co za różnica z fatalistycznie ożywionem materyalném podłożem Zoli! Spójrzcie—przed chwilą właśnie spadła na ziemię jedna z tych niebieskich gwiazd Balińskiego. Zasiadł nad nią („W starym dworze") syn chłopski, Pawełek, i rozmyśla sa-

motnie. Tam obok w sąsiedniéj komnacie, gdzie niegdyś podejmowano senatorów, książąt, królów, na odrapanym fotelu z czasów wyprawy wiedeńskiéj wyciągnął się protoplasta nowéj gałęzi dziedziców zamku, stary Maluk, dziadek Pawełka. I on również zadumany. Sklepione powały omszonego magnackiego otoczenia istotnie mają w sobie coś takiego, co sen z powiek płoszy, roje myśli napędza. Zadumał się siedmdziesięcioletni Maluk nad ceną zboża, nad pilniejszemi długami, nad posagiem córek, nad przyszłością synów, nad przeszłością swoją... „Widział siebie najpierw kozaczkiem, późniéj czumakiem, późniéj dorobkiewiczem... Do niedawna brakowało mu tylko ziemi i dworu. Teraz posiadł już i ziemię, i dwór, i statki, i bogactwo,—ale cóż, herbu niema. I zawsze on tylko Maluk i jego dzieci, wnuki, prawnuki—Maluki, taj hodi! Ach, gdyby to zmienić, gdyby chociaż wnuki byli tacy, jak szlachcice bywają... Niechby ich chłopi po rękach całowali, w pas się kłaniali, szanowali, a tak się bali, jak prawdziwych szlachciców!"...

Pawełek nie spuszcza tymczasem oczu z gwiazdy. Rośnie ona przed nim, promienieje dokoła, coraz szerzéj roztacza swe blaski, do duszy mu zagląda, zewsząd go ostępuje, całego pochłania... Rzadki meteoryt, dziwny posłaniec dalekiego, niewiadomo czy żyjącego, czy już może zamarłego świata! Znaleziono go trafem, w murze zamczyska, kiedy przestawiając lub wyprzątając na sprzedaż staroświeckie graty, zawieszano bieliznę dziewek i kożuchy parobków na sznurki od kotar królewskich, a zsypywano ziemniaki i owies na miejsca, z których niegdyś pito zdrowie Czarneckich, Żółkiewskich, Sobieskich... W hebanowéj szkatułce, okutéj bronzami, odkryto jakieś urzędowe akta, pożółkłe, na grubym papierze, z mnóstwem pieczęci; następnie były kartki drukowane na grubéj bibule; daléj pakiecik, obwiązany starannie wyblakłą, niepewnego koloru wstążeczką, i malutki, ozdobiony brylancikiem pierścionek z napisem: „im daléj tém ściśléj". Na wierzchu leżała miniatura, okolona złotą obrączką. Na miniaturze był wizerunek. To ona — poznali ją wszyscy i odrazu,—ta sama, co i na wielkim portrecie jednéj z sal dworu: te same błękitne oczy, ta sama jasna twarz okolona puklami włosów. Z drugiéj strony miniatury był wizerunek młodego mężczyzny — ale już nie tego, co w sali, nie męża tamtéj, nie kniazia Żywulta. Ciemne włosy, krótko ostrzyżone, odznaczały piękny kształt głowy; czarne oczy patrzyły śmiało, mały wąs przyciemniał ponsowe usta, na których zawisł łagodny uśmiech; wysoki wyłożony kołnierz, rozpięty na szyi, pozwalał dojrzeć bogatą spinkę błękitnego żupanika... Stary Maluk schował kosztowności do kieszeni, papiery oddał wnukowi do

odczytania. Pawełek pochwycił z żywością. Kto wie?—może to była jego nobilitacya, o któréj dziadek tak uparcie marzył,—może to był patent... na szlachectwo duszy. Zdarza się niekiedy, że jedno słowo, jedno nawet skinienie wykréśla nam drogę na całą przyszłość, staje się naszém otoczeniem na całe życie. Najbrutalniejsze przędziwo rzeczywistości bieleje pod ciepłém, słoneczném spojrzeniem oświaty, towarzyskości, humanizmu.

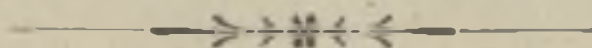
Pawełek czytał... pozierał oczyma:

List bez daty. „Któż wstrzyma rozhukany ruczaj, gdy wezbrawszy wodami, leci z gór w doliny, niesie bryły, chaty i dobytek? Któż wstrzyma zapęd zranionego serca?.. O Kamilo! czy pomnisz dane mi przyrzeczenie? Słów było mało, lecz twój wzrok tkliwy, twe łzy i twarz anielska powiedziały mi więcéj... Napisz, odezwij się, nawet twe okrucieństwo będzie litością. Dowiem się, że żyjesz, że przed nami nadzieja, a nie smętny grób... Twój Stanisław"... Data 1784: „Nieba!—dodajcie mi sił, dodajcie życia, dodajcie odwagi, boć i odważny nikczemnym się stanie, gdy czarna śmierć wnijdzie do duszy i skazi serce... Kamilo! o Kamilo!—zatém ty mnie odrzucasz?.. Tę tkliwą, lubą, szlachetną, trwożliwą Kamilę znęciły tytuły i skarby, ona woli deptać wierne serce, byle zostać kniaziową,—J. O. księżną?.. Kamila drugiego małżonką? Jéj dobry uśmiéch dla innego, jéj włosy, oczy, ona cała do innego należéć będzie?—Ależ to niemożliwe—ja mam twe serce, twą duszę, twe łzy, twe westchnienia! Powiedz, Kamilo, że to zły sen, że to zmora nocna, że to bolesne przywidzenie,—ja tylko śnię okropnie... I czy wiesz, kto zacz kniaź Lew Żywult? — Znają go szulernie warszawskie i płoche niewiasty: zausznik i zaprzaniec, on ciebie, twe dobra, rodziców i wszystkich przegra w karty, sprzeda i wydrwi... Więc cię utracę!.. Żyj szczęśliwa i wesoła, obyś w kniaziu znalazła tę przyrodzoną czułość, którą ma każdy człowiek na widok piękna i cnoty... List to mój ostatni—nie godzi mi się bałamucić cnotliwe małżonki, nie godzi się i tobie zaprzątać głowę obcym. Wkrótce zabrzmią surmy wojenne, tam znajdę ukojenie, gdzie obowiązek mnie powoła. Bądź spokojną i szczęśliwą"...—Rok 1790: „Jaśnie oświecona Księżno! Obowiązek skłania mnie, bym po latach milczenia odniósł się do księżnéj, iż jéj małżonek oddał w zastaw jéj rodzinną majętność. A gdy się okazało, że dobra te do niego nie należą i dokument był fałszywy, sprawa poszła do sądu koronnego, grozi mu hańba i banicya. Dla honoru twego i twéj córki, udziel mu... żądanego dokumentu"... Rok 1797: „Od ziomków się dowiedziałem, że kniaź Żywult umarł, zostawiając w smutku wdowę i córkę. Gdy losy i obowiązek trzymają mnie

zdala od kraju, a żołd wystarcza na wszystko, pozwól pani, bym twéj córce, którą kocham jako córkę Kamili, ofiarował na zawsze i po wsze czasy Babin z folwarkami. Tam przed laty, gdy lube złudzenie napełniało duszę moją, zgromadziłem wszystko, by godnie przyjąć tę, którą w ciszy nocy, w snach i dumaniach moją nazwałem. Niechże ten dwór służy córce, gdy losy odmówiły, by służył matce"... Bez ściślejszéj daty: rok 17... „Przyjmuję i ten warunek, iż gdy wrócę, osiądę w Babinie. Tu, wśród świstu kul, pękania granatów, lub téż gdy patrzę na cuda natury włoskiéj, na błękitne wody,—dziwny żal i tęsknota ogarniają duszę. Jedyną pociechą, że ciebie, pani, widzę w Babinie, że znając te komnaty od dziecka, wiem, gdzie siedzisz, co robisz, co nucisz—że tam w ogrodzie przechadzasz się w cieniu lip i jesionów, że tam toną twe westchnienia, gdzie i moje ulatywały, że twe łzy poją kwiaty, które wyrosły na téj ziemi oblanéj memi łzami"... Rok 17... „Mimo burze i wiatry, mimo zmienność losów i życia, mimo smutne wypadki—kocham, Kamilo, ciebie jak w pierwszych dniach. Wśród trosk i cierpień, tam gdzie wahało się życie lub obowiązek, twój obraz, pani, przeważał zawsze na dobrą stronę: szalka padała zawsze na stronę honoru. Tyś mi zawsze była opiekunką i aniołem, i choć usta miałem pełne goryczy i wymówek, serce było tkliwe i zawsze kochało... Piszesz o trwodze, o przeczuciu, że ów pierścionek, zakład naszéj pierwszéj miłości, przeraża się dewizą: „im daléj tém ściśléj". O, tak, Kamilo, im daléj w życie, tém ściśléj się złączymy... i w jednym grobie spoczniemy, bo i śmierć jest litosną, gdy łączy razem kochanków... Lecz pocóż o śmierci pisać, gdy ona zbiera w tych morderczych czasach tak obfite żniwo... Dlaczegóż nas, tak maluczkich, wśród wszechświata miałaby wyszukać, upatrzyć i nie dozwoliłaby mi ujrzenia twéj anielskiéj twarzy za życia? Jeśli cnota i poczciwość zda się na świecie, toż chyba nie na utrapienie i mękę, lecz na radość i spokój"...

Najwytworniejsza sielanka wieku XVIII-go w grubych plebeuszowskich ramach naszego czasu,—ociężała i nieobrotna bryła z chłopska pojętéj rzeczywistości zataczająca się powoli, ruchem zaledwie dającym się dojrzéć, dokoła dalekiego, przebrzmiałego, zapomnianego drgnięcia dźwigni idealnéj,—cóż to za klejnot! Oglądamy to raz, drugi, dziesiąty—i jeszcze tego mamy za mało. Odtąd nie wątpi się o potędze pewnych środowisk moralnych, których wpływu i oddziaływania nie widzi się faktycznie nigdzie.

J. T. H.



HISTORYA POWSTANIA PIENIĘDZY.

Patrząc na szybki rozwój etnologii w ostatnich kilku dziesiątkach lat, dziwić się musimy, w jak krótkim przeciągu czasu nowa ta nauka zdołała wywalczyć sobie prawo obywatelstwa w szeregu innych dyscyplin naukowych. Co prawda, obywatelstwo to jest tymczasem, mianowicie co się tyczy praktycznéj jego strony, więcéj obywatelstwem honorowém, ale jest to już zwykły los wszystkich nauk teoretycznych. Nie stojąc w bezpośrednim związku z życiem, nie mając praktycznego zastosowania, są one pewnego rodzaju zbytkiem, na który w większych rozmiarach pozwolić sobie mogą tylko społeczeństwa zamożne. Etnologia, jako nauka teoretyczna, znajduje się w podobném położeniu. To téż zaledwie wielkie ogniska oświaty posiadają na katedrach uniwersyteckich urzędowych jéj przedstawicieli. Tam jednak, gdzie kwestyę „zwyczajnéj“ lub „nadzwyczajnéj“ uczoności traktuje się jako nomenklaturę urzędniczą, w rzeczypospolitéj uczonych, etnologia cieszy się już równouprawnieniem najzupełniejszém.

Do rzędu wybitniejszych, choć młodych wiekiem przedstawicieli téj gałęzi wiedzy w Niemczech, należy H. Schurtz, uczeń F. Ratzla, czas jakiś docent etnologii w Lipsku, obecnie asystent muzealny w Bremie. Przysłużył on się już nauce szeregiem poważ-

nych prac, a z treścią i wynikami ostatniéj z nich [1], chcemy właśnie zapoznać czytelnika. Wspomniawszy na początku o nowéj nauce, mimowoli wywołujemy pytanie: Jakież są zadania téj nowéj nauki? Na to pytanie, niezbyt może wyczerpująco, ale trafnie odpowiada Schurtz na czele swego studyum. Etnologia pragnie dać szerszą i pewniejszą podstawę teoryom naukowym wszystkich pokrewnych jéj gałęzi wiedzy, które już dosięgły znacznego stopnia rozwoju; pragnie, w celu ich potwierdzenia, lub gdy wypadnie zmodyfikowania, a nawet całkowitego odrzucenia, odszukać i zbadać początki tych teoryi wśród ludów pierwotnych. Możnaby wyliczyć długi szereg prac etnologicznych, które wychodząc z podobnego założenia, usiłowały wyjaśnić genezę prawa, rodziny, zbadać początki literatury, sztuki lub medycyny. Schurtz, posiłkując się metodą etnologiczną, postanowił zbadać historyę powstania pieniędzy.

Historya ta daje nam rzeczywiście jeden z najbardziéj pouczających przykładów ciekawego stosunku etnologii do jednéj z pokrewnych jéj gałęzi wiedzy. Historya ta, o ile została dotąd skreśloną przez ekonomistów, opiéra się wyłącznie na źródłach klasycznych, lub czerpie materyał swój z dziejów narodów cywilizowanych, zajmując się nadto prawie wyłącznie pieniądzem w ścisłém, europejskiém znaczeniu tego słowa. Po za te granice nie zapuszczano się dotąd, lub jeśli się zapuszczano nawet, to czyniono to nie dość systematycznie. Tymczasem, wychodząc z punktu widzenia etnologicznego, „pieniądz“, jako pojęcie, spotykamy już bardzo daleko po za granicami ludów cywilizowanych. Zadanie zaś właśnie etnologii polega nie na pisaniu historyi pieniądza w naszém, współczesném rozumieniu tego słowa, lecz na wykazaniu, jakie były pierwociny, z których rozwinęło się to pojęcie i jakie stadya jego rozwoju historycznego jesteśmy w stanie wykazać dzisiaj na podstawie materyałów etnograficznych i historycznych. Jedną z najważniejszych dotychczasowych zdobyczy etnologii jest sformułowanie prawa, iż nigdy zwyczaj jakiś lub urządzenie społeczne nie powstaje nagle z niczego, lecz że początki jego sięgają zwykle bardzo głęboko i długo, bardzo długo rozwijać się muszą niepokaźnie, zanim przybiorą formę bardziéj doskonałą i okazałą. Już *a priori*, na podstawie tego prawa, wyciągniętego z badań etnologicznych w innych kierunkach, możemy przypuszczać, że i dzisiejsze pojęcie „pieniądz“ musi mieć po za sobą długą historyę rozwoju. Nadto, trochę choćby tylko głęb-

---

[1]) *Grundriss einer Entstehungsgeschichte des Geldes.* Weimar, 1898.

sze zastanowienie doprowadza nas do wniosku, iż to, co dziś nazywamy pieniądzem, jest tylko pozornie pojęciem jednolitém, w rzeczy zaś samėj stanowi pojęcie bardzo złożone. Bo czyż nie tak jest rzeczywiście?

Nazywamy raz pieniądzem jednostkę monetarną, będącą miarą wartości; drugi raz widzimy pieniądz pełniący funkcye czysto społeczne w postaci kar i ceł; innym razem znowu służy on jako przedmiot wymiany, ułatwiający handel między pojedyńczemi jednostkami i całemi narodami, albo jeszcze jako środek przechowywania pod jedną postacią rezultatów materyalnych różnego rodzaju przedsiębranych prac. Wszystkie te funkcye zlewają się w jedném pojęciu „pieniądz". Badając życie ludów pierwotnych, widzimy całkiem co innego. Tutaj, każdą z tych różnorodnych fuakcyi, które u nas spełnia sam jeden pieniądz, będąc pojęciem złożoném, spełniają oddzielnie najróżnorodniejsze odpowiedniki poszczególnych funkcyi pieniądza. Rzuca to zarazem ciekawe światło, w jak ścisłym związku z rozwojem ludzkości stoją oddzielne prądy, zlewające się ostatecznie w pojęciu „pieniądz". Paralela z historyi rozwoju instytucyi małżeństwa wyjaśni tę sprawę jeszcze lepiéj. Określony stosunek mężczyzny do kobiety, który dziś zowiemy małżeństwem, jest produktem dwojakiego rodzaju rozwoju, stosownie do tego czy początek swój brał wśród tegoż samego rodu (endogamia), czy téż powstał wskutek początkowo wrogich, a w następstwie przyjaznych stosunków między różnemi rodami i plemionami (exogamia). Dopiéro w łonie narodów cywilizowanych wyrobiła się prawie jednotliwa forma małżeństwa. Zupełnie podobnie miała się rzecz z powstaniem pojęcia „pieniądz", które wzięło początek z dwóch różnorodnych źródeł. Rzecz jakaś, która będąc pierwotnie podstawą bogactwa plemiennego, a zarazem jednostką wartościową wewnątrz tegoż piemienia, otrzymała w następstwie kurs jako moneta i spełniała funkcye socyalne w granicach tego samego plemienia, była w pierwocinach swych czémś całkiem inném, niż produkty wymiany, które wędrując z plemienia do plemienia, stały się następnie mile widzianym towarem, a w końcu zamieniły się także w pewnego rodzaju jednostkę monetarną. Dla odróżnienia tych dwóch genetycznie zasadniczo różnych jednostek pieniężnych, Schurtz proponuje dwie nazwy: moneta śródplemienna i moneta pozaplemienna.

Zanim zapoznamy się z obydwoma typami tych monet w przedstawieniu uczonego niemieckiego, musimy najpierw zatrzymać się jeszcze nad jedną kwestyą uboczną, lecz związaną ściśle z dziejami powstania pieniędzy. Zrozumiałém jest, iż nie może być mowy

o żadnych pierwocinach „pieniądza“ w łonie społeczeństwa ludzkiego, które nie wyszło jeszcze z okresu pierwotnéj współwłasności i nie zna własności indywidualnéj. Przejście od własności wspólnéj do indywidualnéj nie jest jeszcze procesem zakończonym. Wśród wielu społeczeństw pierwotnych, których solidarność społeczna opiéra się na więzach pokrewieństwa, dopatrzéć można jeszcze dużo resztek prastaréj wspólnoty i granice między własnością indywidualną a wspólną nie są tu dotychczas bardzo ostro zarysowane. Żałować należy, iż autorowi, który żali się, że historya powstania własności indywidualnéj nie jest jeszcze wyczerpująco opracowaną, nie była dostępną praca Zibera. Dałaby mu ona dużo materyału do historyi powstania własności indywidualnéj ruchoméj, która, jak słusznie twierdzi, mniéj została dotąd zbadaną, kiedy historya wytworzenia się własności indywidualnéj nieruchoméj jest już lepiéj i bardziéj wyczerpująco opracowaną. Tymczasem chronologicznie rzeczy biorąc, ewolucya prawa własności odbywała się w odwrotnym właśnie porządku. Pierwéj nastąpiła ona w prawie własności nieruchoméj, niż w prawie własności do ruchomości lub istot żyjących. Błędną bowiem jest teorya, głoszona już przez Lockego, jakoby przedewszystkiém przedmioty pożyteczne podsunęły jednostce myśl, wyłączenia ich z koła własności wspólnéj na swój wyłączny użytek.

Zdaniem Schurtza, które wydaje się zupełnie trafném, rzecz miała się wprost przeciwnie. Przedmioty praktycznego użytku, a przedewszystkiém środki żywności, stały się własnością indywidualną stosunkowo właśnie najpóźniéj. Bardzo rozpowszechnionym jest dotąd wśród ludów pierwotnych pogląd, iż każdy ma do nich prawo i że osoba, która ma obfitość zapasów żywności, winna bez żadnych pretensyi dzielić się niemi ze swymi współplemieńcami. Dziś jeszcze, gdy los każe znaleźć się garstce ludzi cywilizowanych w warunkach życia, zbliżonych do warunków życia człowieka pierwotnego, gdy poczną wieść żywot w lesie dziewiczym lub stepie, wytwarza się wśród nich wkrótce pewnego rodzaju wspólnota posiadania wszystkiego tego, co stanowi niezbędną potrzebę w życiu praktyczném. Zanika ona dopiéro z chwilą, gdy z biegiem czasu możliwém się stanie nabywanie gdzieś w pobliżu produktów żywności i narzędzi. Poglądy tego rodzaju spotykamy dotąd w obfitości u wielu ludów pierwotnych. U Tongańczyków wolno było, w czasie przeznaczonym na jedzenie, wejść każdemu do pierwszego lepszego domu i wziąć udział w jadle. Gdy jednego razu pewna ilość mieszkańców téj wyspy znalazła się w Sidney'u, była niewymownie zadziwioną, iż nikt tam nie poczuwał się do obowiązku zaproszenia ich

do wspólnéj miski. Dla kieszeni europejczyka zasada taka bywa niekiedy dość drażliwą. Misyonarz Endemann opowiada, iż gdy zdarzało mu się w Transvaalu miewać robotników z plemienia Sutów i ci zasiadali do jadła, zapraszali do współudziału każdego przechodzącego i nie mogło im się pomieścić w głowach, czemu ich pracodawca opierał się temu. Kto zna nasze życie wiejskie, miał sposobność przekonać się, że i u nas na wsi dalekiego przybysza zaproszą zaraz do jadła, dzieląc się z nim chętnie tém, co posiadają. Nie dotyczy to jednak, broń Boże, bliskiego sąsiada. Gdy przypadkiem jakiemuś kumotrowi z sąsiedniéj chałupy wypadnie koniecznie zajść do sąsiada w porze obiadowéj i zastaje rodzinę przy jadle, powinien przedewszystkiém życzyć jedzącym smacznego apetytu. W odpowiedzi na to usłyszy zaraz z ust gospodarza lub gospodyni uprzejme: „prosimy". Byłoby jednak z jego strony objawem najwyższéj niegrzeczności i nieznajomości zwyczajów towarzyskich, gdyby chwycił rzeczywiście za łyżkę. Należy podziękować, życzyć raz jeszcze smacznego apetytu, lub odwdzięczyć się inném jakiém grzecznościowém wyrażeniem i spokojnie oczekiwać, dopóki nie skończą objadu. W ciekawym tym zwyczaju mamy więc już tylko przeżytek dawnéj epoki.

Zajmującym niezmiernie jest proces indywidualizacyi jednostki, proces rozrywania przez nią więzów wspólnoty rodowéj i plemiennéj. Zajmując się tutaj jednym tylko z jego objawów, pytamy: Od czegóż więc rozpoczął człowiek, wyłamując się z pod praw wspólnéj własności? Przedmiotami, które stały się zaczątkiem osobistéj jego własności, były takie przedmioty, które stworzył sam, którym nadał piętno swéj indywidualności, w których uwięził cząsteczkę swojéj myśli twórczéj i twórczéj fantazyi. W formach sprzętów i broni, wyrabianych ręką ludzką, odbija się duch ludzki; są one cząsteczką jaźni duchowéj ich twórcy. Stanowią one dla niego całkiém inną kategoryę rzeczy, niż owoc uszczknięty z drzewa lub zwierz, którego położył swą strzałą. Jest to tak jasne, że nie wymaga komentarzy. Przedewszystkiém jednak, rzeczą, którą człowiek najpierwéj począł uznawać, jako swą własność wyłączną, było to jego własne ciało. Z tego wypływa, że i to wszystko, co służyło do upiększenia ciała, stało się również najwcześniéj jego prywatną własnością. Któżby, na przykład, ze współrodowców rościł sobie prawo do kunsztownie, za pomocą gumy, utrefionéj fryzury swego rodowego współbrata? Kto z nich śmiałby pożądliwém okiem spoglądać na jego drewniany grzebień, który sobie sam wystrugał

i włożył we włosy? Nie dostałby go z pewnością. Gdyby zaś zechciał posiąść go koniecznie, musiałby prosić, lub przyjmując go w podarunku, wywdzięczyć się w taki sam sposób. Tym sposobem przedmioty, służące ku ozdobie własnego ciała, daléj metody upiększania sprzętów i broni, będące przejawem smaku i fantazyi jednostki, posiadały w sobie tę siłę wewnętrzną, rozstrzygającą o przynależności ich wyłącznéj do swégo twórcy. Tu i owdzie wśród społeczeństw ludzkich spotykamy dotąd takie, które nie wyszły jeszcze z podobnéj właśnie fazy rozwoju.

Ciekawém jest, że własność osobistą kobiet, która zazwyczaj późniéj jeszcze wyrabia się, niż własność indywidualna mężczyzny, wszędzie prawie składały przedewszystkiém, a niekiedy jedynie, ozdoby, służące do upiększania ciała. Dziedziczono je też wyłącznie w linii żeńskiéj. Na polinezyjskiéj wyspie Nauru np. możemy to widzieć stosowane dotąd w praktyce. Za własność osobistą kobiety, wnoszoną przez nią do rodziny, uważają się tam tylko jéj ozdoby i kosztowności. Po śmierci matki przechodzą one z zasady na najstarszą córkę, a jeśli umierająca nie pozostawiła żadnéj córki, to albo się je zakopuje, lub też topi w morzu.

Tak więc, powtarzamy, to, co jednostka stworzyła sama i przeznaczyła jedynie dla siebie, co wyłączyła z koła własności wspólnéj, piętnując znamieniem swéj duchowéj jaźni, to właśnie było najpierwszym zaczątkiem własności indywidualnéj. Ale rzecz taka miała najpierw określoną wartość tylko dla téj wyłącznie jednostki. Nadto celowość i pożytek takiéj rzeczy nie odpowiadały częstokroć jéj wartości, zależnéj najczęściéj od chwilowego zapatrywania się samego jéj twórcy. Na określenie téj ostatniéj wpływało bardzo zdanie i sąd współrodowców, jakkolwiek ci nie rościli do niéj pretensyi współposiadania. Przypuśćmy, że młodzian pewien zrobił sobie naszyjnik z muszli. Oczywista, że nie będzie się nim zachwycał na osobności, lecz zechce zobaczyć, co powiedzą, patrząc nań w tém przebraniu, jego towarzysze, co powiedzą kobiety. Jeśli praca jego znalazła uznanie, podobała się, wartość naszyjnika z muszli wzrosła w jego oczach niepomiernie. Co prawda, może ona zmniejszyć się również prędko. Wystarczy na to, aby ktoś inny zrobił sobie podobny naszyjnik jeszcze oryginalniéjszy, jeszcze kunsztowniéjszy. Podlegając jednak sądowi i ocenie współplemieńców, przedmiot stanowiący wartość indywidualną jednostki, o ile zdołał się podobać, może zarazem obudzić w nich zazdrość. Powoduje to już pewnego rodzaju wymianę własności, wytwarza obieg przedmiotów z rąk do rąk. Bądź to jako podarek, bądź jako przed-

miot zamiany, przechodzi pożądana rzecz w inne ręce, które nie mogąc jéj posiąść tą drogą, uciekają się do kradzieży lub do rozboju. Oczywiście nie wyrobi się jeszcze tą drogą jakiś określony system wymiany, powstaje jednak, jak wspomnieliśmy, ruch, przedmioty zaczynają zmieniać właścicieli, kursują. Daleko ważniejszém jest inne następstwo, które pociąga za sobą fakt, iż rzecz jakaś, zrobiona przez pewną jednostkę, podobała się innym. W owych czasach ludzkość nie zna jeszcz biur patentowych, ani paragrafów, zastrzegających wyłączne prawo eksploatowania wynalazków. O ile tylko materyał odpowiedni jest pod ręką, każdy może naśladować widziany, a uderzający go swą pięknością i oryginalnością przedmiot. Zdolność naśladowania, tak wysoce rozwinięta w człowieku, dostaje ostrogę, poczyna działać, i z chwilą tą o wartości danego przedmiotu rozstrzygać już poczyna nie chwilowe upodobanie samego jéj twórcy, lecz więcéj lub mniéj konserwatywny nastrój całego rodu czy plemienia. To i owo przemknie się, jako chwilowa moda, i zaniknie na zawsze, coś innego jednak utrzyma się na stałe i stanie się stałym i powoli tylko przeobrażającym się zwyczajem. Tym sposobem odmiany różnego rodzaju ozdób do upiększania ciała rozpadają się na dwie grupy: jedna obejmuje ten rodzaj ozdób, który cieszy się chwilowém powodzeniem wśród jednostek lub ogółu, druga—rodzaj ozdób, cieszących się powodzeniem stałém i stający się do pewnego stopnia odznaką plemienną. Ten ostatni właśnie rodzaj stanowi pierwociny tego typu jednostki wartościowéj, który idąc za Schurtzem, nazwaliśmy śródplemiennym. Ponieważ ozdoby te utrzymują się w plemieniu stale, ponieważ mają jednakową cenę, nadają się więc do używania jako jednostka wartościowa. Z chwilą powstania téj podstawy, może zacząć wyrabiać się pojęcie b o g a c t w a. W najpierwotniejszych stosunkach społecznych nie może jednostka posiadać ani ziemi, ani ma jakąkolwiekbądź potrzebę, wobec wspólnoty ekonomicznéj wszystkich współrodowców, gromadzić masy zapasów jadła i i innych przedmiotów praktycznego użytku. Tylko gromadzenie ozdób, służących do upiększania, niema żadnych ograniczeń. Przedewszystkiém, rzecz prosta, dotyczy to plemion już osiadłych, nie mających potrzeby ciągłego transportowania swéj własności z miejsca na miejsce. Specyalny rodzaj gromadzonych rzeczy nie wywołuje też potrzeby interwencyi pierwiastku rozumowego, przeciwko nadmiernemu ich nagromadzaniu. Zbierać góry jadła, byłoby w tych warunkach nonsensem, bo pocóż zbierać to, co w razie potrzeby można w każdéj chwili dostać od innych. Przedmioty zaś,

służące do upiększenia ciała, są najpierw trwałe, a następnie możność ubrania się raz w naszyjnik z muszli, drugi raz z ziarnek jakiéjś rośliny lub zębów zwierzęcych, stanowi dużą przyjemność. Nie potrzeba więc już żadnych innych podniet, w celu obudzenia zamiłowania do zbierania, które odgrywa tak olbrzymią rolę w historyi pieniędzy.

Skoro między nagromadzonemi ozdobami znajdą się takie, które są ogólnie cenione, ma się już ze zbierania wielką korzyść. Obdarowywując kogoś taką ozdobą, można sobie zjednać jego względy, pomoc. Zapewne z początku odbywa się to bez żadnego systemu, ale warunki socjalne, w których żyje plemię, dopomogą wkrótce ku temu, iż zapanuje tutaj pewien system w darzeniu i odbieraniu podarków. Doprowadzą one niebawem do zrodzenia się kar, danin, a stale kursujące podarki przeobrażą się wkrótce w socyalną potęgę, mającą olbrzymi wpływ na cały żywot plemienia. Od wieków zakorzenione zwyczaje i obrzędy upadną wobec téj nowéj potęgi, stare formy życia ulegną rozluźnieniu, a złoczyńca znajdzie, dzięki niéj, środek obronny przeciwko grożącéj mu dawniéj nieuchronnie karze. Osłabnie też z téj przyczyny władza głowy rodu czy plemienia. Obok niego pojawi się cały szereg osobistości, których usługi trzeba będzie kupić sobie za pieniądze, przedewszystkiém zaś szamani-czarodzieje, leczący choroby, sprowadzający deszcz w razie suszy, lub przepowiadający przyszłość, oczywiście także nie za marne dobre słowo. Szczęśliwy posiadacz dorodnéj córki nie pozbawi się już swego skarbu inaczéj, jak tylko za odpowiedniém wynagrodzeniem, a im bardziéj stary ustrój społeczny rozsypywać się będzie w gruzy, tém bardziéj zwiększać się będzie liczba rzeczy i czynności, które się za pieniądze nabyć lub zrobić dadzą. W taki sposób powstaje kurs jednostki wartościowéj —„pieniądza” śródplemiennégo—w granicach danego plemienia; po za granicami tego plemienia pieniądz ten nie ma kursu.

Zapoznamy się teraz z formami jednostki wartościowéj śródplemiennéj.

Co stanowi najcharakterystyczniejsze jéj właściwości? Najpierw ogólne przyznanie takiego rodzaju pieniędzy za jednostkę wartościową, następnie zaś jéj trwałość, która pozwala na gromadzenie, czyli na kapitalizowanie bogactw. Na większą lub mniejszą jéj lekkość, większą lub mniejszą praktyczną wartość dla ogółu nie zwraca się uwagi. Na pierwszą dla tego, iż zakres obiegu takiéj monety jest bardzo ograniczony i dalekie transporty nie są do przewidzenia, na drugą zaś z tego powodu, że wybór jéj jest raczéj

kwestyą humoru i gustu, niż kwestyą wyrozumowanego wyrachowania. Wskutek tego, taka moneta śródplemienna przybiera często najdziwaczniéjsze formy, np. na Karolinach spotyka się w kształcie centnarowych kamieni (aragonit), przypominających kamienie młyńskie. Trafném wcale wydaje się przypuszczenie znanego geografa i podróżnika, Finscha, który widzi w nich rozrośniętą do potwornych kształtów chęć naśladowania mających tamże kurs pieniężny małych, z muszli wyrabianych krążków. Tym sposobem olbrzymie takie kamienie młyńskie — monety stały się wcieleniem bogactwa i potęgi, a lubo praktycznie nie mają żadnéj wartości, posiadanie ich podnosi powagę karolińskiego kapitalisty, uznawaną przez cały ogół. Ta żądza zbierania, kapitalizowania najróżnorodniéjszych rzeczy, które w podobny zupełnie sposób nabierają wartości „pieniędzy", skoro raz już rozpadać się poczęła własność wspólna, spostrzegać się daje i gdzieindziéj. Dużo bardzo afrykańskich królików poczęło zbierać olbrzymie masy kości słoniowéj, zanim jeszcze dotarł do nich handel europejski i mogli liczyć na zbyt jéj po za granicami swych państw. Wszystkie jednak takie i tym podobne jednostki wartościowe urojone, które do pewnego stopnia możemy już nazwać monetą śródplemienną, miały jedną niepraktyczną stronę. Skoro nowe wpływy kulturalne wniosły na dane terytoryum inne poglądy, mogły one w krótkim czasie stracić zupełnie swą wartość i zostać zastąpionemi przez inne, podobne wartości. Wielką nad niemi przewagę posiadały przeto inne, żywe jednostki monetarne: bydło i niewolnicy. Wartość ich była zawsze wartością realną i nie mogła podlegać takim wpływom zewnętrznym. Nadto taka żywa moneta, o ile jest bydłem, przynosi już odsetki w postaci mleka, o ile niewolnikiem — w postaci pracy, do któréj go można użyć. Dzięki zaś swéj naturze, rośnie jeszcze sama jako kapitał. Pewien wódz murzyński z nad górnego Kongo w naiwny, ale trafny sposób wyjaśnił Cameronowi, dla czego rozsądniéj jest owoce swéj pracy kapitalizować w postaci niewolników, niż w postaci pieniędzy—ozdób. „Gdybym przyniósł do domu całą masę muszli, prawił poczciwy człowieczyna, rozbiorą to wszystko moje żony, będą się ubierały, a ja będę miał figę. Niewolników, ciągnął daléj, można w téj chwili wyzyskiwać jako materyał roboczy, podczas gdy muszle dotąd nic nie dadzą, póki ich nie wymienię na niewolników". Spotykamy więc bydło i owce jako jednostkę monetarną już w najodleglejszéj starożytności klasycznéj. Co prawda, oprócz roli monety śródplemiennéj, ponieważ miało ono już określoną, stałą wartość, odgrywało też bydło rolę jako artykuł handlu zamiennego. Błędem byłoby

jednak, jak to widać z dotychczasowego choćby przedstawienia, wywodzić początek pieniędzy tylko od jednostki wartościowéj bydlęcéj. Rozliczne były te początki, a kilka ich form poznaliśmy już przed chwilą, zapoznając się z formami monety śródplemiennéj. Czém jest jednak moneta śródplemienna, jako typ monetarny? Schurtz określa go następującemi słowy: „Moneta śródplemienna w swéj formie typowéj nie jest jeszcze całkowicie jednością monetarną, podobną do jednostki monetarnéj dzisiejszych ludów cywilizowanych, ponieważ forma jéj nie nadaje się do łatwego obiegu, a przez to samo do jéj zasadniczych właściwości nie należy służenie ku celom handlowym. W istocie swéj jednak i w zastosowaniu zbliża się już do niéj bardzo, lub wyrażając się jaśniéj, jest zasadniczą podstawą systemu monetarnego, właściwego naszéj kulturze".

Powstaniu drobnych, praktycznych w obiegu rodzajów pieniędzy sprzyjał handel międzyplemienny i on to powołał je do życia. Ale już we wnętrzu samego plemienia zjawiała się konieczność zaradzenia sobie w kłopocie, jaki nastręczały niepraktyczne formy jednostek monetarnych śródplemiennych, dzięki któréj wytworzył się nowy typ monetarny, objęty przez Schurtza terminem monety znaczkowéj.

Moneta znaczkowa, któréj najdoskonalszym przedstawicielem są nasze banknoty, uważaną była zazwyczaj za zdobycz wyłączną narodów, stojących na wyższym stopniu kultury. Jeśli jednak pojęcia „moneta znaczkowa" nie zechcemy bardzo zacieśniać, twierdzenie takie okaże się niesłusznem. Bo przecież najprostszy typ monety śródplemiennéj, wyrażający się w formie ozdób, jest właściwie niczém inném, jak tylko przyjętym symbolem wartości, który spełnia swoje funkcye w zakresie określonéj grupy ludzkiéj, jakkolwiek poza jéj granicami nie ma wartości. Europejczyk rzuciłby pewno na śmieci drogocenne pieniądze Pelauczyków, w postaci kawałków szkła i paciorków, o ileby mu ktoś nie wytłómaczył poprzednio, jak wysoką posiadają one wartość. Pelauczyk, nie dotknięty jeszcze wpływem kultury europejskiéj, zrobiłby pewno to samo z naszą monetą, lub co najwyżéj przechowywałby ją jako osobliwość. Najlepiéj zrozumimy istotę monety znaczkowéj, przypomniawszy sobie liczmany, używane do gier przez nas samych. Kupka ludzi, mająca do siebie zaufanie, zasiada do gry na takich warunkach, iż w ciągu niéj nie będzie dokonywała niewygodnych wypłat, lecz w zamian tych ostatnich przyjmowane będą pewne znaczki. Po skończeniu gry znaczki te zostaną wymienione na będące w obiegu pieniądze. Przy sprzyjających okolicznościach, podobne znaczki mogą nawet

lokalnie zastępować niekiedy faktyczną drobną monetę. Wszystkim nam zastępują ją np. często marki pocztowe, mające właściwie inny cel specyalny.

Rzecz oczywista, iż subjektywna wartość monety znaczkowéj polega tylko na zaufaniu. Jeśli plemię jakieś zdołało dojść do porozumienia, iż tego lub owego przedmiotu używać będzie jako jedności płatniczéj, jeśli zgodzili się wszyscy, iż przedmiot ten będą przyjmowali w pewnéj stałéj wartości, w takim razie może on rozpocząć obieg w charakterze prawdziwéj monety. W praktyce życiowéj nie zależy to wprawdzie zawsze od porozumienia, lecz często od woli jakiegoś cieszącego się potężnym wpływem wodza lub książątka. Ciekawym przykładem, charakteryzującym przejście od monety-rzeczy wartościowéj do monety nie mającéj jako przedmiot żadnéj wartości, jest kakaowa, że się tak wyrazimy, moneta starożytnych Meksykańczyków. W Meksyku, z pomiędzy licznych odmian kakao, wyróżniała się jedna specyalnie wielkiemi ziarnkami. Jako produkt były one o wiele mniéj warte, niż wszystkie inne, i rzadko tylko robiono z nich napój. Tymczasem te właśnie liche, ale dość duże ziarnka kakaowe kursowały w Meksyku jako moneta, kiedy mniejsze, ale lepsze, były tylko towarem. Część więc wartości, którą nadawano tym kakaowym pieniądzom, była wartością urojoną.

Można powiedziéć, iż wogóle najprostsze i najbardziéj rzucające się w oczy formy monety znaczkowéj powstają z tych rodzajów monety rzeczowéj, która ma najbardziéj praktyczne zastosowanie.

Skoro pierwotny cel praktyczny, wywołujący krążenie tych przedmiotów jako monety, nie zostaje przez to daléj osiągany, staje się ona tylko symbolem pierwotnéj, zasadniczéj wartości i przeobraża się w monetę znaczkową. Najłatwiéj stosunkowo podlegają téj przemianie rozmaite tkaniny, używane na ubranie. Obiegające np. w środkowym Sudanie, jako jednostka wartościowa, paski materyi bawełnianéj, są niekiedy tak wąskie, iż nie mogą miéć żadnego praktycznego zastosowania. U starych czechów kurs pieniędzy miały kawałki sukna, które jednak były tak licho utkane i ztąd tak przejrzyste, iż również nie mogły miéć żadnego zastosowania w praktyce. Podobnie maleńkie maty, pełniące oddawna funkcye monety nad dolném Kongo, możnaby już uważać za coś bardzo zbliżonego do naszych pieniędzy papiérowych.

Wszystkie te rodzaje monet znaczkowych, o których tylko co nadmieniliśmy, powstaniem swojém, jak się zdaje, nie wywołują żadnych widoczniejszych zakłóceń w stosunkach ekonomicznych używających je plemion. Zdarza się to jednak, gdy jakaś pojedyńcza jednostka wpływowa, wódz lub książę, przedsięweźmie na swoją rę-

kę wprowadzenie monety znaczkowéj w granicach swego państwa w pewnym określonym celu, mianowicie, aby jednostki wartościowe, będące w obiegu, zastąpić przez swój nowowyprodukowany pieniądz. Rezultat takiego przedsięwzięcia jest niezmiernie prosty. Wszelkie dawniejsze jedności wartościowe spływają do kasy królika. Jeśli nadto dołączy on jeszcze żądanie, aby wszystkie przynależne mu daniny wypłacane były w monecie, mającéj wartość realną, sam zaś płaci swe rachunki monetą znaczkową w takim razie nieuniknionemi się stają wielkie przewroty ekonomiczne w życiu całego plemienia.

Czytelnik miał już możność przekonania się dotąd, iż przedmioty, które najpierw stanowią własność prywatną, następnie przekształcają się zaś w jednostkę monetarną, nie posiadają w zasadzie jakiéjś realnéj, przez świat cały uznawanéj wartości. Przeciwnie, wartość ta, o ile rzeczywiście tkwi w danym przedmiocie, występuje tylko jako coś całkiem podrzędnego, obok wartości subiektywnéj, jaką posiada on dla pewnéj jednostki. Podnosiliśmy także, że jedną z przyczyn, wpływających na podniesienie się takiéj wartości subjektywnéj, jest przywiązanie do danéj rzeczy samego jéj twórcy, który nadając jéj kształt artystyczny i zamykając w niéj cząsteczkę swéj jaźni duchowéj, musi ją przez to wyżéj szacować. Ale w historyi dalszego rozwoju pojęcia „pieniądz" występują jeszcze inne przyczyny, wpływające na podniesienie się wartości danéj jednostki monetarnéj. Przedmiot jakiś może być ceniony wyżéj, niż inny, i w rezultacie stać się typem monety śródplemiennéj jeszcze i dla tego, że jest rzadkim i że nieraz zdobywany być musi z narażeniem życia. Niekiedy cały zapas monety, kursującéj wśród pewnego ludu pierwotnego, pochodzi z dawniejszych czasów i dziś niepodobna go już powiększyć. Ta okoliczność powiększa oczywiście wartość takiéj monety. Niekiedy znowu starożytność pojedyńczych sztuk wpływa na powiększenie ich wartości. Daje ona zarazem podkład do wytworzenia się podań mitycznych o nadprzyrodzoném pochodzeniu różnego rodzaju pieniędzy, a niekiedy doprowadza do tego, iż stają się one talizmanami i amuletami, którym się przypisuje cudowną własność. Rupje indyjskie znalazły w Tybecie niezmiernie szybkie rozpowszechnienie i sympatyę, ponieważ znajdującą się na nich głowę królowéj angielskiéj wzięto za głowę Dalay-Lamy i wskutek tego przypisywano im większą jeszcze mistyczną, niż pieniężną wartość. Bardzo często niewątpliwém jest dzisiaj wykazanie, na jakiéj zasadzie pewne gatunki pieniędzy otrzymały tę dodatkową jeszcze wartość mistyczną. Tak np. do starych, służących jako jednostka wartościowa, paciorków, które znajdowane bywają w niektórych

okolicach Afryki Zachodniéj, a świadczą o starożytnych stosunkach handlowych, przywiązanych jest wiele podań i wierzeń. Wiele rodzajów pieniędzy w Melanezyi jest „tabu“, choć trudno dziś wytłómaczyć, dla czego.

Całkiem inną drogą stał się znowu pieniądz pewnego rodzaju świętością u wielu ludów wyższéj kultury. Podobnie jak ofiarowywano pieniądze duszom zmarłych, składano téż w ofierze rzeczy wartościowe, szlachetne metale, a w końcu bite pieniądze i bogom. Wyszedł przy tém na jaw we Włoszech ciekawy rys charakteru ludzkiego. Oto ofiarodawcy, uważając bogów swoich za... konserwatywniejszych od siebie samych, składali im tam w ofierze, przez długi jeszcze czas po wynalezieniu bitych pieniędzy, zwyczajne kawałki miedzi, które ongi miały były kurs, jako moneta. Tym sposobem gromadziły się w świątyniach olbrzymie skarby, które dopiéro z czasem zrabowali mniéj skrupulatni władcy lub nieprzyjaciele. Aby te skarby nie śniedziały bardzo wskutek długiego leżenia, troszczyli się téż kapłani owych świątyń, wypożyczając je częściowo na jaki taki procent. Czyż więc nie prawdziwym jest aforyzm Curciusza: „Bogowie byli pierwszymi kapitalistami w Grecyi, a świątynie ich pierwszemi mennicami“. Należy bowiem wiedzieć, iż kapłani Afrodyty Uranii, któréj świątynie znajdowały się na wszystkich placach, na których prowadzono handel zamorskiemi towarami, wprowadzili pierwsi w obieg pieniądze i znajomość kredytu, a oni również byli pierwszymi, którzy stemplując kawałki metalu stemplem z podobizną swojéj bogini, dali tym sposobem początek biciu monety. Podobnie kapłani innych bóstw poczęli również wcześnie bić pieniądze, które na razie służyły jako nagrody, odznaczające zwycięzców na wyścigach, a zarazem jako upominki pamiątkowe z wyścigów. Gdy w następstwie bicie pieniędzy wzięło w swą opiekę państwo, cóż prostszego, że świątynie i w tym okresie służyły daléj jako mennice i że moneta i związane z wybijaniem jéj czynności otoczone zostały pewnego rodzaju nimbem świętości. Dla tego to właśnie nawet na monetach z czasów Aleksandra Wielkiego nie widzimy jeszcze podobizn panujących, lecz podobizny i symbole bóstw.

Przekonaliśmy się zatém, że typ jednostki wartościowéj śródplemiennéj stanowi początek, który, o ile rozwój dalszy postępuje normalnie, prowadzi w końcu do wyrobienia się prawidłowego systemu monetarnego śródplemiennego. Ale formy typowe monety śródplemiennéj, przystosowane do upodobań i potrzeb pojedyńczych plemion lub narodów, są powodem, że moneta taka traci zupełnie swą wartość, jeśli wypadnie jéj odgrywać rolę monety w stosunkach

handlowych pozaplemiennych. Stosunki te wymagają innego rodzaju jednostki wartościowéj, którą tworzy handlarz. Rodzący się handel zmusza go do wynalezienia odpowiedników wartościowych towaru, który pragnie nabyć. Odpowiedniki te bierze zaś nie z gotowego zapasu form kursującéj już monety śródplemiennéj, lecz szuka ich między swym własnym towarem. Taką jest droga, którą powstają nowe rodzaje pieniędzy, nie spełniające już żadnych funkcyi socyalnych wśród plemienia, lecz przeznaczone wyłącznie ku temu, aby ułatwić wymianę towarów i umożliwić stworzenie praktycznych ich wartościowych odpowiedników. Oczywiście, że rozwój taki postępuje bardzo powoli, a w wielu miejscach globu znajduje się jeszcze ledwo w swém stadyum początkowém. Tłómaczy się to historyą powstania stosunków handlowych wogóle, z którą zapoznamy się teraz w krótkości.

Prawie wszędzie, gdzie plemiona pierwotne wstąpiły już z sobą w stosunki handlowe, rozpoczynają się one przedewszystkiém od wzajemnego obdarzania się podarkami. Jest to szczególniéj uderzającém w Afryce, gdzie liczyć się musi z tym zwyczajem każdy podróżnik europejski. W miejscowościach, do których nie dotarły jeszcze zasady handlu arabskiego lub europejskiego, handlu w naszém rozumieniu tego słowa prawie niema. Przybywający podróżnik posyła wodzowi plemienia pewną ilość podarków, wzamian za które otrzymuje schronienie i pożywienie, jeśli wogóle chcą go w plemieniu przyjąć. Podarki te są wyrazem nawiązania stosunków przyjacielskich, bynajmniéj zaś nie handlowych. W plemieniu, stojącem na takim stopniu kultury, jak już wspominaliśmy, o handlu, w naszém pojmowaniu tranzakcyi kupieckich, nie może być mowy.

W warunkach takich, między dwoma sąsiadującemi plemionami możliwe są tylko dwa rodzaje stosunków: wojenne lub przyjacielskie. Pierwsze polegają na zdobywaniu gwałtem zdobyczy, drugie na obdarzaniu się wzajemném podarkami. Nie należy wyobrażać sobie, aby handlarz, trzymający się metody podarunkowéj, wstępując w stosunki handlowe z danéem plemieniem, wychodził na tém źle, był oszukiwany. Owszem, przedsięwzięcie jego, dzięki zastosowaniu się do zwyczajów miejscowych, opłaca mu się wcale dobrze. Przytoczymy charakterystyczny fakt, który opowiada Emin basza. W wielkich państwach afrykańskich Unjoro i Uganda panuje zwyczaj, iż każdy przybywający kupiec połowę swych towarów, głównie zaś prochu, kul i broni, ofiarowywuje w podarunku panującemu, który mu wzamian za to daje do rozporządzenia dom, ogród, zaopatruje go przez czas pobytu w bydło i owce. Przy od-

jeździe, jako wywzajemnienie się, otrzymuje kupiec od królika podarunek w postaci kości słoniowéj, który zazwyczaj trzy do pięciu razy przewyższa wartość ofiarowanych przez niego rzeczy. Obydwie więc strony wychodzą na takiéj tranzakcyi bardzo dobrze: kupiec, któremu kapitał jego przyniósł ogromny procent, i królik, którego kość słoniowa nic nie kosztowała, ponieważ dostarczyli jéj wierni poddani.

Jako przeżytek stosunków, opierających się na metodzie podarunkowéj, przechował się powszechnie zwyczaj rozpoczynania i kończenia handlu wzajemném obdarzaniem się podarkami. Jest on tak rozpowszechniony, nawet wśród naszych włościan, że zbytecznėm byłoby przytaczać tutaj przykłady. Wypływa z niego również, że podarek jest pierwotnie czystym symbolem przyjaźni i pokojowych zamiarów, wartość zaś jego realna odgrywa rolę podrzędną.

Nie tylko jednak z przyjacielskiéj wymiany podarunków rozwinęły się stosunki handlowe. Powstanie swe zawdzięczają one w równéj mierze i wojnie.

Pierwotne grupy społeczne stoją na przeciw siebie, jako organizmy zamknięte same w sobie, a powiązane węzłami pokrewieństwa. Na razie same sobie muszą we wszystkiém wystarczać. Ale większy lub mniejszy dobrobyt jednéj grupy, lepsze lub gorsze miejscowe warunki istnienia obudzają zazdrość drugiéj. Jedno plemię posiada na swém terytoryum rybne rzeki, których brakuje drugiemu; drugie ma zbytek owoców, których brak znowu pierwszemu; trzecie korzysta z bogatych pokładów tak wysoko cenionéj soli, których nie posiada żadne inne plemię sąsiednie. Jest więc czego zazdrościć sobie nawzajem. Oczywiście, że pierwszą myślą, jaka wobec takich różnic przychodzi do głowy człowiekowi pierwotnemu, nie jest bynajmniéj myśl o tém, jakby wszystko to posiąść można drogą pokojową, lecz myśl, jakby to można zabrać siłą, zagrabić. Tacyt opowiada o wojnie dwóch plemion, prowadzonéj o prawo posiadania słonych źródeł. W Ameryce północno-zachodniéj dochodziło między Indyanami do strasznych walk o posiadanie miejsc, w których znajdowały się cenione wysoko glinki, używane jako farby do malowania ciała. Plemiona słabsze, wobec obawy zostania pokonanemi przez silniejsze, musiały często uciekać się do środka, aby wyrzekając się części swéj własności, okupić sobie tym sposobem przynajmniéj życie i posiadanie reszty dobytku. Z jednorazowego, stosowanego w takich wypadkach datku łatwo rozwinęły się z czasem datki stałe, daniny. Jeśli zaś plemię mocniejsze wywzajemniało się za nie także podarkami, powstawały już przez to samo

pierwsze zaczątki handlu, co prawda takiego, który w każdéj chwili skłonnym był do przeistoczenia się znowu w rozbój. Te nieuchwytne częstokroć granice między handlem i rozbojem znakomicie charakteryzują stosunki Turkomanów. W oczach Turkomana, obcy jest jednostką specyalnie przeznaczoną na to, aby o ile jest bezbronną, została ograbioną do szczętu. O ile to ostatnie nie jest możliwém, w takim razie dążeniem jest Turkomana, aby wyłudzić od obcego możliwie najwięcéj pieniędzy, prowadząc z nim handel, wypraszając podarunki, lub w rezultacie okradając go.

Znaną jest oddawna pewna starożytna forma handlu, któréj, według Schurtza, nie poprzedzają żadne uprzednio przedsiębrane ceremonie zawierania stosunków przyjacielskich. Jest to już przez pisarzy starożytnych i dziś często opisywany „handel niemy“, podczas którego handlujący nie zawierają żadnych bliższych stosunków, a przynajmniéj nic z sobą nie mówią. Czy ta forma handlu wypływa bezpośrednio ze stosunków wojennych, czy téż jest specyalnym typem nawiązywania stosunków handlowych, tego Schurtz nie rozstrzyga. Może na inném miejscu będziemy mieli sposobność wykazać, iż Schurtz myli się, gdy twierdzi, że takiego „handlu niemego“ nie poprzedzają żadne uprzednie zapewnienia pokoju i przyjaźni. Owszem, poprzedzają go, lecz są także „nieme“, t. j. wyrażają się nie słowy, lecz symbolicznemi czynnościami.

Nie podlega téż wątpliwości ścisły związek między powstaniem stosunków handlowych a korsarstwem, jaki odnaleźć można w dziejach różnych przedsiębiorczych narodów, czy będą nimi Fenicyanie, czy Portugalczycy lub Anglicy.

Wszystkie te jednak pierwociny stosunków handlowych nie wymagają jeszcze niezbędnie istnienia jakichś ogólnie przyjętych produktów wymiany, lub jednostek wartościowych, moneta zaś śródplemienna, jeśli wogóle już istnieje, nie odgrywa tutaj żadnéj roli. W jaki sposób nawet bez przyjętéj jednostki wartościowéj powstać mogą prawidłowe stosunki handlowe wśród plemion, stojących na bardzo nizkim stopniu kultury, przekonać nas może świadectwo podróżnika E. im Thurna, który opisuje takie właśnie stosunki handlowe, istniejące wśród plemion indyjskich, zamieszkujących Kajennę. Każde z tych plemion zajmuje się specyalném jakiémś rzemiosłem. Pojedyńcze jednostki z każdego takiego plemienia odwiedzają stale inne, najbardziéj wrogie plemiona i wymieniają wśród nich produkty swego rzemiosła na przedmioty, które wyrabiają tylko te właśnie plemiona. Handlarze tacy mogą najspokojniéj włóczyć się po terytoryach wrogów, nie narażając się na

żadne niebezpieczeństwo. Ta nietykalność handlarzy wskazuje bardzo wyraźne na powstanie handlu z wymiany podarków przyjacielskich.

Takim sposobem prowadzi się wcale ożywiony handel, bez używania pieniędzy w naszém rozumieniu tego słowa, które zastępuje towar.

Jeszcze wyraźniéj występuje na jaw ten charakter towaru, odgrywającego do pewnego stopnia rolę pieniądza, we właściwym handlu międzyplemiennym. Ktoś nagromadził, dajmy na to, wielką ilość soli, któréj wprawdzie ani sam nie produkował, ani chce przeznaczyć na swój wyłączny użytek, która jednak ma dla niego pewną określoną wartość. Ponieważ towar ten jest trwałym, bardzo pożądanym i z łatwością dającym się zamienić na inny, przyjmie go więc każdy z chęcią, jako zapłatę, i w końcu, tam, gdzie moneta śródplemienna stała się już określonym czynnikiem życia społecznego, zrównają go pod względem wartościowym z tą monetą. Wskutek tego jednak pęknie zapora, którą między poszczególnemi plemionami i ludami wytwarza moneta śródplemienna, i odmienne dotąd zadania monety śródplemiennéj i pozaplemiennéj spłyną w jedną całość. Z téjże racyi zleją się téż właściwości obydwóch tych typów monetarnych i w rezultacie staną się one tém, czém jest pieniądz ludów cywilizowanych, t. j. niezbędną dźwignią życia społecznego i handlu.

Jako przejście od jednostki wartościowéj śródplemiennéj do — pozaplemiennéj służą pewnego rodzaju ozdoby i t. p. rzeczy, które w stosunkach śródplemiennych używane bywają do zakupna towarów, jakkolwiek nie mogą jeszcze pełnić funkcyi społecznych prawdziwéj monety śródplemiennéj. Zdarza się jednak, iż taki mieszany rodzaj jednostki wartościowéj dodaje się niekiedy w dodatku do pierwotnéj, będącéj już w obiegu monety śródplemiennéj, a fakt ten pozwala przewidywać nowy krok naprzód w rozwoju pojęcia „moneta“ wogóle.

Wskutek przeniknięcia w obręb plemienia monety pozaplemiennéj, powiększa się oczywiście liczba rodzajów pieniędzy o olbrzymią ilość praktycznych rzeczy, zawsze jeszcze jednak przy tém powiększeniu granica między pojęciami towar i pieniądz pozostaje nadal mniéj lub więcéj niejasną i nieokreśloną. Z drugiéj znowu strony, ten lub ów znajdujący dobre przyjęcie rodzaj monety śródplemiennéj rozpowszechnia się na coraz większéj przestrzeni, przybiéra do liczby swych pierwotnych właściwości jeszcze i tę, iż staje

się wartością wymienną, a wskutek tego staje się zarazem doskonalszym typem pieniądza. Tymczasem ten rodzaj pieniądza śródplemiennego, który nie znalazł dla siebie miejsca w operacyach handlowych, zanika stopniowo i ginie.

Jakże teraz z kolei określimy typ jednostki wartościowéj pozaplemiennéj? Rozpatrzywszy wszystkie charakterystyczne jéj właściwości, Schurtz tak go określa: „Moneta pozaplemienna jest to towar ogólnie pożądany i łatwo zamienny, którego trwałość pozwala na długie przechowywanie i który wskutek tego nadaje się w stosunkach handlowych, jako odpowiednik wartościowy. Przekształcając się na jednostkę wartościową, staje on się w końcu prawdziwym pieniądzem. Zazwyczaj ma to miejsce pod wpływem monety śródplemiennéj, która wkrótce zostaje przez monetę pozaplemienną zupełnie wypartą, lub téż przeobraża się, przyczém działalność pierwszéj rozszerza się. W połączeniu moneta śródplemienna i pozaplemienna tworzą pieniądz w znaczeniu, nadawaném temu pojęciu przez wyższą kulturę".

Tak w głównych zarysach przedstawia się, według badań Schurtza, historya powstania pieniędzy. Przyznaje on to sam na końcu swéj pracy, iż w szczegółach nie zawsze da się przeprowadzić drobiazgową definicyę poszczególnych kategoryi pojęć, spływających w końcu w jedno ogólne pojęcie „pieniądz", a stąd jego ugrupowania i poddziały tych pojęć służyć mogą raczéj tylko do zoryentowania się w całém morzu faktów. Dotyczy to nawet i najważniejszych, proponowanych przez niego poddziałów na monetę śródplemienną i pozaplemienną. Obiedwie te grupy stanowią również tylko pojęcia zbiorowe, o granicach bardzo zmiennych i zacierających się co chwila. Rozejrzenie się jednak w historyi powstania pieniędzy przy pomocy tych głównych poddziałów, jako środka metodycznego, doprowadza do ciekawego wniosku. Jakkolwiek wielką bardzo była liczba rodzajów monety, zawdzięczających powstanie swoje handlowi zewnętrznemu, faktem jest, iż w historyi rozwoju pieniądza wogóle zwycięstwo otrzymał pieniądz śródplemienny, który powstał nie w celu zadośćuczynienia potrzebom handlowym, lecz socyalnym, a który tylko z biegiem czasu, przez przystosowanie się do pieniądza pozaplemiennego, przejął najważniejsze jego właściwości. Pieniądze ludów cywilizowanych są właściwie również tylko okazem najwyższego stadyum rozwoju monety śródplemiennéj, służącym w pewnych granicach zarówno i ku potrzebie handlu zewnętrznego.

Znaczna część pracy Schurtza poświęcona jest systematycznemu przeglądowi najrozmaitszych surogatów pieniądza w naszém rozumieniu tego wyrazu. Nie będziemy ich tutaj jednak rozpatrywali szczegółowo, ograniczając się w naszém sprawozdaniu na zapoznaniu czytelnika z najważniejszą tylko częścią dzieła niemieckiego etnologa, posiadającego dużą wartość naukową.

St. Ciszewski.



RYBACZKA.

Jan Borowski stracił przed niespełna trzema laty nogę. Zakręciło mu się przy czyszczeniu lampy gazowéj w głowie i spadł z drabinki na bruk. Jan Borowski nie mógł być dłużéj latarnikiem. Sprowadził się tedy z żoną i Andzią do maleńkiéj izby,—która ich ledwie w troje pomieścić mogła. Przed oknem pluskała fala rzeczna, rozbijając się po drodze o podmurowanie domku. Borowska chodziła do teatru zarabiać przy garderobie artystek, Borowski płynął łodzią na wodne szlaki, Andzia zaś bosemi nóżkami dreptała do szkółki.

Po powrocie do domu siadała Andzia pilnie nad książką.

Tylko czasami o zmroku lub w święta podchodziła do ojca z dziwnie uśmiéchniętą twarzyczką, całowała go w szorstką dłoń, przyczém spoglądała mu przeciągle, bardzo natrętnie w oczy. On zgarniał ją natenczas w ramiona, przyciskał do piersi i wiódł na brzeg. Szara łódź posuwała się leniwie po stalowéj tafli. Rybak wbijał wiosło w dno, lub rozpluskiwał głębię. Chwilami stawał przy pękach wikli, zapuszczał niewody i czekał. Dziewczynka spoczywała w łodzi nieruchomo,—z główką spartą na dłoniach. Księżyc oblewał ją blado-srebrném światłem,—a ona kąpała się w jego promieniach, jak ptak w słonecznym żarze. Za łodzią snuły się rozbrużdżone smugi wodne i posępna, zamyślona cisza. Rybak przybił do kępy, zakręcił sznur wokół wierzby i zapalił fajkę.

— Tatuś, a zkąd ta rzeka, ta duża rzeka?

Rybak zapychał tytoń żelaznym rylcem.

— Znowu ci będę opowiadał, już słyszałaś...

Ona złożyła rączęta, jak do „Ojcze nasz”, i tonęła źrenicami w ponurych oczach Borowskiego. Rybak poprawił się na kładeczce, pokrywającéj łódź.

„Był niegdyś król, bardzo znaczny król. Włości miał siłę i poddanych siłę. Sieci mojéj oczy—niczém z mnogością włości jego. A jak skinął koroną, leciały ciągiem dukaty pod nogi dworzan. Harfiarzy miał, co mu grali na złotych harfach na sen i przebudzenie, ze złotych mis jadał, ze złotych kubków pijał. Gdy zaś ruszał na wojnę, szły za nim ogromne chmary rycerzy, więcéj niżeli tych gwiazd na niebie. A pan to był srogi i zły. Nie miał litości dla biedy, ani wyrozumienia. Duch w nim czarci siedział,—bo niech się zgniéwa na kogo, zaraz mu każe przykładać topór do karku. Padały ludzkie głowy, jak zczerwienione maki, a on hulał na zamczysku. Bawił się król, bawili panowie, tylko chłop ginął w jarzmie. Przyszedł raz na dwór królewski żebrak chudzina, ot marny łachmaniarz. Głód mu wyglądał z oczu, mróz potrząsał rękami i życie kradł z ciała. Król ruszał właśnie w knieję. Chudzina ustawił się w bramie i wołał: „zmiłowania!.. zmiłowania!” Król obejrzał się wzgardliwie: „zabić go!” Doskoczyli pachołki, jak psia sfora, ale tam, gdzie był przed chwilą chudzina, roztaczała się dziwna jasność, niby od monstrancyi, i nic więcéj. A kiedy król wracał z lasu, nie mógł trafić ni do zamczyska, ni włości. Wszędzie było wody w bród, hen, po za niebo. Z topieli wyszła jedna z córek mocarza i prosiła, że aż serce pękało na dwoje: „tatulu, chodź do nas, do nas”. Mocarzowi zaćmiło się w oczach, wszedł do wody i fala go pokryła. I od téj chwili ta rzeka płynie. Wszystkie srebra z skarbca mocarza zamieniły się na rybki i kamyki, pałace zaś rozsypały się w takie mrowie rumowiska, że piaskiem zasypały całe łożysko rzeki. Te wiedźmy, które się w nocy wynurzają, to królewne, pokarane za ojca złego. Stało się to za zrządzeniem św. Piotra rybaka, patrona naszego.”

Skończył, a dziecina siedziała niema, jak powietrzna atmosfera, rozsrebrzona księżycowém światłem. Przymrużyła powieki i marzyła o biednych królewnach, pogrążonych w zimnéj przepaści. Rybak odpętał łódź, pchnął ją znowu wodnym szlakiem. Poczerniałe kontury drzew chyliły się po obu brzegach, płomyki miejskie migotały w oddali, rozkołysana fala śpiéwała hymn nocy. Na jasną główkę Andzi spływały błyskotliwe nitki z gwiazdek i orzeźwiające powietrzne wiewy. Borowski spuszczał i podnosił sieć.

— Tatku, co tu duchów, widzisz ojczulku?

Rybak włożył rączyny Andzi do cebrzyczka. Dziecko odzyskało przytomność i zapomniawszy o duchach, liczyło:

— Dwie, cztery, pięć ryb...

Czółno zmieniło nagle bieg: płynęło za wodą. Borowski już wiosłem nie robił, tylko patrzał na dziecinę, a dziecina na niego, i tak płynęli spokojnie, miarowo po wodném przestworzu.

Przybili do brzegu.

Rybak uchwycił szafel, przerzucił ryby do paczki, przymocowanéj do palika, i skierował się do izby. Borowska zerwała się na jego widok.

— Po kiego djabła rozwłóczysz mi dziewczynę?

Borowski zdejmował milcząco ubranie i rozpinał je na przypiecku. Stukał téż głucho kulą i liczył.

— Może będzie za dwa papiérki.

— Tobie tylko topiel w głowie i nic więcéj—zauważyła z wyrzutem Borowska.

On nic nie odpowiadając, jął ściągać sukienki z Andzi. Dziewczynka runęła na barłożek. Szumiała jéj na dobranoc rozpluskana fala, szumiały wierzby, brodzące w piaskach, i snuły się cienie po grzbietach ciszy nocnéj. Szedł téż król z dużym orszakiem, za nim pędził w żebraczych łachmanach święty Piotr,—otoczony promienną aureolą. Nagle wszędzie rozlała się toń stalowa,—a nad nią wyciąga błagalne dłonie ku niebu królewna. Pogwar rzeczny zamieniał się w głuchy szum, w echo odległéj pieśni i skonał.

— Śpi już, Janie?

— Śpi—odparł rybak.

— Bodaj zapadła się ta buda!—westchnęła Borowska.—Człowiek całe dziesięć palców straci na komedyantów, a jeszcze mu na nie patrzą. Pamiętasz Zarzycką, coś jéj wieniec na św. Marka odnosił. Bodaj się wściekła! bodaj szczezła! Powiedziała dyrektorowi, żem jéj skradła dwadzieścia pięć papiérków. Słyszane rzeczy? Każą mi zapłacić i chcą wyrzucić na ostatek. Jezus! Marya!.. słyszane rzeczy? Taka kwoka, taka, taka...

Borowski poczuł nagle wielkie zmartwienie. Jużci pamiętał dobrze Zarzycką. Powlókł się raz do niéj z wieńcem po przedstawieniu i dostał dobry napitek. Nie mógł wtenczas żadną miarą zrozumiéć, dlaczego żywa i zdrowa osoba bierze wieńce. Zapytał zatém żony, a ona mu jasno wytłómaczyła:

— U nich wszystko, nie przymierzając, do góry nogami... W kumedyach muszą umierać, dla tego dają im wieńce, a kiedy śmierć najdzie,—to niema i za co pogrzebać.

Borowski dobrze pamiętał Zarzycką. Taka elegancka, grzeczna pani! Jak ona mogła oskarżać żonę o kradzież? Borowska jest sekutnicą, ale smoły w rękach nie ma, nie.

— Nie żartujesz ty czasem? zapytał dobrodusznie.

Borowska zacisnęła pięści mściwie.

— Patrzcie ją, hołotę. Ani to boskie, ani ludzkie. Jak Boga kocham, wiem, zkąd ma różne świecidełka. Taka z ulicy, a będzie mnie, uczciwéj mężatce...

Borowski łagodził gniew żony. Borowska przysięgała się, że ma w pogotowiu odwet. Pani Liczkowska, ta sama, co dyrektora za nos wodzi i wszystkich ma za hetkę pętelkę, obiecała jéj pomoc. Ho! ho! Liczkowska jak chce, potrafi, jeszcze jak potrafi.

— Zasię pani Zarzycka od uczciwéj mężatki, zasię,—zawołała głośno.

A co za bezinteresowność i honorowość w téj Liczkowskiéj. Żeby to przynajmniéj powiedziała:

— Dobrze Borowska; włosek wam z głowy nie spadnie, ale zrobicie to a to... Gdzie tam! Nie wylecę, nie pani Zarzycka... Pani, fi, pani! Raczarka mi lepsza...

Borowski słuchał i słuchał, ale nie przerywał, bo zebrała się w nim moc żalu.

— Wiesz Janie, co powiedziała? Oto tak: dacie mi Borowska na pewien czas do domu waszą Andzię, a u mnie nie zabraknie jéj ptasiego mléka. Odwiedzi was, ile razy zechcecie. Mówiła jeszcze kilka ślicznych rzeczy, których nie zrozumiałam. Nie wylecę, nie— pani Zarzycka. Patrzcie mi,—straszna marmuzela!... Ja tak samo pokazuję sztuki, jak ona. Pamiętasz Janie, jak wisiałam na plakacie?

Jan nic nie pamiętał, nie wiedział właściwie, co się z nim działo. Patrzał na jasne włosy Andzi, rozrzucone po białéj poduszynie. Z kątów ust dziecka wybiegał słodki uśmiéch i mglistą smugą szedł po policzkach. Rączęta miała w małżyk złożone, jak na ostatnią drogę.

— Nie puszczę dziecka na poniewierkę,—krzyknął Borowski.— Po co ona dziecka potrzebuje?

— Po co? wiem ja...

— A ja mam wiedziéć...

— To może położyć na stół dwadzieścia pięć papiérków i stracić miejsce. Z twoich ryb będę żyć i Andzia... będzie żyć, niedoczekanie...

Rybak popadł w zadumę. Po duszy kręciły mu się różne myśli, w głowie mroczyło się od myślenia.

— Inny lizałby palce, że dziecko idzie na lepszy chléb,—a ciebie to kole.

Dziwnych doznawał uczuć Borowski. Andzia w nędzy ginąć nie powinna. Z kimże płynąłby po rzece? Komu opowie baśń o królu okrutnym? Gdy z nią był razem, wierzył, że woda oddycha ludzką piersią i niesie mu rozgwar wesela. Markotno będzie samemu i na fali i nocą. Już lampka nie rzuci blasku na jéj złote włosy. On tak chętnie podsłuchiwał lekcyi. Dowiadywał się tylu z nich nowych, ciekawych rzeczy. A gdy czegoś nie rozumiał, głaskał dziewczynkę po głowie. Ona wtedy zapytywała:

— Nie wiesz ojczulku?... Król Leszek Biały był sierotą, a miał matkę Helenę, która go kochała nad życie, jak ty mnie...

Zamykał jéj usta pocałunkiem, ona zaś rozchylała je i opowiadała długo i rozumnie.

Wszystko to zbiérał w pamięci Borowski, dla tego wielka gorycz go opadła i dręczący smutek. Legł zatém ciężko na łóżku, twarzą do ściany, i nie odezwał się do żony ani słowem. Wczesnym rankiem odpętał łódź od żerdzi i pomknął na połów. Wiosłem kierował leniwie, ospale, oczy zanurzył w rozwidnioną jutrznię, a sieci nie zapuszczał wcale. Trop w trop za nim płynęła czarna troska, wlokąc za sobą smutne przeczucia. Przewalały się one po sobie, jak stalowe fale, Bóg wie po co i dla czego. Borowski widział niewyraźną mgłę i szalone desperacye, których odpędzić nie umiał.

— W imię ojca...

Przeżegnał się, oprzytomniał, ale sieci nie podnosił z dna czółna. Płynął po niezmiernie spokojnéj, zamarłéj powierzchni. Rybak na wpół siedział, na wpół leżał w czółnie i ginął wraz z strapieniami swemi w cichéj, rozświtanéj dopiéro powietrznéj przestrzeni.

Borowska ubrała Andzię w najlepszą sukienkę, spakowała jéj książczyny i odprowadziła do Liczkowskiéj. W drodze odgrażała się kilkakrotnie: nie wylecimy, nie, pani Zarzycka,—i uspakajała płaczącą dziewczynkę.

— Sza, mazgaju, sza,—przyjdziesz do tatusia, kiedy zechcesz. Korony nikt ci z głowy nie zdejmuje...

W kilka dni potém zaszedł w świecie teatralnym niezwykły fakt. Oto pokazało się, że Liczkowska, mimo odmiennych pozorów, posiadała szlachetne serce. Ona jedyna odważyła się śmiało ująć za Borowską, ona jedyna ze łzą w oku chedziła nawet do statystów i statystek.

— Ach! to nieszczęśliwa istota, koledzy. Utrzymuje dziecko i kalekę, a chcą jéj wydrzéć ostatni kęs chleba. Powiedzcie, czy

słusznie... Dziecko przygarnęłam tymczasem. Co za tragedya! Borowska czysta jak anioł. Tą potwarzą odkupiła wszystkie grzechy. Ach!

I podnosiła do podpisu arkusz białego papieru. Było to poświadczenie, że „artyści uważają Borowską za osobę honorową, godną zaufania, a czyn koleżanki Zarzyckiéj za histeryczną złośliwość“. Cały personel wraz z przyjaciółmi teatru podzielił się na dwa obozy: Borowskiéj i Zarzyckiéj. Ukradła, czy nie ukradła? — zawisło na wszystkich ustach. Młodsi i dowcipniejsi wynaleźli nową grę „Zarzycka czy Borowska“, podobną do zielonego. Podpisy na arkuszu mnożyły się,—po stronie Zarzyckiéj pozostali jedynie milczący zwolennicy. Ci szeptali tchórzliwie:

— Liczkowska wykopie ją, wykopie...

Arkusz złożono w kancelaryi dyrekcyjnéj. Dyrektor rozesłał okólnik z postanowieniem, że nie zamierza się nadal zajmować błahostką, dla tego zostawia Borowską na posadzie i pozwala Zarzyckiéj wstąpić na drogę sądową, jeżeli to uzna za godne „posłannictwa artystki“.

Zarzycka przyskoczyła po przeczytaniu okólnika na próbie do Liczkowskiéj i syknęła na głos:

— Nikczemna intrygantko, zielona małpo, sprzedajna jędzo!

Liczkowska w odwet uderzyła ją parasolką w twarz i przegięła się w tył. Podtrzymywał ją jeden kolega i trzy koleżanki, lecz ona chwiała się i spazmowała. Gdy już jéj tchu w piersi nie stało, wyprostowała się dumnie i powiodła wzrokiem naokół.

— Nikt się nie ujmie za mną, słabą kobietą? Nikt? Zresztą dziękuję, ta pani nie warta...

Jeden z aktorów rzekł:

— Współczujemy z panią serdecznie.

Za nim odezwało się trwożliwie kilka głosów, poczém znów kilka, wreszcie cały chór.

Liczkowska zmierzyła pogardliwie Zarzycką od stóp do głów.

— Panowie i panie — klasnął w dłonie reżyser — dalszy ciąg próby.

Liczkowska tryumfowała. Opuszczając scenę, rzekła do Borowskiéj:

— Zadowolona Borowska?

— Ojoj!—ale jéj złota pani dała bobu!

Wtém zoczyła Zarzycką, więc wzięła się w boki i dowodziła krzykliwie:

— Pan Bóg sprawiedliwy. Nie wylecimy, nie, pani Zarzycka.

Schyliła się, pocałowała Liczkowską w ramię powyżéj łokcia i pokornie prosiła:

— A jeżeli łaska, proszę o Andzię jutro na godzinę.

Zjawiła się Andzia u Borowskich dobrze po południu. Witali ją sąsiedzi w sieni kiwaniem głów:

— Cysarskie dziecko!...

Andzia przechodziła wśród nich radośnie i z każdym witała się z osobna. Ubraną była odświętnie. Woń fijołków wionęła od niéj, jak od maja. Rybak patrzał i patrzał i nie mógł się dosyć nadziwić.

Czy to jego, czy nie jego dziecko?

Onieśmieliła go ładna sukienka Andzi i buciki żółte i rękawiczki. Ręce mu się prostowały i drżały, brwi kurczyły i odkurczały. Andzia wcisnęła mu się między kolana, zarzuciła ręce na szyję i przyciągając ku sobie głowę rybaka, — całowała raz po razu czoło. A potém nie zważając na ustawiczne pytania i gderania Borowskiéj, przystanęła niemo na środku izby. Fala grała, jak zwykłe, pieśń toni, czepiała się podmurowania domku i rozpierzchała. Przez okienko widać było mknące na połów łodzie rybacze i skarłowaciałe wierzby, pluszczące się w rzece.

Dziewczynce buchnęły nagle łzy z oczu.

Rybak nie zważał już na ładne rękawiczki i odświętną odziewę, podniósł się energicznie i przycisnął Andzię do piersi.

— Tęskno ci, Andziu, no, powiedz...

Andzia milczała, więc jeszcze mocniéj objął ją rękami.

— Nie powiész, Andziu, co ci jest? Tęsknisz za tonią?... Brak ci ojca?

Andzia, nakrywając twarz rączętami, lamentowała:

— Ta pani, ta moja pani, kazała mi siebie nazywać mamą, a łysego pana papą...

I zaniosła się znowu od płaczu i spazmów, a kiedy łez już nie miała, mówiła z zacięciem:

— Kłóciła się kiedyś okropnie z tym łysym panem. Powiedziała mu, że ją opuścił i mnie zostawił na pamiątkę. I mówiła, tatusiu, że się mnie wstydziła i precz oddała z domu.

Borowskiemu od gniewu fosforyzowały oczy, i głowa trzęsła się, jak w febrze. Dziewczynka objęła go za nogi i pieszczotliwie pytała:

— Ojczulku, to ja nie ojczulka?...

Rybak żachnął się tylko i z impetem przyskoczył do żony:

— Masz, dziecka mi pożyczasz na żebry... Słuchaj, mnie albo tobie...

Borowska zmierzyła go ostro i odsunęła się na bok.

— Co mnie albo tobie? No, odważ się! Daj tyle, żebyśmy z głodu nie szczezły, a możesz ją sobie zakisić...

Nim Borowski zdołał ochłonąć, porwała Andzię za rękę i zniknęła z nią za drzwiami. Borowski patrzał tedy bezprzytomnie chwilę na swoje szczudło, potém wziął pęcherz z tytoniem do kieszeni, odpiął rozciągnięte pod pułapem niewody i popłynął za połowem, choć to święto było.

Liczkowska okrążała właśnie paki na garderobę i żywo gestykulując, stukała palcem w czoło. Cicho, potulnie wsunęła się do pokoju Andzia.

— Czego strzelasz drzwiami!—wołała Liczkowska.

Dziewczynka pocałowała ją w rękę i udała się do szafy, aby w niéj schować kapelusz, parasolkę i rękawiczki.

— Potém, potém! — krzyknęła Liczkowska. Nie nauczę cię tego, jak pakuję, nie ruszaj się. Szpilkami cię kłóją, czy co?

Andzia wcisnęła się w fotelik, ukryty za fortepianem. Liczkowska układała garderobę w dużych, tekturowych pudłach. Od czasu do czasu podchodziła do lustra, przeglądając się w niém lub świstała.

— Czego siedzisz, jak trusia? Nie żyjesz już?—pokrzykiwała, tupiąc nogą. Ty mruku! Dobrze cię nad tą wodą chowano.

Dziewczynka wstała i rozchyliła usta.

— Cicho! sza! ani słowa! widzisz co się ze mną dzieje. Czego się ruszasz!...

Andzia skryła się znowu za fortepianem i drżała ze strachu. Chwilami zapuszczała źrenice w głębie pokoju, po którym krzątała się Liczkowska, od stóp do głów czarno ubrana. Zdawało jéj się wtenczas, że to wiedźma, która lada momencik zgarnie ją na szpachlę i wrzuci w stosy płomieni. Żeby miała przynajmniéj dla swéj obrony ojczulka, lub św. Mikołaja, którego brody tak się bała.

W pokoju rozległa się komenda.

— Do garderoby!

Służąca zabrała dwie paki. Za nią poszła Liczkowska, zwróciła się jednak od drzwi, ujęła Andzię za rękę i schylała ją ku ziemi, to znów ku górze podnosiła.

— A tego łysego pana nie będziesz już więcéj papą nazywać. Rozumiesz?

Nacisnęła klamkę.

— No, jak tego łysego pana nazywać będziesz?

— Panem...

— Bardzo dobrze! a niech Bóg broni inaczéj. Kazia wróci zaraz.

Kazia nadeszła istotnie niebawem. Na stole postawiła szklankę herbaty i bułkę z szynką. Andzia jednak ani nie jadła, ani nie piła. Położyła się na kanapce i oczy utkwiła w suficie. Refleks różowy padał od lampy na jéj bladą, zmizerniałą twarz, otoczoną jasnemi włosami. Tak ją tatko tulił długo i serdecznie, że aż ciepło czuła w całém ciele. Czego ojczulek gniewał się? Pewnie dlatego, że nie może z nią płynąć po rzece. To chyba nie długo potrwa. Mama pozbyła jéj się, bo była niegrzeczną. Tak, była niegrzeczną, spaliła dużo nafty w lampie, zgubiła niedawno książkę, a raz nałożyła tyle węgli do pieca, że czarno zrobiło się w izbie. Pobiła téż w sąsiedztwie Franka od cieśli,—bo nie umiał lekcyi, a ona go uczyła na elementarzu. Nie pojmowała jednak, dlaczego kazano jéj nazywać łysego pana papą. Ona była z swojego papy zadowoloną i za nic w świecie nie zamieniłaby go. Przecież dwóch ojczulków mieć nie może. Ksiądz katecheta uczył: kochaj ojca i matkę. Tamten tatuś wiedzie ją na falę, na daleką wodną roztocz, w wieczorną ciszę. Śpiewa rzeka, szumi... Idzie, idzie coraz głębiéj, coraz pewniéj w jéj rozpadliny szukać gwiazdek na dnie błyszczących. Co rybek wokół! Czepia się brzegów mknącéj łodzi i wraz z nią buja po powierzchni. Wtém ojcuś zapuszcza sieci, ciągnie, ciągnie biedaczysko, aż udźwignąć nie może. A ona wyskakuje z szarych oczu niewodu, jak polny konik, wpada do czółna, rzuca się rybakowi na piersi i woła:

— Ojcuś, to ja, to ja!...

Woli stęchliznę izby tatusia—od błyskotek. Tam woda nuci i żyje. A nie dość jéj było fali na łodzi. Brała ją w garście i oblewała Franka.

— Woda, śliczna woda...

Kazia zerwała się i podstawiła szklankę wody.

Andzia otworzyła szeroko oczy.

Stała nad nią Liczkowska. Policzki jéj zalewał ciemny pąs, skrzydłami nosa poruszała nerwowo.

— A nie śpi jeszcze ten przeklęty Marek... Rozebrać się i ułożyć!...

Andzia trzepotała rączętami, jakby od piersi odrzucała mary.

— Nie pójdę, nie...

Dziwny, gorączkowy blask zalewał jéj źrenice i kładł na czoło liliowe i ogniste smugi.

— Puść mnie pani do domu, ja chcę do domu.

— Ty przemierzła histeryczko, komedyantko, ty żmijo!

Liczkowska szarpnęła Andzię za ramię i pchnęła do łóżka. Po chwili wsunęła głowę za parawan, a ujrzawszy Andzię rozciągniętą na białéj pościeli, zbliżyła się do niéj łagodnie.

— Masz czekoladę, a śpij...

Sama zaś nie tknęła przygotowanéj kolacyi. Zarzycka opowiadała za kulisami kompromitujące o niéj historye. Rozbębniała ptasim kwikiem kawki, że jéj Koralnicki ze strachu przed żoną porządne zapłacił odczepne. Ona nawet przysięgłaby, że Liczkowska nosi to odczepne w torebce na piersiach, jak amulet. Stary głupiec likwidował zapleśniałe długi. Co więcéj, Zarzycka klęła się na zbawienie duszy własnéj,—że Liczkowska pożyczyła dziecka, dla stumanienia i łgoty Koralnickiego.

— Patrzcie—zawodziła—patronka złodziei, jawnogrzesznica, ciocia teatralna! Gratuluję koleżanki...

Aktorzy słuchali z zadowoleniem tych wykrzyków. Pierwszy amant przeleciał koło Liczkowskiéj, deklamując ironicznie:

„Kobieto, puchu marny, kobieto niebiąnko"...

— Podła, podła ta Krzaczkowska — zawołała Liczkowska — i jeszcze raz podła. Ten bękart mnie dyskredytuje. Wyrzucę, niech idzie do kulawca.

Biegła po pokoju i wydymała policzki.

— Nie, zatrzymam ją przy sobie, owszem, nawet zabiorę za kulisy. Niech szczekają... Także ma mnie obchodzić opinia marnéj hołoty.

Andzia była coraz częstszym gościem za kulisami.

Do garderoby Liczkowskiéj zaglądało dużo złotéj młodzieży. W czasie charakteryzowania się musiała Liczkowska odsyłać Andzię co chwila do drzwi.

— Kto tam?—wołała zalotnie.

— Swój,—Olala! odpowiedziano z zewnątrz.

Wszedł wysoki, chudy mężczyzna o połamanych nogach i długich, jak straszydło, wąsach. Naprzód zwrócił się do Andzi:

— Na, masz, ale zamknij oczy.

Dziewczynka sięgnęła apatycznie po pudełko pomadek i spuściła powieki. Podniosła je płocho i prędko domknęła.

Mężczyzna ściskał Liczkowską, a ona błagalnie wskazywała w kąt, w którym siedziała Andzia.

— Andzia, jak się nazywam?—zapytał.

— Olala...

— Brawo!—a coś widziała?

— Nic...

Liczkowska spoglądała na nią badawczo...

— Mój panie, — muszę się ubierać.

On zanucił z sentymentem.

„Jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój“...

Liczkowska nalała koniaku do kieliszka.

— Mam tremę, nasze kawalerskie...

Wychyliła kieliszek i napełniła drugi.

— Olala, w twoje niezawodne.

Wypiła drugi, trzeci i czwarty.

— Andziu tutaj, do mnie... Pij...

Andzia przyłożyła brzegi kieliszka do ust, lecz zaczęła się krztusić.

— Dalej, dalej! nie pieść się. Jeszcze trochę...

Zaświstała i uderzała wykałaczką po zębach.

— Ściągnij Adonisie buty.

Olala padł na kolana, a Andzia wymknęła się niepostrzeżenie z garderoby. Drżały jej rączki i nóżki, w głowie kręciło się strasznie.

Nagle potknęła się o próg i runęła całem ciałem na drzwi garderoby Zarzyckiej. Zarzycka wybiegła w renesansowym kostyumie i nachyliła się nad dzieckiem.

— Wódka jedzie!... Ha! pijanica!... Ha! szelma!... Pani Rańska, panno Żajer, panno Młócka, chodźcie, oglądajcie własnemi oczami.

Zakipiało w korytarzu przy garderobach. Przybiegła między innemi Borowska i wzięła dziecko na ręce. Zarzycka latała koło niej ruchliwie.

— Handlarka żywym towarem! suka!

Liczkowska posłyszawszy głos Zarzyckiej, wypadła wydekoltowana na korytarz.

— Precz!—nie tykaj dziecka!—wołała. Kaziu, do domu z nią.

Po tej pamiętnej nocy zapadała Andzia ustawicznie na zdrowiu. Oczy przecierała nerwowo i płakała bez żadnego powodu. Przez sen majaczyła o czarnych duchach, częściej jeszcze prosiła o zdrowie dla mamy i taty. Liczkowska zbiła ze złości niejedną już filiżankę.

— Ty bekso, ty płaczko, pójdziesz precz niedługo.

Za kulisami patrzano na Andzię z politowaniem.

— Patrzcie, jakie mizerne chuchło zrobiło się z rybaczki.

Andzia przyparta do bocznéj ściany kulisy, stała zazwyczaj blada, obojętna na to, co się wokół działo. Przechodzono obok, wynoszono i wnoszono sprzęty, ona zaś nie ruszała się z miejsca. Czasem rozległ się głos maszynistów:

— Na bok rybaczko! hejże rybaczko!

Oddalała się natenczas automatycznie i sztywnie stawała w innym kącie. Zazwyczaj plątała się między czekającemi na dzwonek chórami. Przerzucano ją z dłoni do dłoni wśród głośnych żartów i poleceń: podaj daléj. Gdy przebiegła całe koło, — skradała się za kulisę i błędnie patrzała przed siebie.

Chórzyści głaskali po twarzach chórzystki i całowali je w usta.

Andzia przypomniała sobie Franusia i postanowiła go tak samo pocałować.

Liczkowska zostawiała coraz częściéj Andzię na opiece Kazi. Dziewczę mało rozmawiało z służącą, choć ją bardzo lubiła.

— Słuchajno Kaziu,—zagadnęła z zaciekawieniem — całujesz ty swego chłopaka? To przyjemnie...

Kazia odparła z zachwytem:

— Ojéj!

Nagle Andzia przyskoczyła do Kazi.

— Chodźmy na chwilę do tatusia. Ta nasza i tak nie przyjdzie, ona się długo całuje...

— Rany Boskie, co téż Andzia mówi, krzyknęła przerażona Kazia.

— Chodź do tatusia! chodź do tatusia!

I tak gwałtownie zaniosła się od płaczu, że Kazia co prędzéj wzięła chustkę na siebie.

Na widok dziecka opuścił rybak sieć, którą właśnie sznurami łatał.

— Ojczulku, wrócę do was, niedługo wrócę...

— Chwała Bogu, będzie koniec biedzie...

— I znowu popłyniemy razem. Czytać ci będę ojczulku...

Rybak przechylił twarz dziecięcia ku lampce i łza mu zawisła na rzęsach.

— Andziu, Anulu...

Dziewczynka zwróciła się ku oknu tak, że oddech jéj ślizgał się po szybie. Woda szumiała, jak zwykle, pieszczotliwie. Zrazu czuła rzewność i ukojenie, potém zwały ją prądy szerokie, rozhukane, w końcu bujała po przestworzu tonów.

Wtém rozległ się łomot strzaskanéj szyby.

Borowski podszedł do Andzi i chwycił za okaleczoną rękę.

— Rany Boskie, krew się ciurkiem leje.

Zmył ranę szmatką. Andzia stała, jak przygwożdżona do podłogi.

— Niech cię Bóg prowadzi,—rzekł do dziecka, noc późna.

Ostatnie dni pobytu Andzi u Liczkowskiéj dobiegały kresu. Ogarniało ją ożywienie, aż promienie wesela spływały z oczu. Od kilku dni dreptała poważnie po pokoju, przystawała przed lustrem i figlarnie uderzała w dłonie. Następnie odczytywała na głos wiersze z pięknie oprawionéj książki. A więc, ona tak samo, jak Liczkowska, Zarzycka i inne, będzie na scenie, zadeklamuje, ukłoni się i przyłoży rękę do serca.

— Tyle ludzi, tyle ludzi...

Powiodła smutno okiem po pokoju.

— Niema nikogo, niechcę nikogo.

Teatr był szczelnie zapełniony, śpiewano „Dziady“ Moniuszki.

Andzia czekała wraz z drugą dziewczynką na strychu, między maszynistami. Była ubrana w białą, muszlinową sukienkę, przepasaną szeroką niebieską wstążką w biodrach. Na luźnie rozwianych włosach miała wianuszek mirtu. Wyglądała, jak dziewczynki, sypiące kwiecie przed celebransem w czasie pochodu procesyi Bożego Ciała.

Inspicyent dał znak. Maszynista poprowadził dzieci do pudła, zasłoniętego od frontu dużą, dziwacznie rzeźbioną deską, wyobrażającą obłok.

Jeszcze momencik, mały momencik.

Obłok powoli zsuwał się po powietrzu i zawisł nad środkiem sceny.

Andzi ściemniło się w źrenicach. Wokół niéj krążyła mgła, kredowa mgła, jakby śnieżnemi posypana puchami. Przepaść i przepaść... Szmery rozlegały się naokół, tajemnicze szmery. Rzeka musi chyba w pobliżu toczyć nurty i odbijać je o okienko tatusia. Ruszyła ręką, a wraz z tym ruchem skłoniły się białe skrzydła, umocowane u jéj ramion. Mgła ginęła,—odsłaniając czystą przestrzeń.

Z za kulis krzyknął inspicyent.

— Baczność Andziu! Teraz...

Andzia sparła się silnie na obłoku i wyraźnie zadeklamowała:

„Do mamy lecim, do mamy,
Cóż to, mamo, nie znasz Józia?
Ja to Józio, ja ten samy,
A to siostra moja Rózia.

My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiéj, niż u mamy,
Patrz, jakie główki z promieni,
Ubiór z jutrzenki światełka,
A na obojem ramieniu,
Jak u motylków skrzydełka."
. . . .
„Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga,
Ach! mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do Nieba droga".

Gorące oklaski zahuczały. Po krótkiéj przerwie wypowiedziała Andzia jeszcze kilka wierszy i obłok wzniósł się do góry.

Borowska porwała Andzię i zawzięcie ją całowała.

— Czego ty się nie śmiejesz, ty czarodziejko?

Andzia pocierała oczęta i rwała listki z wianka.

— Mamo, mnie tak zimno...

Kazia otuliła ją w dużą chustę i zniosła po schodach. W domu posadziła ją na kanapce i dała ciastka, przygotowane przez Liczkowską.

— Andziu, baw się tu, ja zaraz wrócę, schodzę tylko do sklepiku..

Zaledwie drzwi się za Kazią zamknęły,—wybiegła Andzia.

W izdebce Borowskiego świeciła się lampka. Rybak przebierał stare, stłuszczone karty i rozkładał je w grupki na stole.

Andzia stanęła na wązkim przesmyku, oddzielającym domek od wody, i patrzyła. Mroczyło jéj się w biednych oczach,—jakby tuman przeszedł przed niemi. Szumią skrzydła, nie skrzydła...

„Do mamy lecim, do mamy,
Cóż to, mama nie zna Józia?"

Niebo było jasne, nieruchome. Gwiazdki lśniły na lazurach i topiły złote promienie w wodném przestworzu. To córki okrutnego króla zbiérały złoto i niosły je przed tron ojca.

Odwróciła się i zanurzyła nogi w przybrzeżnéj fali. Fala grała i grała,—a złoto na nią spływało.

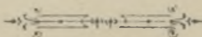
Mirtowy wianuszek pozostał na stalowéj powierzchni.

Stary rybak odłożył karty, wsiadł na czółno i odbił od lądu.

Prąd nawlókł mu mirt na wiosło.

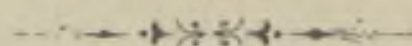
Położył przemoczoną zieleń na pomostku łodzi i płynął, hen, płynął, a za nim ciągnęły czarne smutki.

Włodzimierz Koszyc.



SALONY PARYSKIE

i secesye zagraniczne



Bez zaprzeczenia pierwsze miejsce w dorocznych produkcyach sztuki europejskiéj zajmują salony paryskie. Tu oddawna powstał zwyczaj międzynarodowego turnieju artystycznego. Francuzi w nim odgrywają rolę wybitną, pierwszorzędną, ale nie wyłączną. Obok stoją dzielnie całe zastępy artystów amerykańskich, angielskich... wreszcie znajdujemy tu reprezentantów wszystkich krajów.

To powodzenie i powaga, jaka otaczała „salon“ a późniéj „salony“ paryskie, wywołała w innych stolicach pragnienie wytworzenia podobnego ruchu artystycznego, któryby nietylko zgromadził na własnéj ziemi siły narodowe, odciągane dotychczas przez salony, ale téż i zwabił dzieła innych narodowości i w ten sposób rynek dla dzieł sztuki na miejscu wytworzył. Tak powstały doroczne wystawy międzynarodowe w Monachium, Berlinie, Wiedniu, Dreznie i t. d. Próby te przeważnie dały rezultat gorszy, niż salony paryskie, a i te ostatnie zaczynają się coraz bardziéj przeżywać.

To przeżywanie się, ten szablon i rutyna, jakie z biegiem lat wytworzyć się musiały, rodzić zaczęły niezadowolenie śród znacznego grona artystów, nie znajdujących w dorocznych salonach należytéj gwarancyi, że usiłowania ich w sztuce zostaną w taki sposób

szerokiemu ogółowi przedstawione, jaki za najwłaściwszy uznali sami autorowie. Rzecz prosta, że *jury*, t. j. komisye wydelegowane do przyjmowania lub odrzucania prac artystów, były najbardziéj na pociski narażone, jako uosobienie tego szablonu i rutyny. Już za Napoleona III-go powstał obok oficyalnego salonu tak zwany salon odrzuconych. Między dziwactwami lub nieudolnemi próbkami znajdowały się tam dzieła kapitalne, twórcy ich zostali z czasem za mistrzów sztuki francuskiéj i za założycieli szkół i nowych kierunków uznani.

To była bodaj-że pierwsza wystawa, którąby można było nazwać secesyą przymusową.

Niechęć wielu artystów do ciasnéj polityki tych grup, które w swoje ręce potrafiły pochwycić kierownictwo salonu paryskiego, wyrażała się wielokrotnie bądź przez urządzanie wystaw obrazów odrzuconych, bądź téż przez utworzenie się stowarzyszenia artystów niezależnych, którzy na swoją rękę wystawy zaczęli stale co rok urządzać [1]) W ten sposób powstała secesya dobrowolna. Lecz usiłowania te z różnych przyczyn nie przybrały tak wielkich rozmiarów, żeby mogły zachwiać i zaszkodzić staremu salonowi oficyalnemu, który miał za sobą tradycye i poparcie szerszéj publiczności, jeszcze trudniéj od wszelkich *jury* mogącéj pojąć nowsze dążenia i kierunki w sztuce.

Dopiéro w roku 1890 znaczna część artystów i to pierwszorzędnych oderwała się od „stowarzyszenia artystów francuskich“, tworząc nową korporacyę „stowarzyszenie narodowe sztuk pięknych“.

Ponieważ dawny salon urządzał wystawy na polach Elizejskich, a ten nowy związek dostał do użytku gmach na polu Marsowém, więc pierwszy nazywano pospolicie salonem na polach Elizejskich, a drugi — salonem na polu Marsowém. Ośm lat od tego rozłomu upłynęło, ośm dorocznych podwójnych salonów publiczność oglądała, więc nic dziwnego, że te nazwy przyrosły już do samych stowarzyszeń. W tym roku, z powodu prac koło przyszłéj wystawy powszechnéj, tak pałac przemysłu na polach Elizejskich, jak i pałac sztuk pięknych na polu Marsowém, należą już tylko do wspomnień. Dla pomieszczenia obu salonów jedyném możliwém miejscem okazała się wielka hala maszyn, jaka po wystawie powszechnéj z r. 1887 pozostała. I choć obydwa salony pomieszczono w tym samym budynku, publicz-

---

[1]) Żałuję, że nie mogę w tej pracy dać obok dwóch wielkich salonów i sprawozdania z tegorocznej wystawy artystów niezależnych, lecz podczas jej trwania nie byłem obecny w Paryżu. (*przyp. aut.*).

ność jednak zawsze jeden salon nazywa „*des Champs Elysées*“, a drugi „*de Champ de Mars*“.

Powstanie w r. 1890. stowarzyszenia narodowego sztuk pięknych było nareszcie pierwszym wysiłkiem do otrząśnięcia się z rutyny wysilkiem, który dał potężne i groźne dla przeciwnika rezultaty. To była pierwsza secesya na wielką skalę. Lecz samą nazwę „secesyi“ dopiéro przybrała wystawa urządzona w kilka lat późniéj w Monachium. Od téj pory wystawy „secesyjne“ zaczęły się mnożyć.

Nazwa stała się popularną i przyłączono do niéj pojęcie wystawy o nowych i oryginalnych kierunkach. Secesye zaczęły się więc zjawiać zarówno tam, gdzie była po temu racya, jak również i gwoli mody tam, gdzie żadne odłączanie się nie miało celu, gdyż już istniejące związki artystyczne dla wszystkich zostawiały wstęp otwarty i w obrębie ich można było wszelkie dążności i kierunki pomieścić.

Przebiedz salony paryskie, zwiedzić wystawy secesyonistów i niesecesyonistów w Monachium i Wiedniu—to nielada praca, która za to daje możność zdania sobie sprawy z bieżącego ruchu artystycznego prawie całéj Europy.

Wrażeniami, jakie wyniosłem z tego przeglądu, pragnę się tu z czytelnikami podzielić.

Najmłodsza z wystaw secesyonistycznych jest w Wiedniu, bo liczy dopiéro pierwszy rok istnienia. Otwarcie się przyznaję, że szedłem na nią źle usposobiony. Wiedeń, choć może przyciągać pojedyńcze talenty, nigdy jednak nie zdobył się na wytworzenie na szerszą skalę życia i ruchu artystycznego, więc owa wystawa secesyi jakoś wydawała mi się podejrzanéj wartości. To powątpiewanie témbardziéj mnie zaciekawiało. Tymczasem wręcz przeciwnie przewidywaniom jak najlepsze z niéj wyniosłem wrażenie.

Wiedeńczycy za pomocą niéj rozwiązali kwestyę, jak się powinno wystawy sztuki urządzać, i dali nam typ dobrze urządzonéj wystawy.

Sekret ten polega na trzech warunkach: 1) każdy obraz powinien mieć w sobie coś oryginalnego, coś indywidualnego. Wszelkie poprawne, ale na zimno powstające dzieła tylko nużą i przygniatają swą banalnością widza; 2) dzieł sztuki powinno być tylko tyle, wiele bez znużenia widz może za jedną wizytą obejrzyć, poświęcając każdemu dostateczną chwilkę czasu. Gdy obrazów jest niewiele, widzi się wszystkie, a gdy jest ich zbyt dużo — nie widzi się żadnego. Liczba 500, jaką zgromadziła secesya wiedeńska, jest właśnie dość dużą, żeby zająć i przyciągnąć publiczność, a zbyt małą, żeby

ją znużyć; wreszcie 3) dzieła sztuki powinny być bardzo starannie rozwieszone, bez natłoczenia jednego przy drugiém, najwyżéj w dwóch rzędach i w otoczeniu harmonizującém.

Secesya wiedeńska zgromadziła wiele dzieł interesujących, a przedewszystkiém, co na szczególniejsze zaznaczenie zasługuje, wszystkie prawie bez wyjątku były utworami talentu. Nie spotykało się tu z nieznośnemi sklepowemi obrazami, zapełniającemi najlepsze wystawy.

A więc trzebaby wnosić, że jest sztuka wiedeńska i stoi wyjątkowo wysoko?

Niestety, nie mogę tego równie twierdząco powiedzieć.

Wystawa secesyi dowiodła tylko, że w Wiedniu są dzielni i zręczni organizatorowie, sale bowiem wystawy zapełnione są głównie pracami nie-wiedeńczyków. Największą przewagę mają na wystawie dzieła francuskie tak pod względem liczby, jak i doboru. Francuzów jest dwa razy więcéj, niż wiedeńczyków, a prawie tyleż, co austryackich i niemieckich Niemców razem. Sztukę niemiecką najlepiéj reprezentują monachijczycy, a potem idzie Drezno i Berlin. Kraków stosunkowo bardzo dobrze jest przedstawiany. Spotykam tu 7 polskich artystów z 26 dziełami. Lecz przeszedłszy wszystkie te dwanaście niewielkich sal i doznawszy jaknajlepszego artystycznego wrażenia, mimowoli nie można się rozstać z męczącém pytaniem, jakim sposobem Wiedeń zdobył się na taką wystawę? I dochodzi się do odpowiedzi, że tylko organizatorami są wiedeńczycy, a wystawcami przeważnie cudzoziemcy, a szczególniéj Francuzi. Następnie drugiém źródłem świetności wystawy jest ozdobienie jéj pracami dawniejszemi. Ta wystawa nie dała nam tego, czego zwykle od dorocznych wystaw oczekujemy: nie dała nam rezultatów pracy artystycznéj z ubiegłego roku, ale pochwaliła się zbiorem prac z różnych lat, branych skąd się dało, aby tylko uświetnić wystawę, Wobec tego jest ona pod dwoma względami fałszywą; jest secesyą artystów austryackich—bez „Austryaków“, ma być wystawą doroczną, a zgromadziła dzieła z lat wielu. Nie mówię tego naturalnie, pragnąc jakiegoś rygoru zabraniającego wystawienia dzieł z przed lat kilku, byłoby to nawet bezpodstawném, bo obraz, przechodząc przez wiele wystaw, musi sporo czasu stracić na te wędrówki, lecz to dowodzi tylko, że co rok Wiedeń nie będzie w stanie zdobyć się na wystawę równie dobrą. Obecna pochodzi z kilkuletnich zapasów, a te się muszą wyczerpać. Tak np., wszedłszy do sali środkowéj, urządzonéj ze szczególniejszém staraniem, niejako honorowéj, widzimy całą ścianę zajętą przez wielkie malowidła dekoracyjne *Puvis de Chavan-*

nes'a, przeznaczone do panteonu paryskiego, a przedstawiające epizod z życia św. Genowefy. Obrazy te były w r. 1897 w salonie paryskim i obszerniéj o nich pisałem. Na środku sali stoi fragment gipsowy do wielkiego pomnika, przeznaczonego dla cmentarza *Père Lachaise*, który już w r. 1895 figurował w salonie. Autorem jest znakomity rzeźbiarz francuski Bartholomé Albert. Jeśli weźmiemy obrazy Uhde'go „Chrystus nauczający nad jeziorem", Böcklina „Igraszki na falach", to przekonamy się, że większość obrazów, przyciągających uwagę bądź głośném nazwiskiem autora, bądź wyjątkową wartością artystyczną, jest dziełem dawniejszém, czasem specyalnie wyciągniętém z jakiegoś zbioru prywatnego dla ozdoby wystawy.

Widząc takie wyborne rezultaty świéżo powstałéj secesyi wiedeńskiéj, z wielkiém zaciekawieniem udawałem się na zwiedzenie secesyi w Monachium, tej słynnéj secesyi, téj matki wszystkich tak szybko się mnożących wystaw secesyjnych. Pięć lat istnienia, pięć dorocznych wystaw zrobiło tu już widać swoje i zepsuło pierwotne dobre dążności. Liczba obrazów nie wiele przewyższa secesyę wiedeńską, ale za to sposób wystawienia i dobór daleko stoi niżéj. Co jest tam dobrego, to mogłoby znaleźć miejsce na urzędowéj wystawie w pałacu Szklanym, a co tam by miejsca znaleźć nie mogło, jest najczęściéj tylko dziwaczném, a nie oryginalném lub nowém.

Wiedeńską secesyę szczególniéj to cechowało, że nie było tam rzeczy złych, ani banalnych. Widz, idąc od obrazu do obrazu, z góry już oczekiwał nowego wrażenia. Uwaga jego ciągle była podtrzymywaną w natężeniu, a zmysł estetyczny coraz to nowéj doznawał rozkoszy. Tymczasem w secesyi monachijskiéj obok rzeczy wybornych były banalne, obok słabych wprost niemożliwe, a mnie, com był tylko co na oficyalnéj wystawie monachijskiéj w *Glaspalast*'cie, témbardziéj musiało uderzyć to, że w secesyi większość obrazów niczém się nie różni od tych, które są w Szklanym pałacu rozwieszone. A w takim razie poco robić „secesyę"? Nie mówię tu naturalnie o wszystkich pracach bez wyjątku, ale oddaję ogólne wrażenie, jakie odebrałem.

Wystawa monachijska oficyalna w Szklanym pałacu już posiada wszelkie pretensye wystawy wielkiéj, międzynarodowéj. 55 sal większych i mniejszych, mieszczących blizko 2000 numerów, to bardzo wiele wobec kilkuset płócien „secesyi," która, jeśli mogłaby to wielkie zbiorowisko obrazów zwalczać, to tylko jedynie dzięki wyborowi i oryginalności prac zgromadzonych. Na szczególną uwagę zasługują w Szklanym pałacu dwie wystawy, w oddzielnych salach

urządzone, a gromadzące prace dwóch mistrzów bawarskich: von Kaulbacha i von Lenbacha.

Lecz cóż te niecałe 2000 dzieł sztuki pałacu Szklanego może znaczyć w porównaniu z siedmiu i pół tysiącami, jakie zgromadzono w Paryżu w pałacu maszyn na polu Marsowém?

Rozdzielone od lat ośmiu i znów pod jednym dachem spotykające się *nolens volens* salony zrobiły pierwszy krok do zgody i zachowując zupełną niezależność, postanowiły otworzyć i zamknąć swe wystawy jednocześnie, oraz pobierać jedną opłatę za obydwa salony, tak że przechodziło się z sal jednego do drugich, nie spostrzegając tego.

Mówie „nie spostrzegając“, ale tylko pod względem formalnym, bo co do wrażenia estetycznego, to różnica w dziele malarstwa nigdy może nie była tak widoczną, jak tego roku, na korzyść salonu z pola Marsowego, a w rzeźbie naodwrót.

Salon „*des Champs Elysées*“, jak zwykle, natłoczył mnóstwo obrazów bez żadnego względu na efekt. Trzy rzędy obrazów, przeważnie w niewielkich salach, piętrzyły się jedne nad drugiemi, rama dotykała ramy, obok iksa wisiał ygrek, portret obok pejzażu, jaskrawy obraz obok słodko namalowanego mydełka. Czemuż niema wyrażenia podobnie dosadnego w stosunku do zmysłu wzroku, jakiém jest względem słuchu kocia muzyka? Kocia muzyka nie potrzebuje się składać ze złych muzykantów. Dość żeby każdy grał dobrze, ale jednocześnie każdy co innego.

Salon z pól Elizejskich corocznie urządza taką kocią muzykę optyczną. Przytém trzeba nadmienić, że tegoroczny salon specyalnie się odznaczał nagromadzeniem banalności i banalności bez końca. Przeszedłszy do sal salonu z pola Marsowego, odrazu się odczuwało jakieś uspokojenie nerwów. Ta szalona szachownica obrazów jasnych i ciemnych, portretów i fal morskich, zieloności drzew z czerwonością draperyi, to istne album zbieracza marek w powiększeniu, gdzie całe strony zalepione są różnobarwnemi kwadracikami o najbardziéj kłócących się kolorach, ta kocia muzyka barw została nareszcie gdzieś za nami! Aż lżéj się na duszy zrobiło.

Czy rzeczywiście salon z pól Elizejskich jest tak słabym? Nie. Robiąc porównanie np. z pałacem Szklanym w Monachium, jest nawet lepszym, ale o tém niepodobna się przekonać odrazu. Widząc taką mozajkę, nic się nie widzi, odbiera się niezmiernie przygnębiające wrażenie i zupełne zniechęcenie do patrzenia na obrazy. W każdym razie tegoroczny salon należy do słabszych w porównaniu ze swemi poprzednikami. Tak blizko już będąca wystawa powszechna

zachęciła niejednego do zarezerwowania dla niéj tego dzieła, które autor za najlepsze uważał.

Salon z pola Marsowego dlatego korzystniejsze sprawia wrażenie, że obrazy rozwieszone są najwyżéj w dwóch rzędach i z pewnemi odstępami, przez co niema natłoczenia, a co najważniejsze, że można tam wystawiać nieograniczoną liczbę dzieł tego samego artysty, przez co otrzymuje się całe grupy obrazów tą samą techniką malowanych, a więc nie szkodzących sobie wzajemném sąsiedztwem. W salonie z pól Elizejskich, choć artysta ma prawo najwyżéj dwa obrazy wystawić, prawie nigdy nie wiszą one obok, a najczęściéj nawet w rozmaitych salach. Za to pod względem rzeźby salon z pól Elizejskich, jak zawsze, nietylko liczbą przewyższył swego przeciwnika. Może w rzeźbie salonu z pola Marsowego częściéj się dostrzeże coś oryginalnego i nowego w pomyśle, ale w tym roku rzeźba wyjątkowo nie dopisała, bo gdy w pierwszym salonie jest blizko 900 dzieł, tu widzimy zaledwie 200, a że ogromny ogród, urządzony wewnątrz gmachu dla rzeźby, mieści obydwa salony, przedzielone tylko nieznacznie rodzajem bramy tryumfalnéj, więc kąt niewielki, zajęty a właściwiéj mówiąc niezajęty przez salon Marsowy, robi wrażenie czegoś niedokończonego w porównaniu z tuż rozpoczynającemi się szeregami marmurów, bronzów i gipsów, gęsto rozstawionych na tle zieleni w salonie sąsiednim.

Za to kącik ten, jakby zaniedbany i pusty, nie może się skarżyć na brak zwiedzających, ma bowiem tak zwany „*clou*", przyciągający tłumy. Przynętą tą jest model gipsowy na pomnik Balzac'a, wykonany przez Rodin'a. Wiele o tém pisano i zapewne choć echa dalekie do czytelników moich dochodziły.

Rodin August posiada sławę znakomitości i przez wielu okrzyczany jest za jedynego rzeźbiarza współczesnego. Jako próbkę uznania, można wziąć opinię angielskiéj „*Daily Chronicle*", która, poruszając kwestyę pomnika narodowego dla Gladstona, zaproponowała na wykonawcę francuza (!) Rodin'a, jako największego z rzeźbiarzy tego wieku. Lecz jeśli jedni bez miary wynoszą Rodin'a pod niebiosa, to inni bardzo ostry wyrok na niego wydają.

Przeszłego roku Rodin wystawił odlew gipsowy pomnika Wiktora Hugo. Dość o tém obszernie pisałem, żeby się powtarzać, nadmienię tylko, że potwornych kształtów muzę, a w oddzielnym kawałku głowę Wiktora Hugo i kilka innych odłamków tego pomnika miałem nieszczęście spotkać znów tego roku na wystawie secesyi wiedeńskiéj. Jedna to zdaje się była rzecz, która mnie tam raziła. Przyznam się jednak, że te cztery oddzielne, bezkształtne kawały

gipsu, bez związku wyrwane z zaczętego zaledwie pomnika, mniéj mnie zajmowały, niż chęć wyrobienia sobie nareszcie jasnego pojęcia o samym autorze. Ta przeszłoroczna bryła gipsu, mająca być projektem pomnika Wiktora Hugo z dwiema muzami, była dopiéro w zarodku, a że Rodin, który znakomicie wydobywa miękkość ciała w marmurze przy kończeniu, zdaje się nie mieć najmniejszego daru do szkicowania początkowego, więc były to po prostu potworności, prawdopodobnie tak umyślnie utrzymane, i trzeba się było tylko zastanawiać skąd mu mogła przyjść myśl robienia specyalnego odlewu i pokazywania go publiczności w epoce, kiedy praca jeszcze nie była po prostu zaczętą jak się należy. To nie przeszkadzało wielu zachwycać się tą rzeźbą.

Znaną jest sztuczka zachwycania się tém, co jest złe i brzydkie, żeby w naiwnych rozbudzić podziw i wiarę, że się jest prawdziwym znawcą, skoro się dopatruje piękna tam, gdzie go inny nie widzi.

Byli tacy, co chcąc zająć miejsce pośrednie, twierdzili, że wprawdzie w szczegółach są braki, ale za to, co za wspaniały układ, co za przeprowadzenie linii i t. d., i t. d.. Jeśliby tak myślał sam autor, to jakieżby mógł popełnić barbarzyństwo przysłania do Wiednia 4 oddzielnych kawałków? Wszak ani o układzie, ani o całości, ani o liniach sądzić z tych gruzów było niepodobna!

Tego roku, zanim zobaczyłem Balzac'a w salonie, czytałem już obszerne walki i spory. Stowarzyszenie literackie, które owego Balzac'a miało nieszczęście obstalować u Rodin'a, odmówiło przyjęcia obstalunku. Można sobie wyobrazić oburzenie, jakie to wywołało u mistrza, a szczególniéj jego wielbicieli, którzy nie potrzebowali się żenować. Gdym wreszcie owo dzieło zobaczył, własnym oczom nie wierzyłem. Coś równie potwornego, niekształtnego i śmiesznego trudno sobie wyobrazić. Nieudolna figurka z drzewa, wyskrobana kozikiem i powiększona do nadnaturalnéj wielkości, z jednoczesném powiększeniem wszystkich błędów i braków—oto Balzac Rodin'a. Że tłumy stoją przed nim i śmieją się, to jeszcze nie jest decydującém, ale gdzie tylko w gronie artystów podniosą kwestyę Balzac'a Rodin'a, wszyscy zgadzają się na całą śmieszność téj pracy.

Wyobraźmy sobie bryłę gipsu, węższą u dołu, a rozszerzającą się ku ramionom. Ma to być mężczyzna stojący i okręcony w płaszcz, rodzaj habitu, jakiego Balzac używał przy pracy. Cały ten słup, nie przypominający kształtami ani ciała ludzkiego, ani choćby owego habitu, wali się na bok, co wielbiciele nazywają „ruchem". Z tego słupa wystaje potworna głowa, o potworniejszém jeszcze „wolu" pod gardłem. Wszystko razem robi wrażenie strasznéj nieudol-

ności i przypomina stojącą fokę. Podobieństwo musi istnieć, gdyż je odrazu spostrzegłem, a następnie w kilku dziennikach również spotkałem to porównanie.

Najordynarniejsza figura, przez nieumiejętnego sztukatora zrobiona, nie będzie chyba tak ordynarna. Mistrz sam to czuć musiał, więc naprzeciwko postawił grupę marmurową „Pocałunek", gdzie dwoje nagich ludzi, naturalnéj wielkości, obejmuje się w uścisku. Rzeźba ta, piękna w układzie, wyróżnia się, jak zwykle u Rodin'a, dużą miękkością ciała. Ta praca artystycznie wykonana ma widocznie na celu powstrzymać publiczność od śmiechu nad Balzac'iem. Nic to jednak nie pomogło! Publiczność przygląda się z zajęciem „Pocałunkowi", a kpi sobie z Balzac'a.

Za to ci, którzy pragnęliby uchodzić za znawców, nie mając do tego danych, dochodzić muszą do oceny piękna nie jak tłum, który to robi instynktownie, nie jak artyści przez wyborne poczucie swego ja estetycznego, połączonego z wykształceniem technicznėm, ale przez rozumowanie. Ci pseudo-znawcy i obdarzeni pseudo-artystycznym smakiem powiadają sobie: skoro Rodin zdobył się na „Pocałunek", to potrafiłby téż zrobić Balzac'a takim, żeby wszystkich zadowolnił. Jeśli go takim nie zrobił, to dla tego, że nie chciał, a zatém miał jakąś ukrytą myśl i cel do osiągnięcia. Celu tego może my nie rozumiemy, ale właśnie to dowód wyższości geniuszu Rodin'a. I poczciwi ludziska zachwycają się na wiarę Balzac'iem dlatego, że Rodin stworzył inną dobrą rzeźbę.

Tymczasem odpowiedź na tę zagadkę zdaje się być prostą, Rodin jest dobrym rzeźbiarzem, a mało inteligentnym człowiekiem. Ludzie zawsze są skłonni uwierzyć w swoją wielkość i nadzwyczajność, cóż dopiéro ludzie o niewielkiéj inteligencyi, którzy po latach biedy i poniewierki nareszcie nietylko zostali ocenieni, ale nawet przecenieni. Za takimi biegną tłumy wołając: „mistrzu! mistrzu! ty jesteś największy, ty jesteś jedyny!" I jak tu się dziwić, jeśli taki człowiek, który dziś ani na jotę nie czuje się mędrszym i więcéj umiejącym, a którym nikt się wczoraj nie interesował, jeśli taki człowiek, usłyszawszy okrzyki i entuzyazm naokoło siebie, nie zacznie brać tego wszystkiego za najlepszą monetę i nie uwierzy w siebie, jako w wyjątkowy geniusz? Gdyby Rodin wykonywał wszystko wedle swych sił, talentu i uzdolnienia rzeźbiarskiego, byłby stał w rzędzie z wieloma innymi dobrymi artystami francuskimi. Lecz on pragnie być jedynym, wyjątkowym! Wszelkie dogmaty, żeby były dogmatami, muszą być niezrozumiałemi i nie dającemi się sądzić logicznie. Trzeba w nie ślepo wierzyć i basta. Gdyby były zrozu-

miałemi, mogłyby podlegać krytyce, a wówczas straciłyby cechy wyjątkowości.

Tego zapragnął Rodin, mówiąc sobie, że im coś dziwaczniejszego stworzy, témbardziéj będą się dziwili i tém łatwiéj uwierzą w jego wielkość. Jestem tak wielki, że wszystko, co stworzę, choćby w przeciągu 5 minut, musi nosić cechy wielkości. Wyobraził więc sobie, że jak Midas, czego się dotknął, to się zamieniało w złoto, tak on, Rodin, czego się dotknie, musi się zamienić w arcydzieło. W ten sposób ten sam człowiek jest w stanie stworzyć dzieło wartościowe w granicach swych zdolności i umiejętności techniczněj, jak jednocześnie coś równie głupiego i potwornego, jak pomnik Balzac'a. Nie spotkałem jeszcze żadnego artysty, nawet zwolennika Rodin'a, któryby na moje zapytanie nie odpowiedział, że gdyby Balzac'a przysłał nie Rodin, prezes działu rzeźby, ale kto nieznany, napewno zostałby nie przyjęty do salonu.

Możliwém jest nieprzyjęcie arcydzieła, ale niemożliwém się wydaje każdemu, mającemu zdrowe zmysły, zachwycanie się czémś dla tego, że autorem jest Rodin, a jednocześnie wyśmiewanie tego samego, gdyby autorem okazał się ktoś bez sławy.

Portret olejny Rodin'a w tegorocznym salonie przez Avigdor'a umocnił mnie w tych przypuszczeniach. Przedstawia on człowieka zgruba ociosanego, o spadających ramionach, z głową wtłoczoną w ramiona, o czole bardzo nieinteligentném i niskiém włosach krótkich, robiących wrażenie szczeciny, o nię mówiących oczach, rozwiniętych szczękach, jeszcze bardziéj dominujących przez długą brodę, co mu nadaje podobieństwo do starego kozła. Ten typ człowieka o cechach pospolitych nie jest wcale rzadkim śród artystów francuskich, i cecha ta charakteryzuje również wybornie sztukę francuską: wielu znakomitych wykonawców—bardzo mało prawdziwych twórców. Ta płytkość treści przy doskonałości formy musi dziwić w narodzie uchodzącym za tak inteligentny.

Z obowiązku sprawozdawcy zająwszy się Balzac'iem Rodin'a, jako rzeczą, która w czasie trwania salonów spory wywoływała, będąc na porządku dziennym, przejdę teraz do prac mających trwalszą wartość artystyczną.

Przedewszystkiém należy się z urzędu wzmianka tym, którzy otrzymali najwyższą nagrodę, t. j. medal honorowy. W malarstwie dostał go Henner za „Żonę Lewity“; w rzeźbie—Gardet za wspaniałe grupy marmurowe dwóch tygrysów wypatrujących zdobycz i „Lwa ze lwicą“. Patricot w dziele rytownictwa dostał takiż medal za dwa drzeworyty podług Benozzo Gozzali'ego i Ingres'a.

Jeśli najwyższą nagrodę dać można za pracę będącą tylko kopią z cudzéj, w odmiennym dziale sztuki wykonaną, a zatém mogącą miéć tylko zalety czysto techniczne, jak to ma miejsce z Patricot'em, to nic téż dziwnego, że i Hennerowi dostał się medal za „Żonę Lewity".

Medal?

Ba! gdyby tylko to, ale na dokładkę Feliks Faure udzielił mu komandorstwo legii honorowéj, oznakę bardzo rzadko dawaną cywilnym. Za cóż tyle honorów?

Artysta cudzoziemiec, nie znający nazwisk matadorów patentowanych sztuki francuskiéj, znalazłszy się po raz pierwszy w salonie paryskim, przeszedłby z pewnością bez dłuższego zatrzymywania się przed „Żoną Lewity". Sądziłby bowiem według tego, co jedyną miarą w sądzeniu być powinno, to jest tylko według wartości obrazu. „Żona Lewity" jest równie dobrą, albo mówiąc dokładniéj, równie przeciętną, jak setki innych obrazów wystawionych w salonie. Lecz kto jest osłuchany z nazwiskami artystów francuskich, ten wie, kto jest Henner, ten wie, że choć Henner od dziesiątków lat maluje wiecznie jedno i to samo, wiecznie te same plecy rudéj kobiety, ulepionéj jak z ciasta, z urąganiem wszelkim prawom anatomii, to jednak Henner uznany jest za wielkość, i słono jest każde jego płócienko opłacone. „*Henner c'est quelqu'un!*"

A więc staje się przed Hennerem i sili na podziwianie. Jeśli „Balzac" Rodin'a jest podziwiany mimo całéj jego potworności, to „Żonę Lewity" również podziwiają mimo zupełnéj przeciętności dzieła. W każdym razie trzeba oddać sprawiedliwość, że ta „Żona" jest o wiele, o wiele lepsza od innych prac tegoż artysty.

Mówią, że Henner doskonale kiedyś malował. Bardzo temu wierzę. Prace z téj epoki są własnością ludzi prywatnych, a więc nie łatwo je zobaczyć. Przeświadczenie to jednak nic a nic mnie lepiéj nie usposabia do prac jego dzisiejszych. Przeciwnie. Jego ogromna sława, jego tytuły i krzyże legii czynią mnie bardziéj wymagającym i wywołują jeszcze silniejszy kontrast z pracami, jakie publiczności ten artysta pokazuje.

Tu nie mogę się powstrzymać od zacytowania opinii, jaką Leconte de Lisle (z młodszych swych czasów) wydał o ludziach piszących krytyki.

„Krytyka, nie licząc nielicznych wyjątków, rekrutuje się z pośród inteligencyi zaschłych, które, jak owoce przed dojrzeniem, opadły ze wszystkich gałęzi sztuki i literatury. Pełna żalów bezpłodnych, pragnień bezsilnych i uraz nieprzejednanych, krytyka taka tłómaczy

publiczności obojętnéj i leniwéj to, czego sama nie rozumie, objaśnia z namaszczeniem to, o czém sama nie ma pojęcia, i otwiéra sanktuaryum swéj pobłażliwości tylko dla bandy banalnéj pseudo-poetów".

Cytata ta zasłania mnie lepiéj, niż cokolwiekbądź, przed posądzeniem o stronność w ocenie dzieł sztuki.

Zawsze i wszędzie odzywały się głosy oburzenia przeciwko tandeckiéj, zawistnéj, ograniczonéj, a często nawet przedajnéj krytyce, która stawiała na piedestale sławy najczęściéj takież banalności, z jakich się sama składała.

Gdybyż ten ogół krytyków był chociaż „owocem przed dojrzeniem opadłym ze wszystkich gałęzi sztuki!" Lecz jakżeż często tacy krytycy nigdy z żadną gałęzią sztuki nie mieli zetknięcia i zrekrutowali się, jako niedojrzałe owoce, z najrozmaitszych gałęzi ludzkich zawodów, nie mających nic ze sztuką wspólnego!

Takim krytykom zawdzięczają swą sławę różne wielkości, pozbawione zupełnie tego, co nazywa się genialnością, co stanowi istotną wartość artysty, a za to posiadające wyrobienie rzemieślnicze i techniczne, ba często nawet i tego nie posiadające. Taka krytyka chwyta w swe objęcia tych, którzy tylko dbają, aby trafić do gustu szerszéj publiczności i następnie eksploatować dla zarobku tę popularność. Taka krytyka gani artystów nieznanych i wybijających się dopiéro, mimo że zdradzają talent, ale skoro raz zdobędą sławę, korzy się przed nimi i zaczyna na gwałt ich chwalić, chociaż ich talent dawno zwietrzał i stali się rzemieślnikami.

Bo nie trzeba sobie wyobrażać, że talent to rzecz trwała. Tak jak najznakomitszy tenor może prędko głos stracić, tak malarz, muzyk lub poeta, po stworzeniu kilku dzieł znakomitych, może tworzyć coraz słabsze.

Cóż to jest talent? Stan pewien ducha, pewien nastrój myśli. Najbanalniejsze codzienne szczegóły życia mają niezmiernie silny wpływ na twórczość artystyczną. Raz ją pobudzają i bardzo przeciętnym gąskom, w których się poeci podkochiwali, trzeba zawdzięczać powstanie znakomitych utworów, innym razem podobne banalne wypadki życia łamią, lub obniżają twórczość.

Cóż dopiéro mówić o tych, którzy nigdy twórczości wybitnéj nie posiadali, którzy dzięki naśladownictwu, zręczności technicznéj i umiejętności trafienia do smaku ogółowi zdobyli się na kilka dzieł lepszych, a następnie zasnęli na laurach, powtarzając ciągle w kółko to samo, z tą tylko różnicą, że najczęściéj coraz gorzéj!

Do takiej kategoryi zaliczyłbym Hennera, członka instytutu,

komandora legii honorowéj, posiadacza medalu honorowego, a może jeszcze i innych odznaczeń, które w nieświadomości swéj pomijam.

Niezmiernie łatwy mógłbym tryumf święcić, gdybym na wzór krytyków, o których Leconte de Lisle wspomina, zechciał dosiąść ich ulubionego konika i zaczął obraz krytykować według nadanego mu tytułu.

Nie będąc w stanie, czy w odpowiednim humorze, żeby ocenić wartość samego dzieła, panowie ci bawią się w porównania, będące na wysokości ich inteligencyi.

Dla przykładu jednak spróbujemy téj metody. Zaczynam!

Oficyalny tytuł obrazu Hennera brzmi „*Le Lévite d'Ephraïm et sa femme morte*". W rzeczywistości zaś obraz przedstawia blat drewniany stołu, na którym leży w profilu nagi trup kobiéty, a nad nim pochylony mężczyzna. Gdyby on się położył, a ona wstała, możnaby było dać tytuł: „Święta niewiasta nad zwłokami Chrystusa".

Proszę się nie śmiać! Taki sposób krytykowania obrazów miałem sposobność nieraz czytywać i to pisany przez artystów.

Tego rodzaju krytyk w dalszym ciągu by napisał: nic nam zupełnie nie dowodzi, że ma to być koniecznie lewita i jego żona. Dla czego żona? Dla czego nie ciotka albo córka?

Proszę się nie śmiać, bo zupełnie taką samą krytykę téż czytałem.

Mybyśmy powiedzieli, ciągnąłby daléj krytyk scharakteryzowany przez de Lisle'a, że obraz ten zupełnie nie wyobraża lewity i jego żony, ale prędzéj można przypuścić, że to jest trup na stole sekcyjnym, nad którym się pochylił jakiś anatom średniowieczny przed zabraniem się do krajania.

Na tém by zakończył swe sprawozdanie ów krytyk, nawet nie dotknąwszy najważniejszéj kwestyi w obrazie, to jest jego strony malarskiéj, a najwyżéj jeśli by wyraził swój gust osobisty, że mu się—dajmy na to—tło wydaje za czarne, draperya lewity za czerwona lub za niebieska i że wolałby, żeby autor inaczéj konturem oznaczał swe figury, np. jak artysta X, który się krytykowi więcéj pod tym względem podoba.

Tego rodzaju krytyki nie myślę się dopuszczać nad obrazem Hennera, czy jakimkolwiekbądź innym.

Przedewszystkiém krytyk nie na to jest, żeby chwalił lub ganił jakieś dzieło sztuki, ale żeby je z r o z u m i a ł, a zrozumiawszy intencye autora, żeby następnie z kolei ułatwił ich zrozumienie ogółowi, do którego przemawia. Krytyk ganić może jedynie obłudę, płytkość, dążenia spekulacyjne, jakiemi kierował się malarz przy tworzeniu obrazu. Po stwierdzeniu jednak szczerości intencyi pozostaje

krytykowi tylko wniknąć w te intencye i zrozumiéć je. Z tego punktu wychodząc, pewniebym nie wspomniał jednego słowa o obrazie Hennera, bo w takim razie, chcąc być sprawiedliwym, trzebaby było tak samo się zająć i tysiącem innych dzieł wystawionych, gdyby nie to odznaczenie wyjątkowe, gdyby nie ten medal honorowy, który w oczach ogółu robi z Hennera mistrza nad mistrzami, a w oczach znającego sprawy zakulisowe tylko wskazuje, że koledzy i protegowani uznali, że tego roku na Hennera przyszła koléj. Kto głosował za Hennerem, ten wie, że na przyszły rok lub późniéj Henner będzie głosował za nim. a młodszym ułatwi zdobycie niższych medali. Ręka rękę myje, wybrany wyborców wspiéra.

Każdy człowiek posiada w sobie trzy „ja", trzy charaktery. Pierwszém „ja" jest ten typ, za jaki ów człowiek się uważa wobec siebie samego. Drugiém „ja" jest ten typ, za jaki ów człowiek pragnie uchodzić wobec innych. Wreszcie trzeciém „ja" jest to, czém ów człowiek jest rzeczywiście.

Czyż artysta o ciasnym umyśle i pozbawiony wszelkich „szerszych, wyższych i głębszych" popędów zechce się otwarcie do swéj płytkości przyznać? Czy zechce uderzyć się w piersi i powiedziéć krytykowi, że maluje wszystkie swe obrazy tak a nie inaczéj nie z popędu wewnętrznego, ale że wie, iż to lepiéj popłaca, że obierane przez niego tematy mało go obchodzą, ale trzyma się ich, bo są modne i pokupne?

Tego rodzaju artysta będzie się otaczał nimbem posłannictwa, a przy wymawianiu słowa „sztuka" będzie wznosił oczy ku niebu.

Krytyk więc, tak jak lekarz, nie może się kontentować wyznaniem pacyenta, ale musi go badać samodzielnie.

W ten sposób przystępując do „Żony Lewity" Hennera, trzeba sobie postawić pytanie, co było głównym celem artysty w malowaniu tego obrazu. Tendencya? Nie. Popis swéj techniki? Tak. W takim razie tytuł żadnéj tu roli nie gra. Henner nie cierpiał razem z lewitą nad zwłokami jego żony, nie przejmował się ich losem i nie zabrał się do malowania obrazu, aby wyrazić to, co czuł za siebie i za zrozpaczonego lewitę. Wówczas powstałby obraz ideowy, który—za pomocą środków malarskich—wyraziłby cały ten dramat tak, jak muzyk za pomocą środków mu właściwych mógłby oddać rozmaite stany duszy, przez jakie lewita prawdopodobnie przechodził. Wówczas tytuł z obrazem stanowiłby nierozdzielną całość.

W obrazie Hennera téj całości niema. Autor szukał na zimno pretekstu do namalowania bladego ciała kobiéty na tle głębokiém. Ot i dał mu taki tytuł, jak mógłby dać dziesiątki innych równie pasujących. Rzecz to bez znaczenia.

Przypuśćmy teraz inny wypadek. Artysta jakiś, silnie przejąwszy się historyą lewity, nie umiał jednocześnie odnaleźć właściwych środków przedstawienia jasno téj tragedyi, środków czysto—malarskich. Wówczas, rzecz prosta, usiłowania jego, choć szczere, byłyby chybione, bo obraz bez tytułu i długiego objaśnienia stałby się nietylko niezrozumiałym, ale z punktu malarskiego nie interesującym. Są krytycy, którzy dla takiego rodzaju obrazów wynaleźli oddzielny dział w sztuce i nazwali go działem obrazów o zakroju literackim, tłómacząc się tém, że obraz taki jest jakby ilustracyą do dzieła literackiego i oddzielnie wzięty jest niezrozumiałym.

Podział taki nie ma żadnéj racyi bytu. W klasyfikacyi jakiéjś gałęzi wiedzy lub sztuki ma się tylko na uwadze najbardziéj charakterystyczne, najbardziéj typowe jéj przejawy, to jest zawsze tylko takie, które posiadają najwięcéj zalet typowych temu działowi wiedzy lub sztuki właściwych. Wszelkie inne nie podlegają klasyfikacyi i są po prostu okazami nieudanemi i chybionemi.

Obraz pojęty po malarsku powinien się sam przez się tłómaczyć. Wówczas jest dobrym. Gdy myśl artysty może być zrozumianą dopiéro po długich objaśnieniach, wówczas najlepszym jest to dowodem, że obraz jest po prostu nieudany

Są różne rasy ludzkie, ale niema rasy niewidomych, kulawych lub garbatych. Są to istoty nie stanowiące typu. Nie powiemy przecież, że jest gatunek ludzi o pięciu, a inny o czterech zmysłach, mimo że przedstawicieli czterozmysłowych ludzkość posiada.

Tak samo żadnéj podstawy nie ma utworzenie działu obrazów literackich.

Tylko, że w rzeczywistości nie wszystkie obrazy ochrzczone przez krytyków, jako „literackie", są niemi w rzeczywistości. Ten krytyk, który czerpie swe natchnienie z kartki zawieszonéj lub z katalogu, dochodzi naturalnie do absurdów. Pomyłka woźnego w rozwieszeniu kartek wystarczyłaby w takim razie do odsądzenia artysty od talentu i do wpakowania obrazu jego na *index* „literackich". Tego rodzaju krytyka wybornie by mogła się znęcać nad Wojdygi biustem „Dante", wystawionym dwa lata temu w salonie paryskim, gdzie omyłka katalogowa ze słowa „Dante" zrobiła „*Danse*", mimo że poważne oblicze biustu zupełnie do tańca nie usposabiało.

Trzeba umiéć patrzyć na sam obraz i zdać sobie sprawę, czy posiada warunki malarskie, czy może zająć z punktu malarskiego, bez względu, czy ma ten lub inny tytuł. Jeśli zaś tytuł, według krytyka, niezupełnie pasuje, można najwyżéj zarzucić autorowi, że

go źle wybrał. Tylko w dziele historyczném tytuł odgrywa ważniejszą rolę, bo jest on tematem jasno przez historyę określonym, zgodnie z którym artysta musi stworzyć obraz.

Z tego powodu, im tytuł jest bardziéj ogólnikowym tém jest lepszym, bo mnóstwo kwestyi leży po za granicami wyrażenia za pomocą środków malarskich. Mania tytułów jest jednak zwyczajem silnie popartym wymaganiami szarego tłumu, który bez tytułów nie potrafi patrzyć na obrazy. Pejzaż przedstawiający łąkę i nie posiadający kartki ze słowem „Łąka" budzi niepokój w widzu, a obraz pozostawia go obojętnym, póki nareszcie się nie dowie, że ta łąka nosi tytuł „Łąka".

Tak więc zacząwszy od przeczytania tytułu obrazu Hennera, trzeba przyjść do przekonania, że tytuł był tylko pretekstem, a nie wyobrażeniem idei, jaka pchała artystę do namalowania téj sceny, bo obraz nie ma za cel główny wyrażenia saméj boleści i rozpaczy jaką z pewnością lewita odczuwał.

A więc zapomnijmy o tytule.

Skoro wiemy, że artyście nie chodziło o namalowanie obrazu na dany temat, tytuł nic nas nie obchodzi. Ale i czysto malarskie strony kompozycyi zostały pominięte. Główna i prawie jedyna treść obrazu, ów nagi trup nie jest wcale trupem. Henner kazał się modelowi położyć sztywno wyciągniętym i namalował go najspokojniéj w pozie takiéj, w jakiéj klowni w cyrku udają zabitych. Sztywny jak deska, podtrzymywany z wysiłkiem przez drugiego błazna taki „zabity" pada, przewraca, się, nie zmieniając zupełnie pozy. Zupełnie jakby zmarłz na sopel lodu. To jest parodya trupa i taką parodyę Henner nam namalował. Tymczasem w rzeczywistości trup, mimo pewnéj sztywności stawów, ma właśnie, jako cechę charakterystyczną, przelewanie się bezwładnych członków w kierunku ciążenia. Głowa opada, ręce wyginają się bezwładnie i wszystko przelewa się, jak ciasto. I Henner, który zawsze maluje żywe postacie jak z ciasta, tu właśnie wziął na kieł i zrobił sztywnego trupa z cyrku. Lewita jest postacią bez wyrazu, zupełnie banalną i zbyteczną w obrazie i chyba po to tylko namalowaną, żeby zwyczajne studyum nagiego ciała miało pozory kompozycyi. Sprowadzając więc rzeczy do właściwych rozmiarów, jest to studyum nagiéj kobiety w najbanalniejszéj i całkiem niemalowniczéj pozie, namalowane w tym celu, żeby popisać się techniką w szarości półtonów i miękkości ciała, może cokolwiek kosztem właściwéj mu jędrności, wreszcie żeby powtórzyć po raz tysiączny odwieczną śpiéwkę Hennera, to jest umieścić na bardzo ciemném tle postać nagą, stanowiącą jedną plamę.

A więc wiadomość bardzo pożyteczna dla artystów ubiegających się o medale, że w salonie paryskim z pól Elizejskich wydają się medale honorowe, to jest najwyższe odznaczenia, oraz ordery komandora legii honorowéj za studya akademickie przefabrykowane na obrazy przez dodanie drugiéj figury, za studya, które przy pewnych dużych zaletach techniki mają téż pewne wady i to nie najpodrzędniejsze. Muszę jednak zrobić maleńki komentarz *ad usum* tych artystów, który radość ich i nadzieje zmniejszy, a mianowicie, żeby za takie studyum dostać medal honorowy, na to trzeba jeszcze jednéj kwalifikacyi—trzeba być Hennerem.

Pospolitém jest twierdzenie, że medal honorowy daje się nie za dany obraz, ale za całą karyerę artysty. W takim razie zaznaczę, że tegoroczny obraz jest najlepszym z tych prac Hennera, jakie widziałem, jeśli on więc sam na medal honorowy nie zasługuje, to inne prace témbardziéj nie mogą być go warte.

Jako absolutne przeciwstawienie obrazu Hennera w pojmowaniu kompozycyi, może wybornie służyć obraz Szwajcara Burnanda Eugenjusza, który wisi w salonie konkurencyjnym. Obraz podobnych jest rozmiarów, co „Żona Lewity", nosi tytuł: „Uczniowie Piotr i Jan biegnący do Grobu w dzień Zmartwychwstania".

Jak u Hennera temat był prostym pretekstem, tak tu jest celem. Obraz pokazuje nam tylko figury do pasa na tle jakiegoś rozległego i pustego pejzażu. To tło, tak proste a przesycone złotemi promieniami poranku, jest już samo przez się arcydziełem. Nic w niém niema oprócz téj złotawości świetlanéj, roztapiającéj w sobie wszystko. Na tle tém dwie postacie młodego i starego z gołemi głowami dążą z niepowstrzymanym pośpiechem. Ten pęd, mimo że są to tylko pół-figury, znakomicie jest oddany, ale na tych korpusach artysta nie osadził głów banalnych i bezmyślnych *à la* Henner, *à la* Bougnereau „*à la*" tylko innych „mistrzów". Te głowy dominują doskonałością nad resztą obrazu i tak są pełne wyrazu, że przykuwają widza, który musi zapomnić i o wybornym ruchu figur i wspaniałym tonie całego obrazu. Tu leży największy tryumf artysty. Akcesorya nie zabijają głównego celu obrazu, ale gdy wielu artystów pragnie ten rezultat osiągnąć przez zaniedbywanie drugorzędnych szczegółów obrazu, tu wszystko jest wyborne, a jednak po nad tém dominują jeszcze te dwie głowy, pełne przejęcia wielką nowiną zniknięcia zwłok Mistrza. Ci dwaj uczniowie biegną, by własnemi oczyma to sprawdzić, i w wyrazach ich niema żadnéj nuty fałszywéj lub banalnéj. Oni jeszcze nie wiedzą, czy się cieszyć czy rozpaczać, oni są tylko p r z e j ę c i do głębi samym faktem. Wzruszenie Jana zdaje się wyrażać głównie wielki lament.

Dopadnie do krawędzi pustego grobu i ryknie wielkim płaczem konwulsyjnym. Piotra zaś oczy, utkwione w jakiś punkt przed sobą, wybornie wskazują, że grób już jest niedaleko, że biegnie w kierunku, w którym pewnie widzi przy grobie gromadkę ludzi, którzy go wyprzedzili. Wszystko to znajduje się po za granicami obrazu, ale oczy Piotra doskonale nam to wskazują.

Oto jest obraz, którego treść była głównym celem artysty. Wobec tego obrazu nie możemy pozostać obojętnymi. Biegniemy w myśli razem z tymi dwoma przywiązanemi uczniami, dzielimy się ich uczuciem i przejmujemy się, jak oni. Twarze ich żyją i mówią wyraźnie, jaką myślą są owładnięci. To nie strach, to nie namiętność, ani gniéw się maluje, to nieprzeparta wola, która ich pcha naprzód do tego miejsca, które nadewszystko jest im drogie. Patrząc na te postacie, jest się pewnym, że ludzie ci rzucą się wpław przez wodę, przedrą przez płomienie, a muszą dobiedz tam, dokąd ich serce i dusza się rwą.

Jakżeż nędznie wygląda przy tych postaciach pojęcie przez Hennera głowy lewity, głowy niby rozpaczającego, który dla wygody podparł sobie brodę pięścią! A ta nagość nieusprawiedliwiona trupa, a ten stół z prosektoryum, a to tło gęste, atramentowe? Wszystko to gmatwa tylko kompozycyę, gdy w „Uczniach" Burnard'a niema jednego dotknięcia pędzla, któreby nie dążyło do pełniejszego wypowiedzenia myśli artysty.

To najzupełniéj nie przeszkadzało Burnand'owi traktować po mistrzowsku stronę czysto techniczną i malarską obrazu. Rysunek, ton, plastyka—są znakomite. Ale trzeba pamiętać, że Burnard jest artystą-malarzem i człowiekiem umiejącym czuć i myśléć, a Henner jest biegłym malarzem—rzemieślnikiem, który, jak nakręcona pozytywka, wiecznie powtarza to, czego mu się udało nauczyć i co znalazło powodzenie.

Zatrzymałem się może zbyt długo nad temi dwoma obrazami, ale sądzę, że cel sprawozdawcy o obrazach, których zobaczyć czytelnicy nie mogą, nie leży w wyliczaniu szeregu tytułów z lakonicznemi dodatkami pochwały lub nagany, ale raczéj w posłużeniu się choćby tylko kilkoma, ale takiemi, które charakteryzują najlepiéj całe szeregi innych i są przedstawicielami wyraźnych dróg i kierunków w sztuce.

Wbrew statutom, pozwalającym wystawić tylko dwie prace tego samego artysty, salon z pól Elizejskich dał tego roku Cormon'owi oddzielną wielką salę i zrobił bardzo dobrze, szkoda jednak, że to może być tylko wyjątkiem i w dodatku zabawnie się maskującym.

Aby wilk był syty i owca cała, aby bez sensu nie rozerwać całego cyklu prac Cormon'a, a jednocześnie nie pogwałcić statutów, opatrzono te obrazy jednym ogólnym numerem. Według regulaminu i katalogu, Cormon wystawił tylko jedno dzieło sztuki, w rzeczywistości jednak to jedno dzieło składa się z 96-ciu pojedyńczych numerów. Ogólny tytuł dano temu „Dekoracya sali muzealnéj". Jest tu olbrzymi plafon, przedstawiający rasy ludzkie dążące z cywilizacyą. Następnie idzie dziesięć dużych obrazów dekoracyjnych, przedstawiających główne epoki rozwoju ludzkości pierwotnéj i wogóle życia na ziemi. Epoki przedpotopowe, epoka kamienia gładzonego, bronzu, żelaza, nomadowie, osady nawodne i t. p. Resztę numerów wypełniają szkice i rysunki przygotowawcze do tych obrazów, a wszystko stanowi wyborną całość, dobrze obmyśloną i skomponowaną. Tylko wystawiając wszystko razem, a jednocześnie nie zmięszane z pracami innych artystów, można było otrzymać należyte wrażenie i ocenić artystę. Lecz zasada ta jedynie racyonalna, która powinnaby być zasadą w wystawianiu prac wszystkich artystów, jest tu tylko wyjątkiem jeszcze jaskrawiéj zaznaczającym ten straszny zgiełk barw, ram i obrazów nawieszanych w trzy rzędy, który się zaraz w sąsiedniéj sali rozpoczyna i ciągnie bez końca.

Salon z pól Elizejskich pod tym względem jest istną wieżą Babel. Gdybyż ta wieża pozwalała chociaż na zgromadzenie wszystkich kierunków i dążeń, jakie sztukę nurtują! Ale gdzież tam! Kierunek w obrazach jest względnie jednolity, to jest taki, jaki się podobało sędziom wpuścić do salonu, tylko następnie postarano się wszystko tak pomieszać, że widz zupełnie zostaje oszołomiony tą szachownicą pejzażów i portretów, obrazów jasnych i czarnych, obrazów wielkich i małych, ram błyszczących, jak samowar, i skromnych dębowych.

Wszystko to się znajduje w każdéj sali i na każdéj oddzielnéj ścianie. I ci Francuzi mają pretensyę do monopolu dobrego smaku, gustu i poczucia estetycznego? Gdzie, jak gdzie, ale w urządzeniu salonu z pól Elizejskich tego się nie doszukamy!

Ton obrazów złocisto-cytrynowy stanowczo wchodzi w modę. Nie mówię tego przez jakąś złośliwość lub przyganę, lecz wyłącznie zaznaczam fakt, że prostym zbiegiem okoliczności mogliśmy roku przeszłego zachwycać się „Wieczerzą Pańską" Dagnan-Bouveret'a, skąpaną w tém świetle, a tego roku mamy już kilka obrazów, i to bardzo dobrych, w podobnym tonie pojętych. W przedstawieniu scen mistycznych, sposób ten jest zupełnie konsekwentny, a z malarskiego punktu widzenia nadający się do przepięknych efektów.

Dawniéj przedstawiano świętość danéj osoby za pomocą aureoli lub krążka świetlanego naokoło głowy. Równie słusznie a nierównie efektowniéj można uczynić całą postać, jako źródło światła. Nadziemskość pochodzenia ze świetlanością, jaką ona roztacza, idzie zupełnie w zgodzie i plastycznie dobrze tłómaczy myśl poetycką.

Już w obrazie Burnand'a widzieliśmy dążenie w tym kierunku, lecz tu postacie uczniów są niczém wobec potęgi samego faktu Zmartwychwstania, a więc nie one same, ale całe otoczenie, cały pejzaż jest przesycony tym blaskiem promiennym, jaki dusze wszystkich wierzących musiał przepełniać.

Nastrój więc malarski obrazu, zresztą zupełnie prawdziwy, harmonizuje się z nastrojem duchowym tych dwóch uczniów, a sam fakt mistyczny Zmartwychwstania znajduje się po za ramami obrazu.

Inaczéj się przedstawia „Zwiastowanie" amerykanina Tannera. Wnętrze ubogiéj izdebki, z tapczanem w rogu, z którego się zerwała i przysiadła na nim postać młoda, wątła, ale w któréj cechy fizyczne są tak usunięte na plan drugi, że patrząc na tę figurę, otuloną w fałdzistą, długą szatę, widz nie zdaje sobie w pierwszéj chwili sprawy, czy to kobiéta, czy jakaś postać bez płci określonéj.

Oczy jéj wpatrzone są w punkt w przestrzeni z niepewnością, bojaźnią i wewnętrzném skupieniem. Tym punktem w przestrzeni jest źródło nieokréślone złoto-cytrynowego światła mistycznego, które izdebkę całą przepełnia. Po większém natężeniu światła, widz może zaledwie dopatrzyć się jakby smugi pionowéj, świetlanéj, zawieszonéj w powietrzu.

Przywykliśmy wyobrażać sobie „Zwiastowanie", jako spotkanie pokornéj niewiasty i tęgiego młodzieńca z bujną czupryną, bosemi nogami i potężnemi skrzydłami, które najczęściéj bezczynnie wisząc u ramion, niczém nie usprawiedliwiały utrzymywania się w powietrzu tego zucha z muskułami gimnastyka, niczém się zresztą nie różniącego od każdego śmiertelnika, stworzonego z krwi i kości, który podlega prawom fizycznym i nie może przebierać nogami w powietrzu. Ani przypięte do sukni nieruchome, ciężkie skrzydła, ani trzymana w ręku wielka łodyga lilii nic a nic nie mogły dodać mu lekkości i nie ułatwiały zawiśnięcia w powietrzu.

Mimo tego mnóstwa nagromadzonych absurdów, kompozycya taka jest bardzo rozpowszechnioną, bo wybornie trafia do przekonania mas i zadawalnia ich gusta właśnie dla tego, że je uwalnia od myślenia, od odczuwania myśli artysty i od łączenia się z nią. Święta niewiasta z kółkiem nad głową—jest, archanioł Gabryel—jest, który nosi cechy swego posłannictwa jedynie przez to, że jest namalo-

wany o łokieć nad ziemią, promień, po którym spuścił się z nieba— jest, lilia, jako symbol czystości —też jest, a zatém wszystko, co do zrozumienia fabuły jest potrzebne, malarz zgromadził na swym obrazie. Lecz przedstawić ten moment biblijny w tak mistyczny i bezcielesny sposób, jak tego duch tekstu, a nie same wyrazy wymagają, na to trzeba być artystą, a nie malarzem szablonowym, i na to trzeba miéć widzów, zdolnych z nim razem myśléć i go rozumiéć. Obraz taki z pewnością lepiéj uplastycznia myśl przewodnią, ale nie łatwo udałoby mu się wyprzéć z ołtarza fruwającego anioła z lilią, który ma po za sobą nietylko tradycyę przez czas uświęconą, ale przedewszystkiém, że tak powiem, freblowską formę przedstawienia rzeczy, która trafia do każdego umysłu. To też Tanner, malując swój obraz, z pewnością nie miał pretensyi robić konkurencyi malarzom kościelnym. Artyści wszystkich wieków chętnie czerpali tematy z Biblii, któréj tekst, znany ogółowi, ułatwiał artyście jasne wyrażenie swéj myśli, ubranéj w artystyczną formę. Biblia jest niewyczerpaném źródłem tematów dla przedstawienia wszelkich uczuć i wzruszeń ludzkich.

Wracając do obrazu Tannera, ta świetlaność mistyczna, przesycająca wszystko naokół, przenikająca samą postać Maryi nikłą, maluczką i mizerną wobec potęgi duchowéj bóstwa, przeprowadzona jest znakomicie tak pod względem obmyślenia, jak i wykonania.

Że nie zawsze „żółtość" jest szczęśliwym pomysłem, dodającym wartości obrazowi, może posłużyć za przykład obraz anglika Bacon'a: „Wieczórz martwychwstania". Do izby wchodzi Chrystus i zaraz robi się pomarańczowo. Uczniowie, zdziwieni i przerażeni, padają na kolana. Obraz wogóle bardzo dobry, ale właśnie ten sos pomarańczowy, który w innych kompozycyach jest na miejscu, tu niezręcznie obmyślony i upozorowany, prędzéj szkodzi, niż pomaga.

Obraz Detaille Edwarda przyciąga zarówno dzięki nazwisku, jak i treści. Jest to duże płótno, zamówione przez rząd, a przedstawiające powrót Cesarstwa rosyjskich z prezydentem Faure'em po rewii na polach Châlons. Wiadomo, jak ten dzień był ważny w zbliżeniu Francyi i Rosyi, nic więc dziwnego, że obraz musi interesować Francuzów już przez sam tytuł.

Nigdy nie byłem zwolennikiem wielkich oficyalnych obrazów, obstalowywanych przez rządy z różnych okazyi uroczystych. Najczęściéj są to prace o niewielkiéj wartości artystycznéj. Są to wyroby pędzla, ale nie dzieła sztuki. Tu jednak muszę zrobić wyjątek dla Detaille'a.

Dowód to najlepszy, że artysta utalentowany nawet z tak trudnego zadania wywiązać się potrafi. Kiedyindziéj już obszernie wytłómaczyłem, dlaczego obrazy przedstawiające wielkie uroczystości oficyalne współczesne muszą być zbiorem oderwanych portretów, nie wiążących się w artystyczną całość. Sztywność oficyalna takich momentów pozwala artyście tylko na wymalowanie szeregów manekinów, pokrytych bogatemi uniformami, wykonanemi starannie w pracowni, do których autor dokleił głowy, nierównie gorzéj wykonane, bo w większéj części wypadków nie mogły mu do nich dane osobistości pozować. Oddalenie historyczne pozwala artyście w scenach z wieków ubiegłych na daleko większą swobodę i fantazyę w kompozycyi, co przy przedstawianiu faktów bieżących jest niemożliwe. Oto główna przyczyna, że te wielkie obrazy są małéj wartości artystycznéj, mimo całéj pracy w nie włożonéj. I Detaille, jeśli się wywiązał lepiéj, to tylko jedynie dla tego, że się, jak to mówią, wykręcił sianem.

Obraz miał przedstawiać Cesarza, Cesarzową i prezydenta, a tymczasem przedstawia pustą drogę z natłoczonemi wzdłuż niéj zastępami kirasyerów i dragonów, a na dziesiątym planie ukazuje się powóz. Ażeby zaprząg, powożony z konia przez artylerzystów, nie zasłonił głównych osób, artysta przedstawił chwilę, kiedy powóz robi łuk na zakręcie drogi.

Efekt obrazu jest rzeczywiście duży i jest on skomponowany artystycznie. Na gorącém tle zachodniego, burzliwego nieba, gdzie chmury kłębią się w ostatnich złotych promieniach słońca, majaczeje potężna, ciężka ciemna plama, przerywana ognistemi światełkami, to kirasyerzy w zbitych szeregach, na karych koniach, w ciemnych mundurach, stanowią masę jędrną i groźną, z połyskami pancerzy i kasków wojowniczo ozdobionych czarnemi ogonami końskiemi. Najwyżéj, prawie tuż nad głowami ukoronowanych osób, rysują się gwałtownie na tle nieba sylwety oficerów i chorążego z pochylonym sztandarem. Te sylwetki, ładne i bardzo artystycznie pojęte, same przez się muszą przez kontrast zacierać toczący się poniżéj powóz. Po drugiéj stronie drogi również, począwszy od pierwszego planu, ciągną się w głąb niezliczone szeregi dragonów, także w kaskach o końskich ogonach, téż w mundurach ciemnych i na karych koniach. Dalsze plany obrazu także zapełnione są tłumami kawaleryi. Jednem słowem obraz robi silne wrażenie militarne. Czuje się te zbrojne tłumy, te groźne, jednostajnie ciemne sylwety, jakby ze spiżu, na groźném gorejącém tle nieba.

Element wojskowy wyparł z obrazu wszystko; ani śladu jakiego pejzażu, jakiegoś punktu rozweselającego oko, zieleni, dachów wioski, lub wieżyczki kościołka. Nic tego tu niema, oprócz trzech żywiołów: nieba z przewalającemi się krwawo kłębami chmur, ziemi stratowanéj i pooranéj kołami armat, i tłumów zbrojnych, opancerzonych, bezimiennych, stojących groźnie choć spokojnie. Ta milcząca energia i siła, zakuta nieruchomie, imponuje bardziéj, niż najgwałtowniejsze harce utarczki. Jeden tylko przedmiot jest w ruchu to eleganckie lando prezydenta, dążące dobrym truchtem. I tu artysta wydobył efekt kontrastu. Lecz cóż! obraz wprawdzie jest dziełem sztuki, dziełem talentu, ale właściwie nie jest malowany na temat. W obrazie, tak jak w powieści i dramacie, jeśli usuniemy głównych bohaterów, to obraz runąć musi i przestanie miéć racyę bytu. Tu można być o to spokojnym. Główne postacie, odsunięte na plan dziesiąty, mogą być zamieniane lub usuwane dowoli, a obraz obrazem pozostanie, bo jego tytuł i temat właściwy jest inny, a mianowicie: „Tłumy zbrojne“.

Rochegrosse'a wielki obraz dekoracyjny, przeznaczony do biblioteki nowéj Sorbony, ma za temat również pochód, przesuwający się śród tłumów, lecz jeśli w pierwszym te groźne choć spokojne tłumy zdawały się być gotowe na pierwsze skinienie zatrąbić w bojowe surmy, tu wręcz przeciwnie, walczące już i wrogie elementy cichną na widok pochodu. Obraz przedstawia: „Śpiew Muz rozbudzający ducha ludzkości“.

Lotne postacie muz, w niezamąconym spokoju sunące lekko w powietrzu i śpiewające pieśni miłości braterskiéj i pokoju, zadziwiają i porywają tłumy barbarzyńskie. Wypada siekiera z ręki zdziwionego i zapatrzonego w zjawisko mordercy, młodzież rzuca się w tę stronę z entuzyazmem, starcy zobojętnieli już na wszystko zwracają jednak zdziwione oczy, umiérający nawet wyciąga doń swe ramiona z żalem, że już nie będzie uczestnikiem téj przyszłéj szczęśliwości na ziemi. Oto jest treść obrazu. O wykonaniu nie potrzebuję wspominać wobec sławy autora. Jest ono na wysokości wszystkich innych dzieł jego.

Roybet z właściwą sobie brawurą techniki namalował „Astronoma“. Gdybym nie przeczytał tytułu, byłbym sądził, że to Kolumb, przedstawiający swe projekta grandom Hiszpanii. Tytuł jednak ten nie byłby pochlebném porównaniem dla kolegów autora, którzy mu zechcieli do tych postaci pozować. W togach więc średniowiecznych z łańcuchami i gwiazdami na piersiach widzimy tu kolejno obojętną łysą głowę Jean-Paul Laurens'a, mocno pospolitą

twarz Jules Lefebvre'a, który zdaje się silić na zrozumienie tego, co słyszy, wreszcie wszystkie te 8 czy 10 głów należą do współczesnych „wielkich Francuzów“ ze świata artystycznego. I śród tych głów spasionych, bezmyślnych lub myślących o czém inném, zmizerowana twarz fanatyka nauki, okolona potarganemi bezładnie włosami, pochyla się nad wielkim globusem, a chuda ręka wskazuje na jakiś punkt, pragnąc przekonać ten tłum „dobrze odżywianych“, że jego przypuszczenia mają przyszłość, że nie są mrzonką... ale czy ich przekona? Rezygnacya i zaniedbanie całéj figury każą przypuszczać raczéj zwątpienie. Mówi, bo to są jego przekonania, ale nie mówi jak agitator, bo z góry wié, że jego wywody będą grochem o ścianę. Czuje, że to nic nie obchodzi Jen-Paul Laurens'a, że Lefebvre już z góry szykuje się na zaprzeczenie i podanie własnych wywodów, że inni gwarzą tymczasem o swoich sprawach, a inni przyglądają się wróblom na dachu.

Niech kto co chce mówi, ale Roybet był złośliwym malując ten obraz. Pod względem technicznym i kompozycyi „Astronom“ jest wybornym.

Jeśli tu zrobię wzmiankę o dużéj i plastycznie, ale na zimno po akademicku namalowanéj przez Aubert'a „Wieczerzy Pańskiéj“, to tylko dlatego, że podpisał się półłokciowemi literami. Wzór to dla tych, co chcą być „widoczni“ i wsławić swe imię na równi z ogłoszeniami na murach „*Petit Journal*'a“. W każdym razie Aubert nie może wytrzymać pod tym względem rekordu z Carolus-Duran'em, którego dowcipny ilustrator Wilette przedstawił kiedyś w karykaturze, podpisującego swój obraz. Ponieważ na samym obrazie było mu miejsca za mało, więc rysunek przedstawia naszego mistrza dopisującego resztę nazwiska na specyalném przysztukowaniu. Kiedy mowa o Carolus'ie, to dodam, że dziś wielki i „wytworny“ mistrz został po śmierci Puvis de Chavannes'a obrany prezesem salonu z pola Marsowego. Po myślicielu i filozofie zwykły „pozer“ buduarowy. Tak zawsze się dziwnie plecie na tym bożym świecie.

Jeśli mówimy o śmiesznostkach, to nie zawadzi wspomnieć tu o Boetzel'u, który choć jest *hors concours* (cóż to zresztą przeszkadza?), wystawił dwa bohomazy, a właściwiéj prezydentomazy węglowe. Taki Feliks Faure jest gorzéj przez Boetzel'a wykonany, niż portrety z fotografii, jakich za parę rubli podejmują się nasi warszawscy fabrykanci ramek bagetowych. Ale mimo to jest w salonie, bo ma prawo do kartki na ramie „H. C.“.

Przechodząc znów do salonu z pola Marsowego, trzebaby bardzo dużo wzmiankować obrazów średniéj wielkości o założeniu bez-

pretensyonalném, ale o wybornéj technice. Oko odpoczywa po chaosie sąsiedniego salonu, przebiegając szeregi pejzażów oddychających prawdą, nagości plastycznych, portretów pełnych życia, które wiszą w zgodzie nie kłócąc się z sąsiadami. Widz czując, że nie rozgniatają się wzajemnie te ramy, sam téż lżéj zaczyna oddychać i spokojnie przygląda się tym szeregom płócien.

Znakomity jak zawsze w realizmie Friant Emil nadesłał duży obraz, p. t. „Cierpienie“. Grupa ludzi gromadzi się nad otwartą jeszcze mogiłą. Kilka kobiét w żałobie rozpacza, mężczyźni zaś cofnęli się dyskretnie. Ogromna prawda wyrazów, realizm łudzący natury czyni z tego obrazu żywą kartę z życia rodziny francuskiéj.

Salony paryskie, a szczególniéj ten z pola Marsowego, corocznie wystawiają znaczną liczbę obrazów, artystów ze Stanów Zjednoczonych. Trudno doprawdy zrozumiéć, skąd się u nas tak uporczywie wałęsa to pojęcie, że amerykanie nie mają swéj sztuki? Tymczasem przeciwnie, posiadają oni artystów wprost znakomitych, którzy w Paryżu tworzą bardzo poważną kolonię. Trudno mi wiele nazwisk wyliczać. Biorę prawie że pierwszego z brzegu, Hertera Alberta. Jego „Półzmrok“ jest pracą prawdziwie doskonałą, a jednak artysta ani odznaczeń, ani tytułów nie posiada. Jakieś *mention honorable* w salonie na polach Elizejskich, dane w r. 1890 ot i wszystko. Odznaczenie takie Francuzi z koteryi protegowanych otrzymują za pierwszy lepszy obrazek.

Herter przedstawił trzymającą się w objęciach młodą wytworną parę po powrocie zapewne z balu lub od ślubu. Temat to może często powtarzany, lecz cała zasługa artysty leży tu w wielkiéj subtelności pojęcia i oddania. Pocałunek mężczyzny, melancholijne przytulenie się kobiéty wybornie wyrażają cały proces psychologiczny tych dwojga subtelnych istot otoczonych komfortem. Efekt światła lampy ślizga się po białéj sukni, po czarnym fraku i po zastawie porcelanowéj, tworząc wspaniałą harmonię barw dyskretnych.

Wspomnę tu jeszcze John Aleksandra, również amerykanina, którego portrety mają niezmierne powodzenie. Artysta ma sobie właściwy sposób oryginalnego pozowania niezmiernie zręczny, a zupełnie zrywający z dotychczasowemi tradycyami portretowemi.

Albert Guillaume, paryżanin, dał szereg ilustracyi humorystycznych, które następnie wyszły w oddzielnych albumach. Przedewszystkiém tryska humorem szereg karykatur, pod tytułem „Moje 28 dni“. Nazwa to przyjęta dla oznaczenia ćwiczeń wojskowych, na jakie są zwoływani rezerwiści. Guillaume przedstawia siebie sa-

mego w uniformie żołnierza z krótko ostrzyżonemi włosami. Jego zwierzchnicy zadają mu najidyotyczniejsze pytania z racyi jego zawodu. Cały czas mu przechodzi na malowaniu (rzecz prosta za darmo) portretów swoich zwierzchników i ich rodzin. I tak widzimy go przy stalugach z rozpoczętym portretem dzielnego majora w pełnym uniformie, patrzącego wprost na widza, w czapce na głowie, z ręką na szabli. Tymczasem pan major nie lubi słuchać swego podkomendnego, więc mu pozuje siedząc w pantoflach, porozpinany, z potężną łysiną, i na domiar złego czyta dla zabicia czasu gazetę, obróciwszy się prawie plecami. Maluj tu taki portret! Guillaume ma jeszcze większe kłopoty z grubą panią majorową, którąby chciała wyglądać na portrecie, jak bogini, i z nieznośnemi dziećmi pana majora.

Lecz chwile wolne od malowania trzeba spedzać w koszarach, przypominając sobie teoryę sztuki wojskowéj. Tu znów sierżant jest absolutnym panem i sypie karami za najrozmaitsze „przewinienia“. Guillaume opatrzył swe rysunki wyciągami z raportów sierżanta, pełnych stylu i logiki. Jakiegoś tam biedaka pakuje on na 4 dni do kozy za to, że podczas czytania kodeksu głośno nos wytarł i t. p. Flegmatyczne szyderstwo tryska z każdego z tych wybornych rysunków.

Dagnan-Bouveret dał na średniowieczną modę skomponowanego „Chrystusa i pielgrzymów z Emaus“. Cytrynowa jasność napełnia obraz, który jest jakby podzielony na trzy części. Środkową zajmuje Chrystus, dzielący chléb. Dwóch zachwyconych uczniów mu posługuje, a w bocznéj części, nie wiadomo z jakiéj racyi, znajdują się we współczesnych ubraniach modlący się mężczyzna i kobiéta „z towarzystwa“ oraz chłopczyk w bluzce z marynarskim kołnierzem. Pomijając ten anachronizm, obraz jest doskonały.

La Touche Gaston, wyborny kolorysta, któremu nik z francuskich artystów nie dorówna w niesłychaném bogactwie harmonijnych, soczystych i silnych tonów, jak zwykle, wystąpił z popisem ulubionym kaskady barw złocistych, pomarańczowych lub fioletowych. Za temat do tego posłużyła mu „Msza“, odbywająca się w wiejskim kościołku. Na zewnątrz mnóstwo natłoczonych głów bretonek w wielkich białych krochmalonych czepcach, znalazłszy się w cieniu murów kościołka, przybrało barwę lila, jakby pola kwiatów fantastycznych, gdy przez okna przedostają się promienie złote słońca pomieszane z pomarańczowym tonem drzew jesiennych.

Aby nie przeciążać i tak długiego sprawozdania, pozwolę sobie przejść śród tysiąca rzeźb, których większość dowodzi wysokiéj techniki autorów, ale niezbyt bujnéj wyobraźni. Dla znalezienia pre-

tekstu przedstawienia ciał nagich, rzeźbiarze może zbyt często uciekają się do tematów tak oklepanych, jak bachantka, Ewa i t. p., któreby były bardzo ciekawe, gdyby potrafiono je pojąć oryginalniéj

Tematy zwierzęce duże dały pole popisu. Nie licząc wzmiankowanych już „lwów i tygrysów“ Gardet'a, nie mogę pominąć Peter'a marmurowéj grupy „Macierzyństwo“, gdzie lwica opiekuje się swemi małemi. Doskonałym pomysłem odznacza się lew z dwiema lwicami przy fragmencie klatki z prętów żelaznych. Tytuł „Pod okiem pogromcy“ czyta się wybornie z samych ruchów i zachowania się téj trójki.

Wypada mi téż wymienić z superlatywami dwie wielkie grupy rumaków i jeźdzców znakomitego rzeźbiarza amerykańskiego Mac-Monnies'a. Mimochodem wspomnę tu o dwóch bardzo wdzięcznych i dowcipnych pomysłach o skromnym artystycznym zakroju. Jeden jest dziełem pani Bianchi i przedstawia nagą dziewczynkę, która dosiadła indyka i chce się na nim przejechać. Indyk mocno się gniewa, ale jeszcze bardziéj dziwi téj nowości. Wzajemne przyglądanie się indyka i dziewczynki pysznie jest wyrażone. Druga praca jest Injalbert'a „Maskaron i dziecko“. W murze umieszczona jest wielka twarz maskarona, z którego grubych warg tryska źródełko. Małe nagie dziecko sili się, aby mu zatkać rączką wydobywający się z ust strumień, lecz mu się to nie udaje i woda w dalszym ciągu cieknie, najwpierw przez palce, a następnie po długiéj kamiennéj brodzie maskarona, stąd do wielkiéj konchy, a potém do basenu z prawdziwą wodą i naturalnemi liliami. Drugą ręką wpił się dzieciak w otwarte kamienne i martwe oko maskarona. Doskonale jest wyrażoną uwaga dziecka, czy już nareszcie woda przestanie lecićć, nad zatamowaniem któréj tak się morduje!

* *

*

Sprawozdanie to nie byłoby kompletne, gdybym na zakończenie nie wymienił choć w krótkości artystów polskich, którzy w tych wszystkich wystawach wzięli udział.

Zacznijmy od secesyi wiedeńskiéj.

Spotykamy tu Axentowicza Teodora pastelowe studyum głowy i męzki portret olejny, bardzo dobry; Chełmońskiego „Pejzaż zi-

mowy", należący do rzeczy dawniejszych i znanych Warszawie. W lesie zasłanym śniegiem ptak, trzepoczący się na gałęzi, śnieg z niéj otrząsa.

Fałat Juljan dał dwie wyborne akwarele: „Wieżę Floryańską" i „Słoneczniki" oraz olejną zimę z białym dachem kościołka i obmarzłemi drzewami. Mehoffer Józef wystawił bardzo dobry portret kobiecy i „Muzę"; Stanisławski Jan—szereg mniejszych notat pejzażowych; Leon Wyczółkowski—głowę pa łową kobiety, wyborny portret własny i „Chrystusa"; wreszcie Wyspiański Stanisław — kilka oryginalnych kartonów i rysunków.

Na monachijskiéj wystawie w Szklanym pałacu również siedm nazwisk polskich spotykamy, tylko że ta garstka tu zupełnie już ginie śród 2,000 numerów. Józef Brandt wystawił utarczkę tatarów z husarzami; Cereka Stanisław—portret ojca; Grocholski Stanisław—„Pierrota" i „Beatrix"; Jasiński F.—dwa sztychy podług Burne-Jones'a, jak zawsze bardzo subtelnie wykonane; Antoni Kozakiewicz—„Fotografa wiejskiego"; Jacek Malczewski—duży obraz przedstawiający chłopca malarskiego na wysokiéj drabinie, a wkoło wyobraźnia jego widzi w powietrzu rój postaci w szalonym wirze. Zamiast przeciągać sufit farbą, wolałby on zapewne odtwarzać te widziadła, do których się rwie jego dusza artystyczua. Obraz wykonany z dużym zamachem i dobrze skomponowany. Wreszcie Okoń Edward przedstawia wnętrze w oświetleniu księżyca. Dyabełek przysiadł na łóżku i przygrywa na skrzypcach. Typ dyabła i przeprowadzenie oświetlenia bardzo dobre.

Na monachijskiéj wystawie „secesyi" spotykamy jeszcze mniéj naszych artystów: Kurowski dał studyum; Boznańska Olga—dwa dobre portrety, a Ciągliński Jan wystawił w kolekcyi sztuki rosyjskiéj trzy pejzaże.

Przechodząc teraz do salonów paryskich, znajdujemy w obu 15 polaków.

W salonie z pól Elizejskich Gerson Marya wystawiła grupę gipsową „Ucieczkę do Egiptu", za co otrzymała *mention honoroble*. Chwila tu wybrana przedstawia znużoną Maryę, która przysiadła na ziemi i z poddaniem bierném trzyma na kolanach dzieciątko pełne naiwności. Dobry układ i ugrupowanie, harmonijność w liniach oraz dużo uczucia cechują tę rzeźbę. Kossowski Henryk dał bardzo prawdziwą i z dużym wyrazem główkę młodéj kobiéty. Trojanowski Wincenty wystawił 19 medalionów w bronzie, srebrze i złocie.

W dziele malarstwa prof. Gerson nadesłał „Dwie siostry w żałobie" i „Damę w kostyumie wschodnim", obie prace posiadające

wszystkie zalety jego pędzla. Chełmiński Jan—w „Drodze do kwatery głównéj“ zaczerpnął temat jak zwykle z wojen napoleońskich. Wykonanie poprawne.

Dybowskiéj akwarela „Fiołków“ i również akwarelowemi chryzantemami ozdobiony ekran dowodzą dużéj techniki w malowania kwiatów. Rysunek węglowy Mrówczyńskiego Kazimierza do „Pana Tadeusza“, zdaje się być tylko przez pomyłkę tak zatytułowany.

Olpiński Jan i Słupski Feliks wystąpili z dobremi portretami; Rozen dał „Zwiady przedniéj straży wielkiéj armii nad brzegami Niemna (1812)“, a Wiśniewska Natalia—portret pastelowy młodéj damy.

W Salonie z pola Marsowego Boznańska Olga wystawiła „Dwie siostry“. Na kolanach młodéj dziewczyny siedzi dziecko. Jest to zwykłe studyum bez pretensyi, malowane spokojnie i miękko, trochę może mglisto, przytém dobrze jest rysowane, dziwnie jednak nieprzyjemnie razi niedbałość jego wystawienia. Nie mówię już o tém, że artystka, spostrzegłszy się, że obraz ucina się niekorzystnie w połowie dłoni modelu, dosztukowała drugie tyle i niepomyślała o staranném zagubieniu szwów, które się błyszczą zdaleka, ale na domiar złego spory róg dolnéj tektury był urwany, więc dziurę założono niedbale innym kawałkiem, który zupełnie odstaje. Nie omylę się twierdząc, że jest to jedyny obraz, który w takim opłakanym stanie śród tysięcy innych wystawiono.

Duży portret wykonany przez Edwarda Loevy'ego jest bardzo plastyczny i bardzo skończony, może nawet przekończony w drugorzędnych akcesoryach, przez co brak w nim spokoju.

Jasiński Eeliks wystąpił ze sztychem podług ulubionego swego artysty, Burne-Jones'a, p. t. „Zwiastowanie“. Wreszcie Jan Peske nadesłał szkic do afisza i trzy okładki do książek z rysunkiem wytłaczanym i barwionym na skórze lub drzewie. Duża harmonia barw panuje w tych okładkach.

Oto jak się przedstawia nasz dorobek artystyczny na pięciu wystawach, a w trzech stolicach europejskich: w Monachium, Wiedniu i Paryżu. Razem wziąwszy, trzydziestu jeden artystów polskich, przeważnie wystawiających prace drobniejszych rozmiarów i znaczenia, na przeszło dziesięć tysięcy dzieł sztuki wystawionych. A my mówimy z dumą o sztuce naszéj i dziwimy się, że zagranica nic o niéj nie wié. Gdzież są więc ci artyści nasi, z których jesteśmy tak dumni?

Gdzie?

Pracują w pocie czoła, biegając po lekcyach i malując dla chleba zdawkowe obstaluneczki. Czasem zabiorą się do poważniejszego dzieła, ale z góry przekonani, że nikt tego nie kupi, albo za psie pieniądze, a o wysyłaniu na zagraniczne wystawy nie mogą myśléć. Koszt to ogromny, a pożytku doraźnego żadnego. Nikt tam nie kupi obrazu o cudzoziemskiém bez firmy nazwisku. Kliki, protegujące się wzajemnie, nie mają tyle medalów, żeby obdzieliwszy swoich, jeszcze im zostało dosyć dla rzeczywiście zasługujących, a cóż dopiéro dla cudzoziemców. A więc po zapłaceniu kosztów opakowania, transportu i ekspedycyi, otrzymuje się po kilku miesiącach obraz z powrotem, zakurzony i z poobijaną ramą.

Kto raz i drugi téj przyjemności spróbował, ten zwykle ma jéj dosyć na całe życie.

Antoni Austen.



POGLĄD MEITZENA

na

pierwotne osiedlenie i ustrój agrarny

EUROPY *).

Interesuje nas kwestya pierwotnego stanu życia ludzkiego na ziemi. Pragnęlibyśmy odszukać jego kolebkę. Niestety, żadna ręka ludzka nie mogła nam przekazać wieści o tém, chyba jakiś mglisty mit albo podanie ludowe. Uciekamy się więc do pomocy geologii. Ta nauka pozwala nam uczynić pierwsze przypuszczenie co do pramieszkańców kuli ziemskiéj.

Czy w okresie przedlodowcowym były zamieszkałe te kraje Europy, w których my dzisiaj żyjemy? Bardzo to być może. W każdym razie nie oni dali początek naszemu dzisiejszemu życiu kulturalnemu. Szary płaszcz lodowy pokrył olbrzymią przestrzeń Europy od kiölów skandynawskich aż po Charków na wschód i po Szkocyę na zachód. Tak samo napłynęły lody ze śnieżnych szczytów Alp,

---

*) *A. Meitzen. Wanderungen Anbau und Agrarrecht der Völlker Europa's nördlich der Alpen, Erste Abtheilung. Siedelung und Agrarwesen der West—und Ostgermanen der Kelten, Römer, Finnen und Slaven. 3 Bd.* str. 623+698+617 wraz z atlasem. Berlin, Wilhelm Hertz 1895.

Karpat, Pirenejów i wyparły z dolin i nizin wszelkie życie roślinne i zwierzęce.

Dopiéro z ustąpieniem epoki lodowéj doszukujemy się pierwszych śladów człowieka. Mamy do dziś dnia przed oczyma jego pierwotny nędzny obraz życia. To są budowle palowe w Szwajcaryi i dolmeny, rozwiane w całéj zachodniéj Europie. Te ostatnie są to olbrzymie głazy, tak ułożone, ażeby dwa albo kilka służyły za podstawę dla innego większego, położonego nakształt dachu. Nasza tatrzańska koliba,— to pierwszy błysk myśli ludzkiéj, pragnącéj zabezpieczyć człowieka od deszczu, chłodu i wiatru. Z tą jednak początkową kulturą nie ma związku etnicznego nasza kultura aryjska. Za tém mniemaniem oświadcza się antropologia, która zmierzyła szkielety tych mieszkańców jaskiniowych. Przybyli oni do Europy z południa, gdy brzaski słońca zaczęły silniéj przygrzéwać, a lody cofać się na zachodzie Europy coraz daléj na północ.

Nasza wędrówka ludów aryjskich jest późniejsza. Prawdopodobnie Finnowie pierwsi byli tą falą, którą wschód zalewał i jeszcze dziś nie przestaje zalewać Europy. Finnowie przedstawiają nam dzisiaj typ mieszkańców okolic podbiegunowych. Gdy jednak rozpoczął się ruch tego ludu z pierwotnéj siedziby Altaju, którego lody nigdy nie pokrywały, jedna odnoga tego rozlewu sięgła na południe aż po Eufrat. Na 5 tysięcy lat przed Chrystusem, jak powiadają historycy starożytnego Wschodu (Winkler), sięga ta wędrówka ludów fińskich, które miały tutaj swoją kulturę (Akkadyjczycy i Summrowie). W 4-ém tysiącoleciu przed Chrystusem, znajdujemy Aryów w swych pierwotnych jeszcze siedzibach. Rzecz szczególna. Pierwsi znali nas wtedy i odróżnili od innych sąsiadów Chińczycy. Mniejsza o to, czy to byli pradziadowie mieszkańców dzisiejszego państwa Niebieskiego, czy inny lud mongolski. Pewném jest, iż rozległy obszar Khotan u stóp Kweu-lun zamieszkiwała rasa mongolska; na zachód od Khoton sąsiadowały z nimi ludy o głęboko wklęsłych oczach i prostych konturach nosa. Wszystkie dane przemawiają za tém, iż byli to Aryowie, których szczątki odnajdujemy do dziś dnia na Pamirze i w Jarkandzie. Jest więc bardziéj, aniżeli prawdopodobne, iż zachodnia część centralnéj Azyi z górami i d linami gór Hindu-kusz była siedzibą ludów, które dziś zamieszkują przeważny obszar Europy.

Tyle zaledwo światła rzuca nauka w te ciemne głębie, które kryją zaranie życia ludzkości. Bardzo wiele domysłów, zbyt mało pewnych danych — oto rezultat badania tych kwestyi. Antropologia, geologia, folklor, językoznawstwo porównawcze — wszystkie te umiejętności łączą się w celach rozplątania tego węzła później-

odłogiem — a potém do gospodarki intensywnéj: dwóch lub trzech polowéj, która w dzisiejszych czasach przeszła w gospodarstwo wielopolowe (płodozmian).

Ten przymusowy system uprawy roli pobudzał wszystkich do jednakowéj czujnéj pracy, zamało jednak skłaniał jednostki do ulepszeń na własną rękę podejmowanych.

Podstawą pierwotnego osiedlenia i jednostką podziału ziemi u Germanów był łan (*Huf*). Znaczenie tego wyrazu objaśnił Müllendorf. Słoworód jego jest ten sam co w *Behuf* (to, co się komu należy, udział), równoznaczne z *Antheil*, *Loos*. Odpowiada łacińskiemu *sors*, *pars*, *portio*. Było to pojęcie jednostki agrarnéj wraz z dworem, ogrodem, ziemią pod uprawę, prawem do wspólnego pastwiska (almendy). Słowem łan jest to taki udział we wsi, który jest w stanie utrzymać jedną rodzinę. Z drugiéj strony może być uprawianym przez jedną rodzinę, która natomiast ponosi pewne ciężary, naprzykład wojskowe (za Karola W.). Wielkość łanu przytém nigdzie nie była ta sama, chyba w obrębie jednéj i téj saméj wsi. Dopiero w VII w. spotykamy określoną, stałą miarę łanu dla wszystkich miejsc. Stoi to w związku z podziałem ziemi zdobytéj. W ziemi pierwotnie zajętéj przez Germanów ustalenie wielkości łanu dokonało się znacznie późniéj ze wzrostem dążenia do sprawiedliwego rozkładu ciężarów.

Ustrój wsi pierwotnéj germańskiéj (*Gewanndorf*) tłómaczy się sposobem zajęcia ziemi przez Germanów. Wsie germańskie powstały nie w puszczy dzikiéj bez mieszkańców i bez zwierzchnika, lecz na terytoryum silnie zaludnioném i poddawaném sporadycznéj uprawie przez koczowników. W wędrówce swéj na zachód Germanowie zajęli pierwotnie niewielki trójkąt ziemi między Elbą i lewym jéj dopływem Saalą. Tu znaleźli oni warunki niezmiernie korzystne dla życia nomadów, przedewszystkiém bogactwo soli. Życie gospodarcze koczowników najsilniéj związane jest z chowem bydła. Od ilości głów jego, którą dane terytoryum może wyżywić, zależy ilość koczowników na danym obszarze ziemi. W Niemczech środkowych na przestrzeni 2, 4 do 13 mil kw. przypadało wówczas około tysiąc mieszkańców, czyli 120 rodzin. Jest to owa słynna setka germańska (*Hundertschaft*), która długo jeszcze późniéj już w życiu osiadłém utrzymała swoje prawne, wojskowe i gospodarcze znaczenie. Skutkiem jednak przeludnienia i braku pastwisk dla bydła następuje przesilenie ekonomiczne w życiu nomadów. Rozpoczynają się wtedy ich wędrówki. U Germanów pierwsze przypadają na r. 320 przed Chr. Z czasem te same przyczyny ekonomiczne, t. j. przeludnienie i brak pastwisk, musiały pociągnąć za sobą przejście koczowników od bytu

pasterskiego do życia osiadłego, rolniczego. Na tém samém terytoryum większa liczba ludności da się utrzymać, zajmując się uprawą ziemi, aniżeli hodowlą bydła. Ale i tutaj przejście od jednego stanu kultury do drugiego nie jest powszechném. Zazwyczaj biedniejsi biorą się do uprawy roli. To zajęcie jest o wiele cięższe i trudniejsze. Reszta ludności pędzi i nadal żywot pasterski, koczujący. Pierwsze osiedlenie nie obywa się bez zetknięcia się z sąsiadami, bez walk, kolizyi i porozumień pokojowych. Obszar osiadłych musiał być oddzielonym od obszaru koczowników. Granicę praw pierwszych oznacza granica wsi. Wszystko, co w tym obrębie było nieuprawném polem, zostało własnością wspólną—pastwiskiem osiadłych (almendą). Reszta ziemi pozostała do użytku koczowników. Z przeciwieństwa pastwiska osiadłych a koczowników powstała późniejsza różnica między almendą a marką.

Osiedlenie pierwotne u Germanów nastąpiło w ten sposób, iż cała ziemia uprawna w obrębie wsi została podzielona na pola (*Gewannen*). Z każdego pola otrzymała każda rodzina swoją część. Wszystkie rozproszone kawałki pól, należące do jednéj rodziny, stanowiły jéj udział, czyli łan. Łan zatém składał się z wielu różnowartościowych części pojedyńczych pól. Jeszcze dziś z ilości parcel w każdém polu możemy poznać ilość udziałów łanowych we wsi, a tém samém ilość zagród oraz mieszkańców. Łan zatém germański wcale nie tworzył oddzielnéj i odgraniczonéj części ziemi—raczéj był to idealny udział w ziemi uprawnéj i własności wspólnéj (almendzie) każdéj wsi.

To pojęcie łanu, jako idealnego udziału w ziemi a nie realnéj całostki, wyprowadza nas z labiryntu sporów o pierwotném prawie własności u Germanów. Mniejsza o to, czy owe łany były rozlosowywane, czy zmieniały od czasu do czasu swoich właścicieli, skoro nie były one żadnemi jednostkami realnemi, tylko prawem do udziału w ziemi. W pojęciu ówczesném było to całkiem obojętne dla każdego, czy ten lub ów kawałek ziemi został mu przeznaczony do użytku, skoro jego prawo do udziału w ziemi zostawało w niczém nie naruszone. To pewna, że za Karola W. taka zmiana właściciele pojedyńczych części pól przestaje już istnieć i pojęcie własności indywidualnéj utrwala się w zupełności.

Niepodobna téż przypuszczać, aby przy pierwotném zajęciu ziemi nie było różnic klasowych Istnieją one nawet pośród koczowników. Bogatsi i znaczniejsi otrzymali zamiast jednego — dwa lub trzy łany, czasem więcéj. Osiedlali oni na nich swoich sług (*Hintersassen).* Ilość i obszar ziemi zajętéj pod uprawę nikogo nie obchodziły. Interesowały zaś każdego prawa i obowiązki, a te dla wszys-

tkich łanowników były równe. Klasy przeto, a istniało ich cztery: szlachta, wolni, litowie i niewolnicy, odróżniały się nie wielkością łanów, tylko ich ilością. Natomiast dwóch braci lub więcéj mogło wziąć na siebie jeden łan. Mogły nawet zakładać pojedyńcze wsie całe rody (*Sippen*), z których składała się setka.

Ze względu na system pierwotnéj gospodarki, w którym wymiana nie odgrywała żadnéj roli, a produkcya była ograniczona szczupłemi potrzebami samych producentów, nie było rzeczą korzystną odkrywać coraz to nowych obszarów ziemi pod uprawę. Owszem starano się zachować jak najwięcéj ziemi pod pastwiska. Wzrost ludności powodował częsty podział łanów, który sprowadził w niektórych miejscach nową klasyfikacyę posiadłości na dwory i półdwory, gospodarstwo jednosprzężajne i z połową sprzężaju etc. Łanownicy poczęli późniéj osiedlać przybyszów, bądź na skrawkach ziemi łanowéj (*Kottsassen*), bądź téż na częściach almendy (*Brinksitzer, Anbauer, Häuster)*. Lecz prawo do almendy pozostało się przy pierwotnych łanownikach. Sprzedawali oni te kawałki almendy przybyszom, albo oddawali je za czynsz lub w dzierżawę. Stopniowo ci przybysze stopili się z resztą ludności wiejskiéj. Almendy jednak aż po dzisiejsze prawie czasy nie przestały uchodzić albo za majątek wspólny obywateli (*Bürgervermögen*), albo stały się własnością politycznéj gminy. Z powstaniem własności pańskiéj (*dominium*) wpływ jéj na almendę okazał się nader znacznym. Panowie wzięli ją pod swój zarząd gospodarczy i policyjny w inteteresie intensywnéj kultury rolnéj, zostawiając chłopom prawo do jéj używania (serwitut). Obydwa te pojęcia dominium i serwitut były zaczerpnięte z prawa rzymskiego. Są one całkiem obce światu germańskiemu. Stąd téż chłopi czuli się pokrzywdzonymi w swoich prawach. To zagarnięcie przez dominialną własność prawa do almendy było niemałoważną przyczyną wojen chłopskich w Niemczech, któremi się zaznaczył początek dziejów nowożytnych.

Terytorya między wsiami, czyli tak zwane marki, pozostawały do użytku wsi przyległych. Ale z natury rzeczy pojęcie własności marki było nader chwiejne. Najłatwiéj przeto wraz z powstaniem władzy, czy to książęcéj, czy królewskiéj, dało się na nie rozciągnąć zwierzchnictwo fisku. Od państwa znaczna część ziemi granicznéj, czyli marki, przeszła na własność kościoła lub szlachty. O ile jednak rozciągało się przedtém na nią czyjeś używanie, pozostała ona we własności czy to gminy, czy też spółek lub towarzystw włościańskich (*Gehöferschaften*). Tam, gdzie się nie udało wyprzeć ich w zupełności, pozostali oni w charakterze współuprawnionych do jéj posiadania.

Cały obszar górnych Niemiec, a więc dzisiejszą Bawaryę i Szwabję, zajęły wsie germańskie (*Gewanndörfer*). Musimy zatém stwierdzić, iż plemiona germańskie, jak Allanowie, Bawarowie etc., którzy tu wkroczyli, przynieśli ze sobą swój sposób osiedlenia i ustrój agrarny. Nigdzie nie przechowały się ślady kultury agrarnéj Celtów, Rzymian, którzy poprzedzili Germanów w osiedleniu tych terytoryów nawet w najbogatszych i najurodzajniejszych dolinach. Charakterystyczny pod względem podboju sposób zajęcia téj ziemi nadał inne właściwości marce, aniżeli w pierwotnéj siedzibie ludów germańskich (*Volksland*). W Górnych Niemczech na markę odrazu rozciągnęło się prawo królewskie, czy książęce. Wypływać to mogło zarówno z idei podboju, jak i z potrzeby bezpieczeństwa. Prawo korzystania z marki mogło przejść do włościan tylko za pośrednictwem króla, albo kościoła tudzież szlachty, którym król ziemię nadawał.

Przenieśmy się teraz na terytoryum osiedlenia innych plemion a mianowicie Celtów i Rzymian, jakie stanowi obszar dzisiejszéj Francyi, Irlandyi, poczęści Anglii (Wales) i Szkocyi. Na mapach nie spotykamy tutaj innych form osiedlenia, jak pojedyńcze dwory—osady (*Einzelhofer*) z przynależnym kawałkiem roli, zaczynając od $1/2$ do 8 *acz*'ów irlandzkich wielkości. Ten ustrój agrarny jednodworowy pochodzi od Celtów i jaknajsilniéj jest związany z ich ustrojem pierwotnym jeszcze w dobie koczownictwa. Jak u Germanów setka pasterska, tak u Celtów klan był podstawą ustroju społecznego. Istota klanu opiéra się na pojęciu rodziny patryarchalnéj z własnością rzeczy ruchomych, lecz bez własności dziedzicznéj ziemi, tylko z prawem dożywotniego jéj posiadania. Nie system pokrewieństwa, lecz potrzeba pewnéj stale oznaczonéj siły pomocniczéj w gospodarstwie pasterskiém określiła ilość członków klanu. Mieszkali oni w jednym domu. Główną jego część stanowiła wielka, wspólna hala środkowa. Po bokach znajdowało się 17 komór, lóż (*gwely*), z których każda była przeznaczona dla pojedyńczéj rodziny. Z przejściem do życia osiadłego, rolniczego, ziemia była podzielona pod kierunkiem naczelnika klanu na tyleż części (*tate*), ile było poprzednio lóż w domu, czyli pojedyńczych rodzin. Podział więc ziemi był odzwierciadleniem pożycia domowego.

Cztery *tates* tworzą *quarter*, czwartą część *townland*'u, który mieści w sobie obszar osiedlenia pewnego klanu. Takie były podstawy ekonomiczne ustroju klanowego Celtów. Pozornie wydaje się on bardzo demokratycznym. W gruncie zaś rzeczy był to ustrój nawskroś arystokratyczny, nie ze stanowiska urodzenia, lecz bogactwa (u Irlandczyków *Jewous* ogół i *nemowie*, znakomici). U Celtów

w Galii za czasów rzymskich znajdujemy rolnictwo na wysokim stopniu rozwoju (sztuczne nawożenie ziemi, gospodarka trójpolowa) przy silnym ucisku biedniejszych ze strony bogatych, szlachty, i liczny oraz potężny stan kapłański, dzielący się na bardów, ofiarników i druidów.

Wszakże zanim ludy germańskie zjawiły się wśród dawnych siedzib Celtów, dostały się one już przedtém pod wpływ kultury rzymskiéj. Ani jednak w zakresie podziału ziemi tudzież prawa własności do niéj, ani téż pod względem uprawy roli wpływ ten Rzymian nie był znacznym. Cała południowa i środkowa Galia zachowała typ osiedlenia celtycki. W prowincyach zaalpejskich Rzymianie mało zakładali kolonii wojskowych; pod te ostatnie zazwyczaj zajmowano ziemię nieuprawną (t. zw. *terras vacantes*). Natomiast silny wpływ wywierał system podatkowy i administracyjny Rzymian na prowincye. Wszystka ziemia, o ile nie leżała odłogiem, lub nie była pusta, była opodatkowaną, czyli stanowiła *ager vectigalis*. Z zasady dla państwa najkorzystniéj było wypuszczać w dzierżawę dochód z podatków. Dzierżawca był wtedy poręczycielem dochodu państwowego ze strony ludności osiadłéj na roli. Państwo uznawało prawo dziedziczne takiéj dzierżawy (emfiteuza . Właściwie ten system własności rozwinął się już w starych latyfundyach i dzierżawach państwowych Rzymu.

Cały układ stosunków agrarnych w Rzymie powstał na tle tego, iż *ager publicus* — ziemia zdobyta—była własnością państwa, które ją mogło drugim puszczać w dzierżawę. Tak powstały wielkie towarzystwa dzierżawców ziemskich (publikanów) na podobieństwo dzisiejszych towarzystw akcyjnych. Na tych latyfundyach z początku powstały wsie niewolników, ale gdy tych zabrakło, poczęto osiedlać ludzi wolnych, nie za czynsz tylko za daninę i robociznę. Są to tak zwani koloni. Jednak mimo ich swobody osobistéj, władza panów nad nimi się potęgowała, ponieważ płacili za nich podatki—wkrótce do panów należało sądownictwo i dozór policyjny nad kolonami. Zamiana niewolnictwa na kolonat dokonała się z podniesieniem praw pierwszych, lecz obniżeniem praw drugich. Konstytucye Konstantyna W. (332) już nie odróżniają niewolnika od kolona. Za czasów zaś Honoryusza i Teodozyusza (419) przytwierdzenie do ziemi uchodzi za prawny stan kolonów.

Podobnież system podatkowy w prowincyach sprowadził z czasem stosunek wielkich dzierżawców i drobnych do stosunku panów i poddanych. Nastąpiło zupełne przekształcenie praw osobistych i rzeczowych ludności pod wpływem zarządu prowincyonalnego i systemu podatkowego.

Jak kolonowie powstali na tle rozwoju latyfundyów, tak *laeti* byli nowym elementem, z ludności barbarzyńskiéj się rekrutującym, osiadłym na roli. Nie mają oni nic wspólnego z *litami* lub *lassami* szczepów germańskich. Ci ostatni byli poddani czynszownicy. *Laeti* w prowincyach rzymskich była to kategorya ludności pokrewna *beneficiati*, osadzonym na ziemi z obowiązkiem służby wojskowéj.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie te stosunki ludności w państwie rzymskiém w chwili jego upadku, przychodzimy do ogólnego wniosku, iż tworzyć się poczynał głęboki rozłam między nieliczną kategoryą wielkich właścicieli i całą masą ludności poddańczéj. Czasy zamieszek i niepokojów nie pozwalały się utrzymać drobnym właścicielom na roli. Ponosili oni przytém nader uciążliwe podatki i powinności państwowe, t. zw. *sordida munera*, jako to: dostarczanie żywności dla wojska, koni na przejazd, budowę mostów, dróg etc.. Z tych jednak ciężarów były liczne ekzemcye dla silniejszych i możnych, zwłaszcza dla kościoła. Stąd téż słabsi oddawali się pod opiekę możnych, czy to dekurionów, czy to wyższych urzędników. Zrzekali się praw swych co do osoby i ziemi na rzecz opiekuna. Zwłaszcza kościół w późniejszych czasach, aż po okres Karolingów, występuje w tym charakterze. Oczywista, ziemia nadana raz kościołowi zgodnie z prawem kanoniczném pozostawała już na zawsze jego własnością, a nadawca mógł ją otrzymywać tylko w charakterze *praecarium* za pewnym czynszem lub świadczeniami od kościoła.

Francya i kraj nadreński, teren osiedlenia pierwotnego Celtów i Rzymian, któryśmy powyżéj opisali, przybrał pod wpływem najścia Germanów charakter szczególny, jaki przetrwał do dziś dnia. Germanowie nie potrzebowali zmieniać pierwotnych stosunków agrarnych, podział ziemi na *tate'y* i pojedyńcze dwory rzuca się odrazu w oczy z mapy każdemu. Specyalne warunki uprawy płodów południowych, jak jarzyn, owoców, wina, odpowiadają bardziéj temu systemowi podziału roli, jak każdemu innemu. Przytém Germanie nie zmietli w zupełności pierwotnych mieszkańców, Celtów. Na południu Galii pojedyńcze rodziny Germanów były przydzielone do prowincyałów, którzy im musieli ustąpić część dobytku i ziemi. Było to skutkiem pokojowego zajęcia tych obszarów przez Westgotów i Burgundów, pierwsi otrzymali od Rzymian ²/₃ ziemi i dobytku z każdego gospodarstwa, drudzy tylko ²/₃ ziemi. Tutaj forma gospodarstwa jednodworowego była nietknięta, nastąpiło tylko silniejsze rozparcelowanie ziemi. W północnéj Francyi nie brak wprawdzie pojedyńczych dworów, ale występują tutaj także wsie germańskie. Powstanie ich da się wytłómaczyć tylko w związku z potrzebą za-

kładania nowych wsi obok już istniejących dworów celtyckich. Dla uniknięcia sporów nowe wsie powstawały na zasadzie typu germańskiego z podziałem na pola i z przymusową uprawą, a nie według typu jednodworowego. Spotykamy pojedyńcze dwory nawet w okolicach północnéj Francyi i nad Renem, gdzie Germanowie żyli w czasach przedhistorycznych. Ale obszar ten zajęły plemiona germańskie, jak Chamawy, Sigambrowie (prawy brzeg Renu), jeszcze jako lud pasterski. Podbiwszy ludność celtycką, pozostawili im nietknięty ich system uprawy ziemi. Dla siebie potrzebowali tylko pastwisk i domów. Dopiéro z czasem, skutkiem pomnożenia się ludności, musieli nauczyć się rolnictwa od swoich niewolników, ale ustrój cały agrarny od nich przyjęli i późniéj już z przyzwyczajenia nie zakładali innych osad, jak tylko pojedyńcze dwory.

Trzeci wielki obszar osiedlenia Germanów, frysko-saski, dotyka części Niemiec północnych tudzież Anglii. Fryzowie i Saksowie wyszli, podobnie jak inne plemiona germańskie, z okolic nad Saalą i Elbą. Gdy Frankowie byli mieszkańcami okolic górzystych i posuwali się gościnnemi żyznemi dolinami rzecznemi, zwłaszcza Renu i jego dopływów, do celtyckich okolic nadreńskich i północnéj Francyi, to Fryzowie i Saksowie szli równiną Elby i rozsiedli się nad morzem na północ od Celtów w kraju przeważnie nieurodzajnym, gdzie rozciągają się piaski (*geest*) i błota (*morschen*). Celtowie oddziaływali na nich silnie, nauczyli ich żeglugi i handlu, przekazali im kult religijny (*Nerthus*).

Już na 4 wieki przed Chrystusem Saksowie zajmowali swoje siedziby, przed nimi może gościły tutaj ludy fińskie, wyparte daléj na północ. Wskazywałyby na to dolmeny, mieszkania na wzór jaskiń pierwotnych zbudowane. W połowie III wieku Saksowie zasłynęli, jako żeglarze i korsarze morscy, w IV wieku zajęli wybrzeże Flandryi, Normandyi, ujścia Loaire'y, od r. 449 zjawiają się w Anglii (Hengist i Horsa). Ich potęgę rozbili Frankowie (804) nie o tyle jednak, aby szczep frysko-saski nie zdołał wytworzyć swoich stałych właściwości narodowych i rzucić poprzez Ardenny i Wogezy granice zromanizowanéj kulturze Franków.

Kolonie Fryzów w Holandyi i w Niemczech północnych nie mają nic wspólnego z wsią germańską. Zwykły typ wsi na moczarach fryskich stanowią długie smugi ziemi, równolegle biegnące, otoczone rowem wraz z dworem, przytykającym do ulicy i zarazem do grobli, nad głównym kanałem położonéj. Saksowie, osiedli na lewym brzegu Wezery (w Westfalii), przejęli typ jednodworowy osiedlenia Celtów. Nawet forma i budowa domu w tych okolicach jest różna od

środkowo-niemieckiego domu, a pokrewna z domem, jaki spotykamy u Gallów. Na przeciwnym brzegu Wezery, w Szlezwigu, Saksowie nie znali nigdy innéj formy osiedlenia, jak typową wieś germańską (*Gewanndorf*), Tę samą formę przynieśli ze sobą do Anglii. Niemiecki łan spotykamy w Anglii pod nazwą *hide*. Nowi przybysze, członkowie setek germańskich—wytworzyli klasę ludzi wolnych, właścicieli łanów (*ceorl*) obok poddanych (*theow*). Warstwa ta wolnych drobnych właścicieli ziemi nie długo jednak mogła się utrzymać. Część z nich weszła w zastęp ludzi służebnych (*thau*). Byli to częścią wolni, częścią niewolni, obdarzeni ziemią z obowiązkiem służby dworskiéj lub królewskiéj. Reszta pierwotnych łanowników (*ceorl*) spada na stopień poddanych (*theow*). Przyczyniły się do tego w części burzliwe czasy najazdów duńskich, w części zubożenie i nadzwyczaj ciężka uprawa ziemi, wymagająca do jednego pługa 8 zwierząt pociągowych. Podbój Normannów w XI w. zmienił gwałtownie stosunki agrarne w Anglii wraz z wprowadzeniem systemu lennego.

II.

Taką była geneza społeczeństw współczesnych na zachodzie Europy. Wschód należał od najwcześniejszych czasów do plemion fińskich i słowiańskich.

Pierwsi do dziś dnia wiodą życie w części osiadłe, w części koczujące. Jeżeli poprowadzimy linię od Lofotów po przez jezioro Onegę aż do Permu, to na północ od niéj plemiona fińskie są oto przeważnie myśliwi i rybacy, na południe zajmują się już rolnictwem. Domy, jakie budują do dziś dnia Finnowie, bezwątpienia są pratypem mieszkań ludzkich.

Wytworzyły się one z czasowych, dorywczych siedzib koczowników. Do takich należy jurta (po fińsku *cota tczum*), zbudowana z kilkunastu drągów z jedynym otworem, służącym do wejścia. Ściany jéj zasłonięte są skórami—na zimę przykryte ziemią lub śniegiem.

Ten typ nawpół namiotu koczowniczego, nawpół domostwa stałego jest rozpowszechniony w całéj Syberyi, w Laponii i Finlandyi. Budowa jurty nie wymaga dłuższego, jak jedna godzina, czasu. Mieszkania plemion potrzebujących w jedném miejscu dłuższy czas przepędzić, czy to dla polowania, rybołóstwa, czy téż dla pastwisk, przedstawiają rodzaj jamy wykopanéj w ziemi, z rusztowaniem z belek

wewnątrz (jakucka gamma). U zachodnich Finnów rozwinęła się z tych zaczątków forma domostwa, t. zw, *pirtti*, najpospolitsza u biedniejszych gospodarzy. Sam wyraz jest zapożyczony z litewskiego i oznacza łaźnię. Istotnie, główną część domu stanowi piec, zajmujący $^{1}/_{6}$ przestrzeni i służący do ogrzewania, gotowania oraz do parowéj łaźni. Na wschodzie między jeziorem Onegą a Uralem *pirtti* jest wcale nieznana. Wschodnie plemiona fińskie jeszcze późniéj przeszły do życia osiadłego, aniżeli zachodnie. Gwagnin, pisarz XVI w. pisze o Mordwinach i Czeremisach, że nie znają domów i mieszkają w lasach, chociaż miejscami we wsiach. Naturalnie oznacza to tylko zmienny i przejściowy charakter osiedlenia. Tutaj naprzykład, u Mordwinów i Czuwaszów gubernii symbirskiéj rozwinęła się z gamm koczowników forma mieszkań, zwanych *Kige*, przystosowana do potrzeb życia rolniczego. Drągi u góry schodzące się zasłonięte są strzechą słomianą, również ogień dla bezpieczeństwa jest rozpalany w głębi jamy przykrytéj ziemią z otworem dla dostępu powietrza.

Są to pratypy mieszkań ludzkich razem z opisanemi już poprzednio mieszkaniami jaskiniowemi, dolmenami etc..

Okrągła forma jurty służy za podstawę. Również wsie fińskie powstały na zasadach najprymitywniejszéj okupacyi ziemi przez Normadów. I tutaj ziemia zajętą została przez cały szczep, kawałki jéj najsnadniéj mogły drogą losowania przechodzić w ręce jednego lub drugiego osobnika. Z czasem pojedyńcze jednostki na własną rękę podejmują się uprawy pewnych kawałków ziemi z obszernego terytoryum leśnego po za obrębem wsi. Żadne ograniczenie prawne nie stoi im na przeszkodzie. U Finnów nie trzeba było nawet ogradzać takiego kawałka celem wyosobnienia go ze wspólnego pastwiska— ani nie było terminu, jak u Germanów, trzechletniego, po upływie którego ziemia, pozostawiona odłogiem, traciła swego właściciela i powracała napowrót do marki.

Ludy fińskie zajęły północny wschód Europy. Pokrewne im tylko plemię Węgrów Madziarów także szczepu uralo-fińskiego klinem się wbiło między plemiona słowiańskie z téj i tamtéj strony Karpat. Słowianie pojawili się w Europie w dwóch gałęziach, jedna wcześniéj, druga późniéj. Starsi są Litwini (*aestii* u Tacyta). Nazwa tacytowska jest zepsutym staro-niemieckim wyrazem *eistir*, *erstland*, *osti*, *ostland)* (wschodni mieszkańcy). Język ich, bliższy do sanskrytu, aniżeli język innych szczepów słowiańskich, wskazuje na ich wcześniejsze pochodzenie. Litwini należą do ludów, które prawie nigdy nie ruszały się ze swych siedzib po przybyciu do Europy. Zabezpieczały ich od nacisku ze strony sąsiadów morze od północy,

błota prypeckie, berezyńskie (od południa i wschodu). Właściwi Słowianie znani są pierwotnie z nazwy łacińskiéj *venedae* (Wendowie), która jest także zapożyczoną od Niemców. W czasach Tacyta siedliska ich sięgały aż po środkowy bieg Wisły. Poniżéj ujścia Bugu całe Mazowsze zaludniali Gotowie. Granica północna ich osiedlenia (od Finnów) szła od jeziora Ilmen aż po Samarę nad Wołgą, od Samary wzdłuż stepów aż po Bałtę, a stąd aż po Bukowinę biegnie granica południowa osiedlenia pierwotnego Słowian. Znosząc przez czas dłuższy panowanie Gotów nad sobą, późniéj Hunnów, Słowianie razem z nimi przedarli się w głąb Europy. Między błotami prypeckiemi a odnogami Karpat znajduje się brama zachodnia Europy, którędy szła wędrówka ludów na zachód, o ile nie przekroczyły linii Karpat. Daléj na zachód wędrówka Słowian skierowała się po przez Szlązk, Łużyce, Turyngię aż po Ren. W VI w. występuje po raz pierwszy nazwa Słowian (u Prokopa), która stosuje się przeważnie do Słowian południowo-zachodnich od Dunaja i Wisły aż pod Dniestr. Z tamtéj strony Dniestru innéj nazwy używają współcześni dla Słowian—mianowicie Antów. Oznacza ten wyraz dynastyę prawdopodobnie czerkieską, która w VI w. nad wschodnimi Słowianami panowała (Kunik). Od połowy VI w. poczyna się potęga Słowian. W połowie VII w. sięgają serbo-wendyjscy Słowianie aż po górny Men (po Rednitz, nad morzem północném rozwija się morska potęga Słowian zajmujących Rugię, Mecklemburg, Wagryę aż po zatokę Kielską. W tym samym czasie wzmacniają się na południu. Ich napady sięgają aż do Grecyi (na Peloponez). Z ustąpieniem Gotów (580) usadawiają się w Krainie, Istryi, Karyntyi i Styryi. Podkarpaccy Słowianie Chorwaci, przywołani przez cesarza Herakljusza (630) przeciwko Awarom, usadawiają się na ich miejsce w Kroacyi między Sawą i Drawą. Serbowie zajmują Serbię, Bośnię, Hercegowinę i Czarnogórze. Postępy zatém Słowian w znacznéj części środkowéj Europy były olbrzymie. Postać rzeczy zmienia się dopiero od Karola W. i to na niekorzyść Słowian.

Utworzył on t. zw. *limes sorabicus*, granicę któréj strzeżenie powierzył czujności swoich hrabiów i margrabiów. Główne miasta na téj linii pogranicznéj służyły za punkta środkowe handlu wymiennego między Germanami i Słowianami, ale zarazem służą za ciekawą wskazówkę, jak daleko na zachód posunęło się pierwotne osiedlenie Słowian. Wymienimy tylko Lorch nad Anizą, dzisiejszą rzeką graniczną między Górną i Dolną Austryą, Ratysbonę, Bremberg (niedaleko od Norymbergi), Forchheim, Bamberg, Erfurt, Naumburg, Merseburg, Magdeburg etc.

Niemcy chętnie nazywają późniéjszy swój *Drang nach Osten* w ziemie Słowian odzyskaniem (*Wiedereroberung*) straconego kraju. Nie wiadomo jednak z jakiéj racyi. Słowianie wprawdzie przeszli bardzo późno od trybu życia koczowniczego do osiadłego. Istnieje prawdopodobieństwo, iż Polska, Szlązk, Czechy i Morawy były poprzednio osiedlone przez Germanów. Co do Marchii, Łużyc, Górnéj Saksonii—prawie pewność (Swewowie i Hermundurowie). Wszakże żadnych śladów wyraźnych kultury germańskiéj, wcześniejszéj aniżeli słowiańska, nigdzie nie znajdujemy. Podobnież Panonię, Dacyę i Mezyę zamieszkiwali przedtém Rzymianie i prowincyały. A mimo to wszędzie w Serbii, Kroacyi, Bośnii i Dalmacyi spotykamy w stosunkach agrarnych typ oryginalny — czysto-słowiański pod nazwą spółki domowéj, czyli zadrugi.

Podstawą bytu pierwotnego u Słowian południowych, podobnie jak u Celtów, było komunistyczne współpożycie. Różnica polega tylko na tém, iż związek ten rozciągał się nie na większe i dłużéj trwające grupy domowników, jakiemi były klany, tylko na pojedyńcze rodziny. Pokrewne grupy rodzin zajmowały u Słowian nieraz większe obwody, od 50 do 100 mil kw. Ale organizacyi mocnéj między nimi brakowało. Czasem łączyły się one pod jedną patryarchalno-autokratyczną władzą, czasem rozpadały się na demokratyczne i niezależne od siebie cząstki. Pokrewne rodziny tworzą bractwa, pokrewne bractwa — plemię, kierowane przez naczelników rodzin. Dlatego obwód ziemi, zamieszkały przez jedną rodzinę, nazywa się żupą, a naczelnik jego żupan (pokrewny wyraz kroacki *ban*, węgierski *ispan*, niemiecki *gespann*). Ziemia przynależna do jednéj spółki domowéj nie dzieli się, lecz uchodzi za własność wspólną. Niema żadnego losowania udziałów, jak u Germanów, tylko uprawa jest wspólną pod kierunkiem ojca rodziny (żupana, inaczéj glavara).

Pojedyńczy członkowie uważają ziemię za wspólną własność dziedziczną. Władza przechodzi niekoniecznie z ojca na syna. Naczelnik spółki domowéj mógł ją przekazać najzdolniejszemu członkowi rodziny, albo téż głowa rodziny bywa obieralna. Cała rodzina mieszka w jednym wielkim domu. W lecie żonaci mieszkają także w mniejszych przybudówkach, które wraz ze stajniami i szopami otaczają dom wspólny. W zimie całe życie zadrugi koncentruje się w głównym budynku. Z rozmnożeniem się liczby rodzin do 8, 10 zazwyczaj następuje oddzielenie się nowéj zadrugi od rodzinnego pnia. Ziemia ulega podziałowi. Uskutecznia się on na podstawie pewnéj fikcyi prawno-zwyczajowéj. Przyjmuje się w zasadzie, iż wszyscy synowie założyciela (zwykle dziada) żyją jeszcze. Następuje

przeto podział, odpowiedni nie do istotnéj liczby członków uprawnionych do ziemi, tylko fikcyjnéj. Pola uprawne i łąki podlegają rozlosowaniu, lasy i pastwiska służą i nadal jako własność wspólna. Tą drogą ziemia, należąca do jednéj zadrugi, coraz bardziéj rozdrabniała się i zmniejszała, chociaż sama instytucya pierwotna przetrwała do dzisiejszego dnia.

W zadrudze chcą niektórzy upatrywać stadyum komunizmu pierwotnego, wspólnego wszystkim plemionom i społeczeństwom ludzkim. W rzeczywistości komunizm zadrugi ma charakter bardziéj rodzinny, jak ekonomiczny. W każdéj rodzinie widzimy do pewnego wieku dzieci wspólne używanie bogactw i wspólność pracy. Żadnéj analogii między zadrugą a komunistyczną formą bytu innych plemion, jak w Indyach, na Kaukazie etc., niema. Podobnież z wielko-ruskim mirem zadruga nie ma żadnego pokrewieństwa. Te ostatnie formy komunistycznego współżycia powstały przeważnie na tle podatkowém fiskalném, a nie ekonomiczném.

Najwięcéj bałamuctw naukowych rozmnożyło się co do pojęcia wielko-ruskiego miru.

Mir oznacza korporacyę osób, w któréj każda głowa męska ma równe prawo do ziemi. Część gruntu miru, czyli gromady, przeznaczona jest każdemu członkowi nie na własność prywatną, lecz do użytku czasowego gospodarczego. Członkowie gminy nie są krewniakami, lecz do uwłaszczenia chłopów (1861) byli przyjmowani lub wyrzucani na rozkaz pana. Zresztą wszyscy odpowiadają solidarnie za siebie co do uszkodzeń i obowiązków czy to publicznych, czy to jak dawniéj pańszczyznianych. Znajdujemy jeszcze w mirze peryodyczny podział ziemi, w spółce domowéj południowych Słowian wcale nie znany. W zadrudze dokonywa się podział ziemi tylko w razie potrzeby utworzenia nowéj zadrugi. W [mirze każda nowa generacya ma prawo domagania się podziału gruntu i obdarzenia jéj równym udziałem w ziemi.

Wyraz „mir" oznacza ogół, gromadę. Dla ustroju gminnego język rosyjski ma inną nazwę *obszczyna.* Dopiero w literaturze całkiem niesłusznie przeniesiono na wyraz *mir* pojęcie „gmina". Tymczasem ustrój ten nie jest ani gminowładnym w duchu prasłowiańskim, ani pierwotnym. Początki miru datują się dopiero od XVII w. Pierwotny ustrój agrarny w Wielkorosyi, o ile się da skréślić na podstawie latopisów i „Ruskiéj Prawdy", zna tylko ludność wolną, sług i niewolników. Z większych nadań ziemi tworzy się bojarstwo, podczas gdy niższe warstwy schodzą powoli na stopień czarnego ludu (ludje, ziemianie, smerdowie). Ziemia niezajęta pod uprawę pod-

padła pod władzę księcia. Na własności pańskiéj w średnich wiekach osiedlali się czynszownicy, czy to z wolnych, czy z niewolników rekrutujący się, ale sądownictwo w bardzo tylko rzadkich wypadkach należało do pana. Od słynnego ukazu za panowania Iwana Fiodorowicza (1597), przytwierdzającego chłopów do ziemi, następuje niewola pańszczyźniana chłopów w Rosyi. Poddanych (dusze) sprzedawano i kupowano z ziemią lub bez niéj. Pogłówne nałożone na chłopów i podatek rekrutacyjny od Piotra W. (1718) zamknęły ten okres doniosłych zarządzeń, które wywołały przekształcenie ustroju agrarnego w Rosyi.

Pan odpowiadał wobec państwa za podatek płacony od chłopów, równocześnie cały ten ciężar odpowiedzialności zwalał na gromadę, która solidarnie musiała nieść ciężary za każdego i za wszystkich. Tak drogą ucisku fiskalnego i systemu podatkowego powstał ustrój wsi zwany mirem. Mamy dowody, iż system ten agrarny przyszczepiano sztucznie w interesie podatkowym. Tak Piotr W. około 50 tysięcy odnodworców, wolnych drobnych włościan, osadzonych przez poprzednich książąt, zmienił w chłopów rządowych i nadał im organizacyę mirową. Podobnież Katarzyna II rozciągnęła ten ustrój na 1½ miliona kozaków małoruskich, pozbawiwszy ich swobody. W północnych guberniach wsie zorganizowane na podstawach miru datują się dopiéro od początku bieżącego stulecia.

Mir jest więc instytucyą agrarną nie pierwotną ludową, lecz czysto nowożytną, powstałą na tle stosunków pańszczyźnianych, mniejsza o to czy w dobrach koronnych, państwowych, czy kościelnych lub prywatnych. Komunistycznéj uprawy ziemi i komunistycznego użytkowania plonów nie było w nim nigdy. Zresztą i solidarność członków miru opiera się nie na żadnym względzie ekonomicznym lub rodowym, tylko czysto fiskalnym. Ten wzgląd (podatek od duszy, system dostarczenia rekruta) wywołał przeobrażenie dawnego ustroju agrarnego i powołał do życia nową instytucyę, mir.

Wiadomości nasze o najdawniejszych stosunkach agrarnych i społecznych u Słowian północnych nie godzą się ze stosunkami u Słowian południowych. Dotychczas zbadano ich formy osiedlenia. Tak u Serbów łużyckich spotykamy wsie okrągłe (*Runddörfer*), jako typ osiedlenia. Wszystkie domy otaczają okrągły plac, do którego pierwotnie prowadziła tylko jedna ulica. Ogrody przytykające do dworów rozszerzały się na zewnątrz nakształt klina. Całą wieś opasywał wreszcie płot. Odrazu rzuca się w oczy charakter obronny takiéj wsi, i ten cel a nie inny spowodował zapewne tę formę osiedlenia. Na dowód można przytoczyć, iż wieś okrągła najczęściéj

spotyka się na krańcach dawnego obszaru słowiańskiego, a więc w kraju Wendów, na Szlązku już jednak spotyka się tylko sporadycznie. Gdy między Elbą a Odrą przeważa wieś okrągła, na wschód od Odry najpospolitszym typem wsi jest wieś uliczna *(Strassendorf)*.

Prosta i stosunkowo krótka ulica biegnie środkiem wsi. P obydwóch stronach jéj położone są domy wraz z ogródkami i polami, rozchodzącemi się pod kątem prostym do ulicy. Ulica jest tak szeroka, iż zazwyczaj z prawéj i lewéj strony biegnie ślad kolei wozowych. W środku powstaje przestrzeń wolna, nieraz obracana pod budowę kościoła. Zagrody składają się z domu mieszkalnego, szczytem zwróconego do ulicy, i zabudowań gospodarczych, otaczających podwórze, z którego wrota wychodzą wprost na ulicę. Za budynkami położone są ogrody, kończące się płotami, które zamykają całą wieś w formie równoległoboku. Obok głównéj ulicy często przecinają jeszcze poprzeczne.

Dotychczas nie udało się wytłómaczyć przejścia od bytu koczowniczego do osiadłego u Słowian północnych. Związek wsi okrągłéj z zadrugą, jeżeli jaki istniał, nie podpada dziś w oko. Rozkład pól we wsi okrągłéj jest planowym, wydaje się powstałym z osiedlenia jednoczesnego 8, 6, przynajmniéj 4 ojców rodzin. Jeżeli zadruga istniała u Słowian północnych, to w każdym razie wsie okrągłe powstały z połączenia kilku spółek domowych. Nazwa „żupan" naczelnika zadrugi dochowała się i u Słowian północnych. W Czechach, na Morawii i na Szlązku występują żupani i włódarze (*suparii ac vlodarii*), są to książęcy funkcyonaryusze niższego rzędu. Jedno źródło, dotyczące miejscowości Lautenberg pod Hallą w Marchii wschodniéj, z r. 1181 wyraźnie tłómaczy nazwę „żupan". jako starszyznę wiejską (*seniores villarum, quos lingua sua supanos vocant*). W Miśnii w XIV w. było 210 wsi, z których połowa znajdowała się pod władzą 15 żupanów. Reszta miała naczelnikow, t. zw. *withasii*.

Przywilej dla klasztoru Kaltenbrunnen pod Sangerhausen z r. 1122 wymienia, jako kategorye ludności wieśniaczéj, *eldesten*, *knechte*, *smurde*, *lazze*, *heyen*. Nazwa *eldesten* (szlachetni) odnosiła się zapewne do żupanów, *knechtę* do *withasii*. Stali oni, jako warstwa pierwotna szlachecka, spadła na stopień poddaństwa skutkiem podboju, wyżéj od zwykłych chłopów (*smurden*, *lazzen*, *heyen*). Płacili czynsz i nieśli służbę rycerską. Stawali na rokach sądowych (*landdingen*) i to nie tylko w charakterze świadków, ale i sędziów-ławników (*schöffen*). Zwycięzcy pozostawili im prawo dziedziczne do ziemi (*Eldestenwet*). Takim sposobem, żupanie zagarnęliby wcześniéj prawo do ziemi poprzednio komunalnéj. W każdym razie ogromnie ści-

sły i regularny podział pól wskazuje na silną władzę, prawdopodobnie patryarchalną, żupanów, pod kierunkiem któréj dokonało się przeobrażenie zadrugi w wieś okrągłą.

Z opisu ziem słowiańskich z IX w., którego autorem jest nieznany bliżéj mnich bawarski, żyjący w Ratysbonie (866—890), wiemy, iż rozpadały się one na obwody (*civitates*). W każdym znajdował się gród, miejsce obronne dla ludności na wypadek najścia nieprzyjaciół. Najgęstszy podział na obwody, a tém samém najliczniejszy zastęp grodów spotykamy w ziemiach pogranicznych Słowian, zwłaszcza od strony ich zachodnich sąsiadów, Germanów. Tak, gdy w kraju Wendów przeciętnie jeden gród wypada na 2—3$^1/_2$ mil kw., wewnątrz obszaru zamieszkałego przez Słowian jeden gród przypada na 7—10 mil kw. Co do Polski specyalnie brakuje danych szczegółowych.

Te obwody (po łacinie *civitates*) zostawały pod zwierzchnictwem wojewodów. Przykłady takiego rozmnożenia się spółek domowych w cały szereg pod kierunkiem jednego wojewody jeszcze dziś spotykają się u Słowian południowych. Vuk Karadzić w r. 1858 opisał szczep Wasojewici w Czarnogórzu. Mieszka on w 38 wsiach, a składa się z 1,400 spółek domowych, liczących każda po 40 do 50 dusz (blizko 8 par małżeństw), pod zwierzchnictwem najstarszego ojca rodziny — wojewody.

U Słowian wschodnich grody były również gęsto rozsiane, jak i u Słowian zachodnich—jeden wypada na obszar 4 mil kw. Zresztą słowianie nie wynieśli swoich poglądów gospodarczych, jak Germanie, z jednego miejsca i nie przyszczepiali go gdzieindziéj wraz z wędrówką. Czasy osiedlenia Słowian były nazbyt burzliwe i niespokojne. Wydaje się jakoby powstały niejedna, lecz wiele form osiedlenia u Słowian. Tak obok nazw wsi patronimicznych, które się odnoszą zapewne do wsi powstałych ze spółek domowych (Radwanowice, Damnowice etc.), występują nazwy z zakończeniami dzierżawczemi na *ów* i na *in*. Na Małéj Rusi wszędzie własność ziemska pierwotne ma formy jednodworowe, które dadzą się odnieść do założycieli, pojedyńczych osób.

„Ruska Prawda“ i Nestor nie znają innych stosunków rolnych, jak pojedyńcze dwory, w których mieszkają wolni, niezależni od siebie na własnym gruncie chłopi (ogniszczanie od ogniszcze — ognisko domowe). Dopiéro z najazdem Waregów występują wolni i poddani.

Cały obraz pierwotnego osiedlenia ludów Europy, wyłączając kraje o kulturze starożytnéj, grecko-rzymskiéj, da się przynajmniéj w głównych rysach uogólnić. Wszędzie osiedlenie było przejściem od bytu koczowniczego, pasterskiego, do bytu rolniczego. Spowodował je kryzys ekonomiczny skutkiem przeludnienia i braku pastwisk dla bydła. Rolnictwo jest po części zajęciem i nomadów. Tak u dzisiejszych Kirgizów spotykamy uprawę ziemi przy pomocy sług. Beduini muszą téż uprawiać jęczmień. Nawet już w późniejszém życiu osiadłém pasterstwo, chów bydła długi czas utrzymuje się na stanowisku głównéj gałęzi gospodarstwa. Germańskie marki wskazują nam na ów rodzaj kompromisu, zawartego między częścią ludności osiadłą a koczującą.

Wszędzie ustrój agrarny był odbiciem poprzedniego bytu koczowniczego. Z jakiemi pojęciami gospodarczemi a poniekąd prawno-społecznemi koczownicy przystępowali do uprawy ziemi, takie same odzwierciadliły się w ich pierwotnym ustroju agrarnym, w sposobie zajęcia i uprawy ziemi. Tak wsie germańskie (*Gewanndörfer)* powstały na zasadzie równych praw wszystkich towarzyszy, czyli członków setki, do całéj ziemi zajętéj pod uprawę. Podobnież jednodworowy system gospodarstwa Celtów był zamianą dotychczasowego współżycia wszystkich członków jednego klanu we wspólnym domu na współżycie tegoż klanu w obrębie pewnego terytoryum (*townland*), podzielonego na części pojedyńczych rodzin (*tate*). Wreszcie ustrój agrarny Słowian południowych był komunistycznem współżyciem wszystkich członków jednéj rodziny zazwyczaj do trzeciego pokolenia pod silną władzą patryarchalną naczelników rodu (żupanów).

Wszędzie rdzeń ludności pierwotnie osiadłéj stanowią wolni, równouprawnieni towarzysze. Nie przeszkadza to istnieniu pewnego zróżniczkowania społecznego czasem według stopnia zamożności, czasem według zasług osobistych, lub znaczenia przodków. Istnieje również władza zwierzchnicza, naczelna, mniéj lub więcéj silna, podobnie jak i tworzą się związki między pojedyńczemi grupami społecznymi, czy to są setki, klany, czy téż rody.

Charakterystyczne cechy własności pierwotnéj sprowadzają się do własności wspólnéj, czy to wsi, czy to klanów. Pojęcie własności indywidualnéj wytwarza się ze współuprawnienia wszystkich do pewnéj części ziemi, zajętéj przez cały ogół. Przytém udział każdego w ziemi może być pojmowanym zarówno w znaczeniu realném, naprzykład u Celtów, jakotéż i idealném (łan u Germanów). Jedynie w zadrudze nie widzimy udziałów pojedyńczych członków, tylko wspólne używanie całego rodu. Tłómaczy się to silnym węzłem ro-

dzinnym, jakim są związani wszyscy członkowie zadrugi. Natomiast dalszy rozwój zadrugi wskazuje na niezmiernie charakterystyczne oddzielanie się coraz nowych spółek domowych od macierzystego pnia.

Rzućmy okiem na dalszy proces tworzenia się młodych społeczeństw na zachodzie. System podatkowy i administracyjny Rzymian oddziałał głęboko na ustrój agrarno-społeczny w obrębie osiedlenia Celtów. Stworzył on olbrzymi przedział między warstwą dekuryonów i urzędników rzymskich a drobnych właścicieli i dzierżawców. Najście Germanów stworzyło w dodatku różnicę między ludnością dawno podbitą a nową zdobywczą.

Tak więc w chwili rozkładu i upadku cesarstwa rzymskiego znajdujemy wszędzie, gdzie tylko rozszerzał się jego wpływ, ludność dawną wolną w upadku i coraz bardziéj pogrążającą się w przepaść zależności prawnéj i ekonomicznéj od nielicznéj warstwy wielkich właścicieli.

Rozwój wielkiéj własności z nadań i systemu lennego wieków średnich oddziaływują zasadniczo na ustrój społeczny. Przedewszystkiem pojęcie wolności osobistéj zaciemnia się. Naprzód *imunitety*, powstałe jeszcze za czasów cesarstwa rzymskiego, przeszły od niego w spadku do państwa frankońskiego. Wolność była pojmowana w tych czasach bardziéj ze stanowiska rzeczowego, jako wolność od pewnych ciężarów, podatków, aniżeli ze stanowiska abstrakcyjnego, jak dzisiaj. Ludność przeto, niosąca ciężary, była z natury rzeczy mniéj wolna, aniżeli uprzywilejowana warstwa. Władza panów zarówno sądownicza, jak i administracyjna, rozszerzyła się z czasem nad całą ludnością, nie tylko niewolną ale wolną, na wzór stosunków dawnych w cesarstwie, gdzie także tylko sprawy główne podpadały kompetencyi sądów państwowych, reszta pomniejszych należała do właściciela albo jego zastępcy (*procurator*, *judex privatus*). System komendacyi, jaki istniał u Gallów, wciąż się potęgował. Kościołowi oddawano się w opiekę wraz z ziemią dla zbawienia duszy. Zresztą inne powody, jak brak bezpieczeństwa, długi, ciężary wojenne, zmuszały do zrzeczenia się wolności i praw do ziemi nawet na rzecz świeckich panów. Za czasów Karolingów (847 r.) istniał już przymus, aby każdy wolny miał nad sobą seniora. I naodwrót wielu mogło otrzymywać ziemię od panów, nie tracąc wolności. W północnéj Francyi bardzo jest rozpowszechniona kategorya gości (*hospites*). Byli to wolni, którzy obejmowali ziemię w dzierżawę na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu. Spotykamy łany wolne (*mansi ingenuiles*), czyli uprawiane przez wolnych na ziemi pańskiéj. Zabytki prawne rozróżniają pod względem wysokości winy (*Wehrgeld*) aż trzy kate-

gorye wolnych: *minofledi* (160 solidów), *mediani* (200) i *primi* albo *meliorissimi* (240). Zresztą na gruncie romańskim pozostały się jeszcze zabytki staro-rzymskich kolonów, letów—wreszcie niewolnicy.

I na gruncie staro-niemieckiego osiedlenia (*Volksland*) wielka własność uczyniła wyłom w stosunkach społecznych. Za nadaniami na rzecz kościoła poszły nadania na rzecz osób świeckich — tudzież imunitety. Na gruncie wielkiéj własności powstały wsie zakładane przez panów, pojedyńcze dwory i t. zw. wole (*Weiler*). Jest to kolonizacya wewnętrzna. Nie była ona zbyt silną w Niemczech. Pan wolał lasy zachować dla siebie, korzystając z prawa polowania. Wsie nowo zakładane wszędzie składały się z czynszowników lub dzierżawców, którym pan oddawał do uprawy ziemię pod kierunkiem włodarza (*vilicus*). Bardzo mały obszar ziemi zostawał do samodzielnéj uprawy na rachunek pana. Gospodarstwo folwarczne pod kierunkiem wójta (*Meier*) spotykamy już bardzo wcześnie. Już w czasach Karolingów wolni poddani byli zobowiązani do pewnych robót na rzecz pana—posługi czy to konnéj, czy ręcznéj. Przypisanych używano do niéj bez ograniczeń. Ale w XII i XIII w. następuje prawie zupełne przejście od uprawy ziemi na rzecz pana do uprawy chłopskiéj. Powody łatwo dają się wytłómaczyć: mały dochód a nader trudna samoistna uprawa wielu rozproszonych folwarków. Wypuszczano więc ziemię w dzierżawę włódarzowi, który ją rozdzielał między włościan. Dzierżawa zmieniła się późniéj na czynsz. Czynszowe gospodarstwo spowodowało rozkwit zamożności chłopów, którego szczyt przypada na wiek XIV i XV. Zależało to w części od psucia się monety (od r. 1400), wobec którego wartość czynszu przedtém ustalona, ogromnie się obniżyła, w części i od upadku cen zboża, który nie dotykał przeważnie włościan, jako producentów i zarazem konsumentów, tylko panów, odbierających część czynszu w naturze.

Jednocześnie więc z wzrostem zamożności włościan, idzie w parze upadek i zubożenie szlachty (rycerstwa), rujnującéj się na życie wystawne i rozrastającéj się na liczne gałęzie, rody.

Z początkiem XVI w. poczyna się olbrzymi przełom w stosunkach agrarnych europejskich. Dokonywa się on równocześnie z tworzeniem się monarchii nowożytnych i powstawaniem gospodarki kapitalistycznéj. Odtąd dopiéro datuje się wyraźnie to, co nazywamy wielką własnością lub obszarem dworskim. Dotychczasowa własność ziemska panów oddziaływała bardzo nieznacznie na stosunki agrarne. Czy to na małéj, czy na wielkiéj własności, nie było prawie innego gospodarstwa, jak tylko chłopskie. Nowy zwrot w stosunkach

agrarnych polegał na przejściu właścicieli wielkich obszarów do samoistnéj uprawy. Pociagnęło to za sobą system pańszczyźniany. Był to środek jedyny eksploatacyi ziemi na wielką skalę. Dopiéro w najnowszych czasach wielka własność chwyciła się wydoskonalonych środków technicznych, ulepszeń i wynalazków. Za czém przyszło i uwolnienie włościan z zależności pańszczyźnianéj. Ale rdzeń kwestyi agrarnéj pozostał i dotychczas w walce wielkiéj własności rolnéj z drobną. Jakim będzie wynik téj walki, jest to problemat, wiążący się z całą kwestyą socyalną dzisiejszéj doby.

Adam Szelągowski.



WŁASNOŚĆ UKAZOWA

włościańska

w gub. Kowieńskiéj.

I.

Badając od lat kilku życie ludu litewskiego, a przeważnie jego prawne pojęcia, zwyczaje i obyczaje, zebrałem nieco materyałów, dotyczących własności ziemskiéj włościańskiéj, która podlega prawom wyjątkowym, nie zaś ogólno-cywilnym; mówię tu o t. zw. własności ukazowéj, t. j. o gruntach nadanych włościanom z mocy praw z r. 1861 i późniejszych. Początki tej własności, zarówno jak i praw ją określających, kryją się w mrokach przeszłości; nie jest to własność w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, w ścisłém t. j. kwiryckiem, albowiem nie jest ona ściśle osobistą, nie zna téż prawa nadużycia, *jus abutendi*.

Sądzę, że nie od rzeczy będzie skréślić tu kilka słów o uprzednich formach władania ziemią; niewiele, co prawda, o tém wiemy, ale to, co wiemy, wiemy stanowczo, że własność ziemska była zbiorową, rodową, którą rozporządzał dowolnie naczelnik rodu. Przeżytkiem tego

stanu rzeczy są litewskie spólnoty rodzinne, zanikające już bardzo szybko, ale dotąd jeszcze spotykane, przeważnie na pograniczu Kurlandzkiém [1]), oraz inne zwyczaje i obyczaje ludowe, o których będzie wzmianka potém; dowodem tego stanu rzeczy są téż pastwiska wspólne. Nie trzeba jednak uważać za przeżytki rodowego władania ziemią t. zw. „puszcz powiatowych“ (*karalgiris* po litewsku), albowiem były to nadania królewskie całéj szlachcie ówczesnych małych powiatów żmudzkich z prawem „ciąć, kosić i pasać‘, ale nie orać; jedna z nich ocalała dotąd, jako grunt prawnie do nikogo nie należący, jako *res nullius*. Ale tu najlepiéj zrobię, gdy przytoczę słowa p. Dowojny-Sylwestrowicza, znanego badacza przeszłości i etnografii litewskich: „Szlachta żmudzka najwięcéj jest liczną w okolicach Laudy pod Bejsagołą i pomiędzy ujściami rzek Dubissy i Niewiaży do Niemna w południowo wschodniéj Żmudzi. Najwięcéj rozsiedliła się ona w tych miejscowościach, gdzie były szlachcie za zasługi wojenne nadane przez królów ziemie całemi milami kwadratowemi, nazwane „puszczami powiatowemi“ (*karalgiris*) dla wspólnego użytku z lasów, łąk i paszy. Przygraniczająca do tych wspólności szlachta zabierała stopniowo grunty wspólne na swój wyłączny użytek, tak iż terytoryum wspólne coraz się zmniejszało i zmniejsza. Z ogromnéj przestrzeni „szlacheckiéj puszczy powiatowéj wilkijskiéj“, czyli krócéj „powiatówki“, pozostało obecnie 90 włók pomiędzy Czekiszkami, Jaswojnami i Wilkiją, porosłych chróstem, ponieważ cała okoliczna szlachta ma prawo cięcia i z tego powodu las nie może zarosnąć. O ile wiemy ze starych dokumentów miejscowych, to prawie wszystkie „okolice szlacheckie“, pobudowane pomiędzy Dubissą a Niewiażą wzdłuż Niemna, stoją na ziemi, która była dawniéj własnością całego powiatu wilkijskiego, na południe od Czekiszek i Jaswoju...

Dla pamięci potomności i badaczów muszę téż nadmienić, że tak nazwana „puszcza szlachecka powiatu ejragolskiego“, czyli „powiatówka ejragolska“, leżała po prawéj stronie rzeki Dubissy, gdzie obecnie rozciągają się posiadłości pp. Burbów i okoliczne wsie, więcéj jak o milę na północ od Niemna. Sam pamiętam, jak tam szlachta korzystała ze wspólnych gruntów przed dwudziestu kilku laty, podobnie jak i w innych „powiatówkach“, gdzie niewolno było orać, tylko ciąć, paść i kosić. Dziś jest to w ręku zamożniejszych jednostek. Nawet w obecnych czasach powstało wielu magnatów z przywłaszczenia wspólnych gruntów, tak np. z „powiatówki wilkijskiéj“

---

[1]) „Wisła“ r 1895, zesz. I, str. 1.

przodek najpierwszego dzisiejszego magnata, ze szlachcica zagrodowego, stał się panem. Do wszystkiego trzeba zręczności“. [1])

Znowu pastwiska nie można nazwać własnością wspólną: grunty i lasy na nich rosnące stanowczo należą do właścicieli ziemskich, jak to stwierdziły wyroki sądowe, ale włościanie posiadają prawo pasania w nieograniczonéj ilości inwentarza z zastrzeżeniem, że właściciel ziemski nie może zmniejszyć obszaru pastwiska; jest to więc służebność, przeżytek dawnego władania rodowego, który przetrwał do do 1861 r. dzięki istnieniu poddaństwa. Wsie byłych włościan skarbowych na mocy aktów lustracyjnych otrzymały na własność wspólną pastwiska, ale gdzie tylko było można je podzielić, tam włościanie podzielili między sobą; twierdzą, iż tylko wyjątkowo można spotykać wsie, posiadające pastwisko wspólne.

II.

Historycznie lud litewski nie wyrobił i nie mógł wyrobić jasnego określenia prawa własności ziemskiéj, albowiem tak złożyły się okoliczności, śród których upływał jego żywot; już bardzo wcześnie masy ludowe znalazły się w ścisłéj zależności od swoich kunigasów, zwykle naczelników rodów; z biegiem czasu owi kunigasowie przerodzili się w panów i zatracili swą łączność narodową z ludem, ulegając wpływom kultury zachodniéj w szacie polskiéj, przesiąkłéj pojęciami kwiryckiemi o własności. Lud trzymał się uporczywie pojęć tradycyjnych; w dawném księstwie Żmudzkiém było dużo królewszczyzn i starostw, których włościanie nie byli zupełnie pozbawieni opieki prawnéj, bo zawsze mogli odwołać się do asesoryi wielkiego księstwa Litewskiego. Zresztą zwykle nawet właściciele ziemscy tolerowali dawne zwyczaje i obyczaje, odnoszące się do władania i uprawy gruntów; wiemy np. dobrze, że ks. Ireneusz Ogiński nigdy nie rozstrzygał żadnéj sprawy bez udziału 12 włościan leciwych, wybranych przez gromadę. Robili to i inni. W ten bodaj sposób można wytłómaczyć sobie, dlaczego prastare pojęcie o rodowéj własności ziemskiéj utrzymało się

[1]) „Wisła“ 1888 r. zesz. II str. 155—156. Dodam: przed 2—3 laty próbowano przywłaszczyć pozostałą część puszczy wilkijskiéj; pewien adwokat w Kownie skupił od kilku szlachciców-właścicieli ich prawa i złożył podanie do sądu okręgowego w Kownie, żądając naznaczenia podziałów gruntu. Sąd przychylił się do tego żądania, ale izba sądowa w Wilnie wyrok zniosła, wskazując konieczność stosowania do tej sprawy statutu litewskiego.

aż do r. 1861, gdy je uświęcił 81 art. miejscowéj ustawy o uwłaszczeniu włościan, stanowiąc, że grunty nadane są całym rodzinom, nie zaś ich zwierzchnikom, na których imię zostały zapisane. Późniejsza praktyka sądowo-administracyjna pojęcie rodziny określiła tak: do rodziny należą ci wszyscy, którzy są zapisani na jednéj wspólnéj liście rodzinnéj (*posiemiejnyj spisok*). Zaznaczam, że śród ludu niema stałych jasnych, a określonych pojęć o własności ziemskiéj rodowéj i rozmaitych stosunków, uwarunkowanych nią; dodam, że stare zwyczaje i obyczaje prawne a nowe przepisy prawne, pozostające z niemi w rażącéj sprzeczności, oddziaływają wzajemnie na siebie; jest to główne źródło kłótni, waśni, bijatyk, procesów cywilnych, często połączonych z przejednywaniem świadków, podkupywaniem ich, a nawet niekiedy krzywoprzysięstwem, niekiedy zaś kryminałami. Oto, co o tém pisze urzędowy Pamiętnik gub. Kowieńskiéj na 1898 r. w artykule „Powiat Poniewiezki“ na str. 113—114: „Wedle przyjętego przez nas programu opisów powiatów gub. kowieńskiéj, rozpoczynamy od stosunków majątkowo agrarnych włościan poniewiezkich. Na tym gruncie powstaje najwięcéj spraw włościańskich, rozstrzyganych w różnych instancyach sądowych; z powodu nieustalonych pojęć o własności osobistéj i rodowéj i niekiedy z trudem określanych praw na jedną lub drugą, powstaje masa kłopotów w życiu włościan, masa kłótni, sporów i nieporozumień, doprowadzających niekiedy do ostateczności stosunki wzajemne nietylko pomiędzy mieszkańcami jednéj wsi, ale nawet bardzo często — pomiędzy członkami jednéj a téj saméj rodziny. Na tym gruncie śród ludu wyrastają wzajemne niezadowolenia, nienawiść, zazdrość, zniewagi, przestępstwa karne i kryminały; najczęściéj włościanie plączą pojęcia prawa zwyczajowego z pojęciami prawa pisanego o podziale gruntów“. Ostatni frazes autora wymaga kilku słów wyjaśnienia: rzecz w tém, że prawne pojęcia, zwyczaje i obyczaje ludu, uznając własność rodową, ześrodkowują prawo dowolnego rozporządzenia nią w ręku zwierzchnika, stawiając współwłaścicieli w położenie robotników zwykłych, np. jeśli bracia władają razem gruntem, to najstarszy jest panem i gospodarzem, młodsi zaś—tylko robotnikami, obowiązanymi słuchać ślepo jego rozkazów; oprócz tego prawne pojęcia ludu znają dowolny podział własności rodowéj w razie żądania i zgody współwłaścicieli wszystkich. Prawo pisane, miejscowa ustawa o uwłaszczeniu włościan dozwala podziałów, ale tylko w tych razach, gdy działki nie są mniejsze od 10 dzies.; ten zresztą przepis prawny już od lat kilku pozostaje literą martwą, bo instytucye administracyjne i sądy starają się w téj kwestyi stosować zasady wielkorosyj-

skiego prawa zwyczajowego, znającego wspólne władanie i użytkowanie (*sowmiestnoje władienje i polzowanje*), czego lud litewski nie znał nigdy i nie zna dziś... przynajmniéj włościanie rolni. W czasach ostatnich praktyka sądowo-administracyjna sprzyja amatorom wspólnego władania i użytkowania; w razie sporów o grunty, sądy skazują zawsze na nie, ale włościanie ostatecznie zawsze podzielą grunty, choć faktycznie, ale nie prawnie; niekiedy jednak, by zapewnić ten podział, zawierają umowę regentalną, w któréj szczegółowo wymienia się, kto, jak i z jakiego kawałka gruntu ma korzystać; spełnienie umowy zabezpiecza się w sposób różny, np. zobowiązaniem się wypłacenia *vadium*, złożeniem kaucyi, wekslami i t. d. W ten sposób osada prawnie nie jest podzieloną, ale faktycznie dawno; ta okoliczność znacznie obniża wartość danych urzędowych, bo w nich często osady faktycznie podzielone figurują, jako niepodzielne, zwłaszcza to ostatnie stosuje się do osad, przenoszących 20 dzies.

Teraz można już nieco pomówić o pojęciach ludu o własności. Przedewszystkiém muszę tu zaznaczyć, że wedle pojęć ludu litewskiego, podzielanych wogóle i przez ludy inne, tylko praca stwarza własność; jest to pojęcie zasadnicze, stosowane do wszystkich objektów własności. Nawet ziemia o tyle może stać się własnością o ile zużyto na nią pracy ludzkiéj; włościanie prawo swoje do gruntów uprawianych uzasadniali zawsze tém, że sami oni, a zarówno ich przodkowie, zraszali je potem i krwią własną. Pojęcie to nie jest obcém nawet szlachcie zagonowéj, nawet przeciętnym właścicielom ziemskim: w miejscowéj polszczyźnie istnieje wyraz „zasiedziałość”, oznaczający prawa długoletniego dzierżawcy do gruntów uprawianych przezeń.

Najwyraźniéj to pojęcie wystąpiło w roku 1887, gdy przed powiatowemi urzędami do spraw czynszowych stawali osobiście długoletni dzierżawcy i na tę okoliczność tudzież własną pracę nad rolą powoływali się, jako na powody przyznania im praw czynszowników [1]); zjawisko to powtarza się często, albowiem często można słyszéć, że długoletni drobny dzierżawca swój opór przeciwko eksmisyi tłómaczy zasiedziałością. Że tylko praca stwarza własność, dowodem może służyć, że to wszystko, co istnieje bez pracy ludz-

---

[1]) Wedle danych urzędowych 4027 osób zażądało przyznania im praw czynszowników na mocy zasiedziałości, ale przyznano tylko 58, którzy swe prawa udowodnili, t. j. udowodnili stałość i wieczystość czynszu.

kiéj, stanowi własność Bożą, z której każdy może korzystać dowolnie, np. jagody, orzechy leśne, grzyby, zioła lekarskie i pożywne (szczaw), ryby i raki stanowią własność wspólną. Zakazy zbierania jagód, orzechów i grzybów oraz szczawiu—ogromnie oburzają lud, to téż zwykle nawet dwory patrzą przez palce na to, by uniknąć zatargów niemiłych. Zresztą wedle zwyczaju, kobiety zbiérające w lasach dworskich jagody, orzechy i grzyby zwykle przynoszą do dworu część owoców swéj pracy. Inna rzecz sztucznie zarybione stawy lub jeziora: samowolny połów ryb w nich uważany jest przez lud za jedną z najhaniebniejszych form kradzieży, jak i przywłaszczenie zwierząt zbłąkanych. Prawo własności na lasy lud uznaje, ale mniema, że nie można mu bronić korzystania z drzew obalonych, gałęzi suchych, liści i mchu; ten zwyczaj stosuje się tylko do lasów, w których prawidłowe gospodarstwo leśne nie prowadzi się. W powiecie rosieńskim pewien właściciel ziemski zasadził borek sosnowy, którego pilnował jak źrenicy oka; okoliczni włościanie porobili w nim szkody znaczne. Właściciel udał się ze skargą do miejscowego sądu włościańskiego; sąd zjechał na miejsce, skazał winnych na odszkodowanie materyalne i surowo ukarał, by „szanowali pracę ludzką" (sąd gminny Erżwiłkowski 1874 r. l. 29).

Widzimy z tego, że lud nie rozróżnia ściśle prawa własności od prawa władania; rzeczywiście pojęcia, podobne spotykamy dość często śród mas ludowych, nie stojących na wyższych szczeblach uspołecznienia; zresztą trudno wymagać, by lud znał się na subtelnościach prawnych. Lud litewski uznaje prawo dowolnego rozporządzania własnością ziemską, jak i wogóle każdym objektem prawa własnościowego, ale stawi tu zastrzeżenie prastare, stanowiące przeżytek dawno minionéj doby; mianowicie wymaga, by dowolne rozporządzanie własnością nie przynosiło krzywdy nikomu, słowem—lud zna prawo użycia, lecz nie nadużycia. Zdarza się, że gromady w razie skarg wtrącają się w stosunki czysto prywatne marnotrawców i ustanawiają nad nimi opiekę formalną; zwyle to bywa, gdy żona pijaka lub marnotrawcy zażąda tego. Przytaczam tu parę przykładów nader chakterystycznych, albowiem rzucają one jaskrawe światło na pojęcia prawne ludu: żona wniosła skargę do sądu gminnego Bernatowskiego, obwiniając męża o rozpustę, pijaństwo i marnotrawstwo mienia wspólnego. Sąd przychylił się do tego podania, nakazał rozłączenie małżonków, podzielił gospodarstwo, wyznaczył kobiecie trzech opiekunów, a męża uprzedził, by siedział cicho i spokojnie, bo w razie przeciwnym gmina ześle go na Sybir (1876 r. wyr. l. 2); w gminie Puszołackiéj mąż, pijak i rozpustnik, marno-

trawi mienie, chociaż ma dzieci i żonę; ta ostatnia oskarża go. Sąd gminny podzielił gospodarstwo i naznaczył żonie opiekunów, ale w dodatku kazał oćwiczyć męża wraz z jego wspólniczką (1886 r. wyr. l. 30). Jeżeli zwierzchnik rodziny marnotrawi i marnuje mienie, to go często sądy gminne usuwają od zwierzchnictwa, oddając je komu innemu; niekiedy sprawy podobne załatwiają gromady. Wogóle nikt nie ma prawa korzystać tak ze swojéj własności, by to przynosiło krzywdę innemu; w pewnym wypadku sąd gminny kazał zrąbać drzewa, które rzucały cień na zagon sąsiedni, obniżając jego wydajność.

Drobna własność chłopska datuje się nie od dnia wczorajszego, nie od 1861 r.: nawet przed uwłaszczeniem włościan gdzie-niegdzie istnieli drobni właściciele ziemscy, z pośród t. z. ludzi wolnych; gdzieniegdzie téż spotykali się włościanie wyzwoleni przez panów, a obdarowani ziemią. Wszakże drobnych właścicieli włościan była garstka, jeżeli do niéj nawet zaliczymy żydów kolonistów, osadzonych w dobrach skarbowych lub prywatnych. Wszakże ta własność podlegała prawom ogólnym i stanowiła bardzo nieznaczny odsetek ogółu własności ziemskiéj. Reforma 1861 r. zmieniła do gruntu stan rzeczy; rozumie się, nie miejsce tu kréślić dzieje reformy, wszakże nie mogę pominąć zasług Giejsztora, którego projekt oddania dobrowolnie przez szlachtę gruntów, uprawianych przez chłopów, chłopom oraz natychmiastowego zniesienia poddaństwa przez szlachtę znalazł zwolenników i wywarłby skutki nieobliczone w swéj doniosłości, gdyby większość przystała na nie. Wypadki późniejsze zmieniły treść poniekąd i kierunek reformy; zrobiono wszystko, co można było zrobić, by zapewnić ludowi możliwie największe korzyści. Masy ludowe tylko poniekąd skorzystały z téj chęci, bo reforma wywołała takie skutki, które uniemożliwiły częściowo rozwój kultury rolnéj i wytworzyły nieokréśloność stosunków agrarnych, trwającą aż dotąd. Wedle danych urzędowych, zawartych w t. z. „Księdze jubileuszowéj”, [1]) uwłaszczeni włościanie oraz osoby innych kategoryi, wszakże zaliczone do stanu włościańskiego, wogóle otrymali 1,676,099 dzies. czyli około 45,85 % całego terytoryum gub. kowieńskiéj; różne kategorye włościan oraz osób obdarzonych ziemią tak się przedstawiają wedle danych urzędowych:

a) w 1,610 majątkach na mocy 2030 aktów nadawczych 49,166 chat włościańskich otrzymało 801,351 dzies. gruntów, oprócz 57,842

---

[1]) Rozdz. IV, str. 53—79.

dzies. pastwisk wspólnych za 1,147,695,96 rub. opłat indemizacyjnych, czyli o 18,859 chat i 246,444 dzies. ziemi więcéj oraz o 406728,62 rub. opłat indemizacyjnych mniéj, niż się należało według prawa o uwłaszczeniu, czyli inaczéj, komisye weryfikacyjne i późniejsze prawa i rozporządzenia murawjewowskie uwłaszczyły 18,859 chat, nadając 246,444 dzies. ziemi;

b) dotąd nie załatwiono sprawy uwłaszczenia chłopów w 9 majętnościach;

c) byli włościanie państwowi na mocy 4447 aktów nadawczych otrzymali 748,820 dzies. ziemi;

d) żołnierzom dymisyonowanym nadano 61,000 dzies. ziemi;

e) jednowiercom i starowiercom w liczbie 166 chat nadano 4,524 dzies. gruntów, oprócz 106 dzies. pastwisk wspólnych;

f) 3,448 chat wolnych ludzi zgodziło się wykupić swe grunty przy pomocy rządu, 131 bez pomocy, 4 zrzekły się, reszta nie mogła dojść do zgody z właścicielami ziemskimi i prawuje się, wreszcie

g) na mocy prawa z dnia 21 (9) lipca 1886 r. 4027 osób zażądało przyznania im praw czynszowych, ale przyznano je tylko 58 osobom. Dane te stosują się do roku 1892; późniejszych niema.

Wprawdzie w urzędowym Pamiętniku gub. Kowieńskiéj na rok 1898 znajdujemy tablice, podział własności ukazowéj wedle powiatów, obszaru osad, oraz liczby włościan bezrolnych, ale te dane osnute są na wiadomościach dostarczonych przez urzędy gminne, zatém nie grzeszących zbytkiem ścisłości; wszakże w braku innych można nawet z nich wysnuć pewne wnioski, uwzględniwszy prawdopodobieństwo podzielenia osad, podanych jako całość niepodzielna, acz faktycznie podzielonych, tudzież, tudzież okoliczności inne. Wnioski wyprowadzone z tych danych w zarysach ogólnych są zgodne z prawdą, w szczegółach zaś—często rozmijają się z nią; dodać tu należy, że faktycznie ilość bezrolnych jest znacznie większą, niż ją podają urzędy gminne, albowiem w tę liczbę nie wciągają one włościan stale szukających zarobku w miastach. Tu podaję parę szczegółów o własności ukazowéj: gruntów użytkowych mają włościanie 1,597,380 dzies., czyli 95,31 %, a nieużytków 78,719, albo 4,69 %; dodam, że cały obszar lasów, stanowiących własność włościańską, wynosi tylko 1,471 dzies. t. j. włościanie prawie nie mają lasów; należące do nich zostały nadane byłym włościanom skarbowym przez akty lustracyjne.

Przytaczam tu tablicę, wskazującą ogólny podział osad chłopskich wedle obszaru gruntów, a stosujący się do gubernii całéj, było:

osad przenoszących 20 dzies. obszaru . .	34,503—29,4%
„ posiadających od 10—20 dzies. ob. .	27,525—23,5%
„ „ „ 3—10 „ „ .	27,997—23,9%
„ posiadających mniej 3 dzies. ob. .	26.825—22,9%
razem	116,850—99,2%

Są to dane urzędowe, zaczerpnięte z Pamiętnika gub. Kowieńskiéj na r. 1898 str. 66; pozwalają one wyprowadzić pewne wnioski... U nas wogóle uważa się, że 10 dzies. gruntu zapewnia w warunkach zwykłych przeciętną skalę dobrobytu zwyczajnéj rodziny włościańskiéj; jeżeli zastosujemy tę normę, to otrzymamy, że tylko 62,028 czyli 52,9% osad włościańskich można uważać za posiadające dostateczną ilość gruntów, zapewniającą zwykły *standard of life* rodziny chłopskiéj, ale ta liczba jest za wysoką, bo stanowczo można twierdzić, że znaczna ilość osad faktycznie podzielonych figuruje w poczcie niepodzielonych; wogóle badacze stosunków ekonomicznych ludu mniemają, że zaledwo 40%—45% osad włościańskich posiada dostateczną ilość gruntów, dozwalających nie szukać zarobków postronnych. Wedle nawet téj tablicy ilość osad włościańskich, mniejszych od 10 dzies., wynosi 54,822, czyli 46,8%, t. j. prawie połowę, w rzeczywistości—znacznie więcéj. Jeżeli liczbę włościan rolnych, którą otrzymujemy, odejmując od ich ogólnéj liczby ilość bezrolnych, t. j. 994,892—194,056 podzielimy przez ilość osad, t. j.:

$$\frac{994892 - 194056}{116,850} = \frac{800,836}{116,850} = 6,85$$

czyli przeciętnie na osadę włościańską przypada 6,85 osób; stosując tę przeciętną, otrzymamy, że liczba włościan nie potrzebujących zarobku postronnego, bo mogących opędzić swe potrzeby zwykłe z pracy nad gospodarstwem własném, będzie wynosiła:

$$62028 \times 6,85 = 424,891 \text{ osób czyli } 42,7\%,$$

albo innemi słowy tylko około 42%—43% ogółu włościan jest w dostatecznym stopniu zaopatrzoną w grunty, reszta musi z konieczności szukać zarobków postronnych! Warto tu dodać, że tych zarobków postronnych po za rolą prawie niema, albowiem przemysł prawie nie istnieje, ale i praca na roli może tylko pochłonąć pewną część wolnych rąk roboczych tak, że zawsze pozostaje ich nadmiar; to téż lud szuka zarobków daleko po za granicami kraju. Spotykano stowarzyszenia kopaczy z pow. nowo-aleksandrowskiego, pracujących przy budowie permsko-kotłaskiéj drogi żelaznéj, jak mi mówił jeden z jéj kierowników inżynierów! Wychodźstwo jest téż znaczne: za dowód mogą służyć np. takie fakty, jak znaczny procent ubytku ludności, zbyt wielka przewaga liczebna kobiét nad mężczyznami,

a zresztą i niejakie dane, zebrane w drodze prywatnéj przez niektórych księży proboszczów. Wedle rachunku komitetu statystycznego, opartego na przyroście naturalnym, ludność gub. kowieńskiéj w dniu 1 stycznia 1897 r. wynosiła 1,705,407, rzeczywiście zaś spis ludności z dnia 9 lutego 1897 r. dał 1,553,999, czyli o 151,408 osób mniéj; tę różnicę można wytłómaczyć tylko wychodźstwem. Co do ludności pow. poniewiezkiego, to ogłoszone są dane nieco szczegółowsze, a osnute na spisie powszechnym: wedle obliczenia, opartego na przyroście naturalnym ludności, winna ona była wynosić 120,757 męż. i 118,487 kob., czyli razem 239,244, w rzeczywistości zaś wedle spisu wynosiła mężczyzn 107,408, a kobiét 115,574, razem 222,982, czyli o 13,349 męż. i 3,913 kob., razem o 16,262 os. mniéj. „Ta różnica tłómaczy się tylko spotęgowaném wychodźstwem, które w ciągu ostatnich 20 lat odbywało się w całéj gubernii, a zwłaszcza w pow. poniewiezkim. Żydzi i liczni włościanie bezrolni całemi gromadami opuszczali kraj, a i teraz opuszczają go, udając się do Ameryki północnéj i południowéj oraz do Afryki. Niema ani wsi, ani miasteczka, w którychby wiele rodzin nie zaliczało swoich synów do emigrantów“ [1]) — mówi urzędowy Pamiętnik gub. Kowieńskiéj w artykule „Powiat Poniewiezki“ na str. 109.

I rzeczywiście: liczby emigrantów i emigrantek oraz ich stosunek wzajemny są zupełnie zgodne z prawdą, bo emigruje ogromna masa Żydówek, gdy natomiast Litwinki emigrantki stanowią zaledwo około 7-éj części ogółu wychodźców. Wedle spisu ludności, liczebny stosunek mężczyzn do kobiét śród ludności wiejskiéj okazał się niezbyt normalnym, bo na 100 mężczyzn wypada 107 kobiét, a w pow. telszewskim nawet—113! Ta okoliczność wskazuje na niewątpliwie znaczną ilość wychodźców, zwłaszcza z pow. telszewskiego, a poniekąd i rosieńskiego.

Brak szczegółowych danych, dotyczących wychodźstwa ludu, nie pozwala robić żadnych wniosków o zależności tego zjawiska od podziałów własności włościańskiéj oprócz jednego tylko, nasuwającego się samo przez się *a priori*, mianowicie: największe wychodźstwo istnieje w tych miejscowościach, w których najwięcéj znajdujemy włościan małorolnych, lub zupełnie bezrolnych.

Zdaje się, możnaby to było udowodnić, gdyby się posiadało więcéj danych. W każdym razie wychodźstwo z 2 najurodzajniejszych

---

[1]) Emigracya odbywa się przeważnie do państwa Kanadyjskiego (*Dominion of Canada*) i do kolonii angielskich w Afryce południowéj.

i najlepiéj zagospodarowanych powiatów, poniewiczkiego i szawelskiego, zwłaszcza z ich północnych części, graniczących z Kurlandyą a posiadających względnie wysoki stopień kultury rolnéj i bodaj wyżéj uspołecznione masy ludowe, niż w powiatach innych, jest mniejszém niż z powiatów telszewskiego i rosieńskiego, nie posiadających warunków podobnych.

Teraz podaję tu dla pełności obrazu tablice osad chłopskich, uklasyfikowanych wedle ich obszarów, potém zaś omówię wzajemne stosunki agrarne włościan. Zaczynam od pow. kowieńskiego:

osad przewyższających 20 dzies. obszaru	2,530—26,65%
„ posiadających od 10—20 dzies. obszaru	2,785—29,94%
„ „ od 3—10 „ „	2,114—22,73%
„ „ mniéj niż 3 „ „	1,863=20,03%
razem . .	9,292

powiat wiłkomierski:

osad przenoszących 20 dzies obszaru	4,794—26,19%
„ posiadających od 10—20 dzies. obszaru	5,685—31,06%
„ „ 3—10 „ „	4,044—22,09%
„ mających mniéj niż 3 „ „	3,777—20,63%
razem .	18,300

powiat nowoaleksandrowski:

osad przenoszących 20 dzies. obszaru	4,695—29,07%
„ posiadających od 10—20 dzies. obszaru	4,802—29,73%
„ „ 3—10 „ „	3,401—21,05%
„ mających mniéj niż 3 „ „	3,247—20,10%
razem . .	16,145

powiat poniewiezki:

osad przenoszących 20 dzies. obszaru	6,179—31,91%
„ posiadających od 10—20 dzies. obszaru . , . .	2,883—14,89%
„ „ 3—10 „ „	3,829—19,77%
„ mających mniéj niż 3 „ „	5,471—33,42%
razem . .	19,362

powiat szawelski:

osad przenoszących 20 dzies. obszaru	6,504—39,34%
„ posiadających od 10—20 dzies. obszaru	2,879—17,41%
„ „ 3—10 „ „	4,072—24,63%
„ mających mniéj niż 3 „ „	3,076—18,61%
razem . .	16,531

powiat telszewski:

osad przenoszących 20 dzies. obszaru		5,642—35,77%
„ posiadających od 10—20 dzies. obszaru		2,383—15,11%
„ „ 3—10 „ „		3,367—21,35%
„ mających mniej niż 3 „ „		4,378—27,76%
	razem . .	15,771

powiat rosieński:

osad przenoszących 20 dzies. obszaru		4,158—19,38%
„ posiadających od 10—20 dzies. obszaru		6,108—28,47%
„ „ 3—10 „ „		7,170—33,42%
„ mających mniej niż 3 „ „		4,013—18,71%
	razem . .	21,449

Teraz słów kilka o tém ugrupowaniu włościan, o którém można wnioskować na zasadzie tabliczek przytoczonych, nie zapominając jednak o ich przybliżonéj tylko wiarogodności. Wogóle proces rozwoju stosunków ekonomicznych doprowadził już do wyłonienia się z ogólnéj masy włościaństwa klasy zamożnych gospodarzy — włościan, z wielu względów bardzo zbliżonych do gburów zachodnio-pruskich; zowią ich z litewska „*gospodarisami*". Do téj kategoryi włościan trzeba zaliczyć właścicieli osad nie mniejszych od 20 dzies. obszaru; wogóle liczba takich osad wynosi 34,503, czyli 29,4%, ale w powiatach poszczególnych waha się: w pow. szawelskim wynosi ona 6,504, czyli 39,34%; jest to *maximum*, które da się wytłómaczyć tą okolicznością, że w tym powiecie było względnie dużo dóbr skarbowych oraz wielkich właścicieli ziemskich. Ostatnia okoliczność tłómaczy względnie wysoki odsetek takich osad w powiatach telszewskim (5,642—35,77%), poniewiezkim (6,179—31,91%), zwłaszcza w tym ostatnim; w jego części północnéj leżą bardzo rozległe dobra ordynacyi Birżańskiéj, a z przed czasów do reformy włościańskiéj ordynatem był Jan hr. Tyszkiewicz, który gorliwie troszczył się o materyalny i moralny dobrobyt ludu. [1]) Wogóle dla wielkich właścicieli ziemskich wielkie a zamożne gospodarstwa włościańskie

---

[1]) W katolickim kościele Birżańskim wmurowano w ścianę tablicę marmurową z następnym napisem litewskim: „*Tą paminklę giaros atmenos Grapuj Jonuj Tyszkiewiczuj tikimi ir mejlus Jo tarnej ir nominikaj zawo kasztu pastate. 1868*". Co w przekładzie brzmi: „Tę pamiątkę w dowód miłego wspomnienia hrabiemu Janowi Tyszkiewiczowi wierni i kochający go słudzy i domownicy swoim kosztem postawili 1868 r."

były o wiele dogodniejsze niż drobne wprost ze względów ekonomicznych i administracyjnych. Przy uwłaszczeniu włościan nadano im te grunty, które faktycznie posiadali oni w dniu 3 marca (19 lutego) 1861 r.

Tu téż należy nadmienić, że pomimo zakazów prawnych niemal równolegle odbywają się dwa procesy: koncentrowanie się własności ukazowéj—z jednéj strony, z drugiéj zaś—jéj rozdrobienie. Prawo pisane wzbrania alienacyi i sprzedaży gruntów nadanych, ale faktycznie prawo zwyczajowe w tych stosunkach bierze górę nad pisaném.

Włościanie bynajmniéj nie krępują się zakazami prawnemi, a praktyka życiowa wyrobiła pewne sposoby ich ominięcia. Niech w téj kwestyi za mnie przemawia p. Friedman: „Robi się to tak: sprzedający wydaje kupującemu notaryalny kontrakt dzierżawny na lat 12, z obowiązkiem wznowienia go po upływie pierwszego 12-lecia. Roczna opłata dzierżawna—to suma podatków, opłat i powinności naturalnych, które spłaca i spełnia sam dzierżawca... wedle umowy. Opłata dzierżawna za 24 lata wnosi się po zaświadczeniu kontraktu, na którym pisze się pokwitowanie z uiszczenia połowy sumy zapłaconéj; drugą zaś zabezpiecza oblig sprzedającego na imię kupującego z terminem 12-letnim; w dodatku wydają się obligi... w celu wykonania umowy. Po ukończeniu wykupu łatwo już będzie uzyskać uznanie prawa własności. Istnieje jeszcze inny sposób. Sprzedający wystawia na imię kupującego weksle, które on natychmiast zaczyna egzekwować, zwracając egzekucyę na grunt nadany; by umożliwić jego sprzedaż, wnoszą się do izby skarbowéj skapitalizowane opłaty indemnizacyjne i nabywa się grunt z licytacyi publicznéj. Konkurencyi zapobiega się przez sporządzenie fikcyjnego 12-letniego kontraktu dzierżawnego z opłatą uiszczoną z góry. W ten sposób—kończy p. Friedman—włościanie, acz drogą nielegalną, sprzedają swoje prawa własności do gruntów nadanych ukazem“. [1]). Do tych słów można dodać tylko tyle, że w czasach ostatnich praktyka sądowo-administracyjna utrudniła do *nec plus ultra* sposób drugi, ale pomimo tego praktykuje się on, acz znacznie rzadziéj niż uprzednio. Daléj znawcy stosunków ludowych twierdzą, że grunty wykupione przez włościan skoncentrowały się w ręku nielicznych gospodarzy, ale dowodów dostatecznych nie przytaczają na poparcie tego twierdzenia; obszar gruntów wykupionych wynosi

---

[1]) *Ibid.* str. 91—92.

26,584 dzies., czyli 1,52% ogółu nadanych. Odsetek gruntów wykupionych można poniekąd uważać za probierz zamożności włościańskiéj, bo nasi włościanie wszelkiemi siłami starają się je wykupić, by uwolnić z pod praw wyjątkowych, a uznać za własność ściśle prywatną, podlegającą prawom ogólnym. Najwięcéj ziemi wykupiono stosunkowo w powiatach kowieńskim (4,931 dzies.), poniewiezkim (5,914 dzies.), szawelskim (4,908 dzies.) i telszewskim (4,258 dzies.), w innych zaś—bardzo mało.

Drugą grupę włościan stanowią t. zw. gospodarze zwykli, posiadający od 10—20 dzies. gruntu; *minimum* tego obszaru dostatecznie zabezpiecza przeciętny *standard of life* zwykłéj rodziny włościańskiéj, ale po za tém tylko jednostki wyjątkowe mogą coś zaoszczędzić lub rozszerzyć skalę swoich potrzeb; śród téj warstwy trudno spotkać przykłady względnie wysokiego stopnia dobrobytu, ale téż nie można spotkać przykładów nędzy wyjątkowéj. Śród niéj zachowało się dużo dawnych a dobrych tradycyi, ale téż i ogromna masa wierzeń z dawno minionéj epoki; wpływy kulturalne oddziaływają na nią bardzo słabo, gdy natomiast wyższa warstwa włościańska zaczyna im ulegać stanowczo. Druga kategorya włościan, jak i pozostałe inne, wyróżnia się pieniactwem, gdy natomiast pierwsza stara się zawsze unikać nawet sądów gminnych; ta warstwa, o któréj mówię, w przybliżeniu posiada 27,525 osad, czyli 23,5%; w powiatach poszczególnych liczby te i odsetki bardzo się wahają; najwięcéj takich osad liczą w powiatach wiłkomierskim (5,685—31,06%), kowieńskim (2,785—29,94%) i nowoaleksandrowskim (4,802—29,73%) t. j. przeważnie w powiatach południowych, ściśle litewskich, natomiast w powiatach północnych liczba takich osad jest względnie niewielka; tam przeważają albo osady większe, albo małe i drobne; tylko pow. rosieński należy zaliczyć do kategoryi pierwszéj, albowiem ilość ta i odsetek wynoszą 6,108—28,47%, gdy natomiast w poniewiezkim tylko 2,883, czyli 14,89%!

Do grupy włościan małorolnych trzeba zaliczyć tych wszystkich, których osady wynoszą mniéj 10 dzies. gruntów, ale z pośród téj grupy wydzielają zwykle t. zw. kątników i dziesięcinników, t. j. włościan posiadających mniéj 3 dzies.; jest to dawna czeladź dworska, która została obdarzona ziemią w 1864 r. przez komisye weryfikacyjne na mocy osobnego rozporządzenia głównego naczelnika kraju. Do téj téż kategoryi należą zwykle byli żołnierze, którym dano grunty. Wogóle cała ta grupa włościan musi szukać zarobków postronnych, bo nie sposób utrzymać się z własnego gospodarstwa na kilku dziesięcinach, prowadzonego zresztą w sposób dość pierwotny.

Śród téj grupy włościan jest niezmiernie rozpowszechniony apetyt do ziemi, śród niéj najczęściéj można spotykać zwolenników „wspólnego władania i użytkowania“. Zdarza się, że do kilku dziesięcin gruntu pretenduje kilka osób na mocy prawa o wspólności władania i użytkowania. Rozpoczyna się proces; ostateczny wyrok skazuje na wspólne władanie i użytkowanie, ale pozostaje on bez wykonania, bo ostatecznie włościanie albo podzielą grunty, albo zrzekną się swoich praw na rzecz jednego z pośród nich za wynagrodzenie pewne. Bieda tylko, że takie zrzeczenia się nie posiadają ścisłego znaczenia prawnego, albowiem niejednokrotnie zdarzało się, że włościanin, który przed laty zrzekł się swoich praw za wynagrodzenie, stawał przed sądem, domagał się dopuszczenia do wspólnego władania i użytkowania i często zyskiwał wyrok odpowiedni. Nieco poniżéj przytoczę kilka przykładów spraw podobnych, tu zaś podam kilka faktów statystycznych, dotyczących włościan małorolnych.

Ogólna ilość osad mniejszych od 10 dzies. wynosi 27,997, czyli 23,9%, a włościan należących do téj kategoryi w przybliżeniu trzeba rachować prawie na 200,000; w powiatach poszczególnych odsetek ten jest różnym, największy spotykamy w powiatach rosieńskim (7,170—33,42%) i szawelskim (4,072—24,63%).

Tu téż podaję nieco danych statystycznych o kątnikach czy dziesięcinnikach, jak tu ich nazywają. Mamy ich 26,825 osad, czyli 22,9%, zatém w przybliżeniu około 190,000; najwięcéj kątników posiadają powiaty poniewiezki (6,471—33,42%) i telszewski (4,378—27,76%), inne—przeszło 20%, najmniéj zaś—pow. szawelski i rosieński, bo tylko przeszło 18%,

W zakończeniu słów parę o włościanach bezrolnych. Urzędowo narachowano ich 194.056 osób płci obojga, czyli 19,52%, w rzeczywistości zaś jest znacznie więcéj. W powiatach poszczególnych ich ilość wynosi: telszewskim—31,453 osób, czyli 23,97%, szawelskim—32,144 osób—22,82%, kowieńskim—17,575 os.—21,30%, poniewiezkim—32,605 os. — 21,06%, nowoaleksandrowskim—27,279 osób — 17,44%, wiłkomierskim—28,287 os.—16,33% oraz rosieńskim—24,713 osób—15,23%.

Wogóle trzeba rachować, że włościanie małorolni i bezrolni muszą z konieczności poszukiwać zarobków postronnych; ich liczba przenosi 1/2 miliona z górą, z których około 150,000 znajduje robotę w gospodarstwach dworskich, kilkadziesiąt tysięcy—w gospodarstwach włościańskich, reszta zaś żywi się, jak Bóg dał. Ten stan rzeczy tłómaczy aż nadto dobrze wychodźstwo, bo jego główna przyczyna—to brak zarobku, jak wskazują obserwacye.

III.

Uprzednio wspomniałem, że przytoczę kilka przykładów zatargów włościańskich w stosunkach agrarnych oraz—przykładów oddziaływania współczesnéj praktyki sądowo-administracyjnéj, przeprowadzającéj ściśle zasadę wspólnego władania i użytkowania na moralną stronę ludu. Zacznę od przykładów strasznéj zaciętości w sporach o ziemię, w których nawet uczestniczą niekiedy kobiety: w czasie zatargów granicznych żona właściciela rzuciła się z nożem w ręku na swą przeciwniczkę, ciężko poraniła ją i jedném uderzeniem wbiła nóż pod serce koniowi, którym orano grunt sporny (sąd gminny Wiewirżański, wyrok 1875 r. l. 50). W innéj znowu gminie kobiéta wskoczyła na sporny grunt z garnkiem roztopionéj smoły, którą wylała na głowę swego sąsiada (sąd gminny Skawdwilski wyrok 1872 r. l. 8). Litania podobna mogłaby być długą, ale i ta wystarczy, bo dość często czytamy w gazecie urzędowéj w rubryce wypadków: „N. N. w sporze o ziemię ze swym krewniakiem M. N. pchnął go nożem“.

Jeszcze tu jedna strona rzuca się w oczy: dzieci dorosłe często zmuszają rodziców przestarzałych do opuszczenia gospodarstwa i zrzeczenia się prawa własności, co nazywa się „osadzaniem na kącie“. Ten zwyczaj istniał oddawna, ale w czasach ostatnich zaczął praktykować się coraz częściéj a częściéj, bo dziś już synowie wiedzą, iż są współwłaścicielami gruntu nawet za życia ojca, który winien ich dopuszczać do tego; tak często wnioskują wieśniacy, owiani prądami chwili obecnéj. Dosadnie a obrazowo stosunek ten określa p. Gukowskij, sekretarz komitetu statystycznego; przytaczam jego słowa: „Rzeczywiście często zdarza się, że zaczynający starzéć się lub niedołężniéć gospodarz z własnéj woli, ale najczęściéj przymuszony przez dzieci, porzuca zupełnie swój grunt i swój własnemi rękami zbudowany dom i osiada „na kącie“. Budują mu dzieci chatkę na „kurzych nóżkach“, często przerabianą z chlewka, dają kawałek ogrodu, niejakie statki gospodarskie i wypraszają z chaty. Tak, niedawny gospodarz, samodzielny rządca wielkiego gospodarstwa chłopskiego, groźny głowa rodziny, któréj przyszłość była w jego ręku, staje się kątnikiem i bez szemrania wlecze smutny żywot, odrabiając przytém dzieciom po kilka dni tygodniowo, lub płacąc gotówką... za chatkę i ogród, t. j. za prawo odgrywania w pogardzie i ubóstwie roli starego wilka z bajki litewskiéj i wyczekiwania śmierci. Ale za to przedtém ojciec poniewierał dziećmi, trzymał je w kar-

bach żelaznych, jakby pragnąc dostatecznie nacieszyć się swoją powagą, jakopan domu i głowa rodziny, przewidując ciężki swój los na starość. I rzeczywiście: jeżeli gospodarz ma kilku synów, to trzyma ich w karbach żelaznych, traktuje gorzéj niż parobków; pomimo swéj zamożności, zmusza synów do pracy ciężkiéj, niemal niewolniczéj, nie dając im ani wynagrodzenia, ani prawa własnéj woli. W takim stanie trzyma on ich aż do 30—35 lat i wówczas tylko pozwala im, lub bywa zmuszonym pozwolić—ożenić się.. Rozumié się, że synowie, ukończywszy w 30—35 roku życia taką szkołę, stają się sami pełnoprawnymi gospodarzami, by potém podzielić los swoich ojców" (Pamiętnik gub. Kow. 1887 r. str. 352—353). By uniknąć tego losu, rodzice przestarzali uciekają się do różnych środków; jednym z nich jest formalna umowa z dziećmi, które zobowiązują się do wypłacania pewnéj sumy oraz wydawania ściśle określonéj ilości produktów, ale i te umowy, t. zw. wyderkowe, nie zabezpieczają losu rodziców, bo w sądach gminnych pełno skarg rodziców na dzieci, np. we włości Janiskiéj matka oskarża syna, który ją wypędził z chaty i morzył głodem; sąd włości Zagorskiéj: dwom synom dostało się 50 dzies. ziemi, ale mimo to wypędzili oni z chaty matkę staruszkę. Kobiéta ich oskarżyła; sąd ukarał, naznaczając matce sowite utrzymanie oraz lokal osobny (wyr. 1884 r. l. 143).

Niekiedy ojciec formalnie wydzierżawia grunty swoim synom, ale i te umowy dzierżawne nie zawsze bywają przestrzegane, jak to stwierdza praktyka sądów gminnych, np. we włości Popielańskiéj ojciec, wydzierżawiając synowi grunt, wymówił lokal, określoną ilość produktów, krowę i konia na wyjazd do kościoła (ks. umów 1894 r. l. 5.). We włości Gruździewskiéj ojciec wydzierżawia grunt—19,5 dzies.—dwóm synom na lat 12 z warunkiem uiszczania wszelkich opłat i podatków oraz wypłacania mu 18 rb. rocznie i wydawania ściśle określonéj ilości produktów (księga umów 1895 r. l. 5).

Rozumié się, że takie stosunki dzieci do rodziców tém bardziéj określają stosunki do dalszych krewnych w linii wstępnéj, ale bywają przykłady nawet znęcania się dzieci nad rodzicami, wywoływane materyalizmem pierwotnym, skąpstwem, które żałuje łyżki strawy i kąta ciepłego. We włości Kurszańskiéj znalazł się taki syn, który „wypędził matkę z chaty w czasie silnego mrozu i 4 tygodnie nie karmił", jak zeznali świadkowie; oćwiczono go (wyr. 1893 r. l. 15).

Nie dziw więc, że p. Gukowskij tak mówi o włościanach pow. szawelskiego: „Śród tutejszego włościaństwa najgrubszy materyalizm zagłusza wszelkie poczucie ludzkości, nie wyłączając poczucia pokrewieństwa. Gdy domiesza się choćby najdrobniejszy interes

materyalny, wówczas niknie wszelkie poczucie moralno-altruistyczne, wówczas człowiek dla człowieka staje się wilkiem, któremu (człowiekowi) bardzo często w osiągnięciu zysków materyalnych przeszkody stawiane przez prawo, a nawet religię, są niczém".[1]).

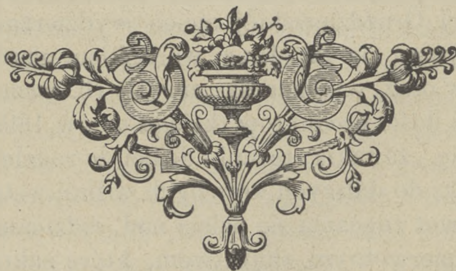
Wogóle ziemia w życiu ludu litewskiego posiada znaczenie olbrzymie; władza jéj niemal panuje nad wielu sferami życia ludowego. Nie dziw: jest ona prawie jedyną karmicielką i żywicielką ludu, który otacza ją niemal czcią religijną.

Posiadanie ziemi ma w oczach ludu znaczenie ogromne; złożyły się na nie i przeżytki wierzeń dawniejszych, dotąd bardzo żywe, i wiekowe tradycye ludu rolniczego, jak litewski, i okoliczności współczesne. Dotąd lud wierzy głęboko, iż ziemia jest jakby matką wszechrzeczy, istotą rozumną i moralną, która karze i nagradza swe dzieci. Ziemia rodzinna gra wielką rolę w życiu ludu: każdy pragnie być pogrzebionym w swéj „ziemi rodzinnéj"; często jéj szczyptę zabierają z sobą emigranci do Nowego-Świata, by w razie zgonu zasypano nią im oczy...

Jan Witort.

---

1) Pam. gub. Kow. na r. 1896, str. 152.



Teodor Fontane.



Jeden z najwybitniejszych współczesnych niemieckich publicystów opowiada o świeżo zmarłym powieściopisarzu co następuje: „Było to około 1875 r., kiedy pewnego dnia w Berlinie, na ulicy Potsdamskiéj, zwrócił uwagę moją nieznajomy mi mężczyzna. Odznaczał się szczupłością, wysokim wzrostem i pięknie zarysowanym owalem twarzy. Najwięcéj wszakże uderzały w nim dziwnie jasne oczy. Iście orli wzrok nieznajomego mężczyzny stał się powodem, że od czasu do czasu jego postać pojawiała się w mojéj pamięci. Wzrok ten przypomniał mi znanego, a nieznajomego, kiedym go poznał osobiście po latach paru. Był nim Teodor Fontane.

Długi szereg powieści, dzięki którym Fontane stanął w szeregu najlepszych beletrystów niemieckich, nie był jeszcze naówczas napisany. Właśnie w piśmie „Rodzina“ drukowaliśmy jeden z najpiękniejszych jego utworów „Przed burzą“, który wszakże ze względu na szerokość założenia nie zupełnie nadawał się do ogłaszania w piśmie raz na miesiąc wychodzącém. Nie znalazła téż powieść ta należnego uznania, mnie wszakże zajęła w najwyższym stopniu, skorzystałem więc z najbliższéj sposobności, ażeby się poznać z jéj autorem.

W podobnych razach doznaje się najczęściéj przykrego zawodu. Poeci i artyści wszystko najlepsze z siebie dają w dziełach swych, to zaś, co w nich pozostaje, nie bywa zwykle bardzo zajmują-

cém. Co innego zdarzyło mi się spotkać u Fontane'a; to co mówi, niczém prawie nie różni się od tego, co pisze. Nieraz żartujemy sobie z tego, że bohaterowie powieści prowadzą tak głębokie i zajmujące rozmowy, i mniemamy, że w życiu rzadko to się zdarza. Fontane z łatwością przekonałby każdego, że bywa inaczéj. Gdyby dało się wydrukować wszystko to, co w przeciągu godziny rozmowy wypowiedział, lubowaliby się czytelnicy niezwykle ciekawym feljetonem".

Klasyczną ziemią rozmowy ożywionéj, zajmującéj, jest Francya, to téż rodzice Fontane'a pochodzą z francuzkich kolonii, powstałych w Niemczech, za czasów prześladowań religijnych we Francyi. Ojca swojego nazywa sam powieściopisarz iście gaskońskim gadułą, rozpowiadającym z łatwością rozmaite historye, matkę zaś— łatwo ulegającém wzruszeniom, dziecięciem Sewennów. Tak więc Teodor Fontane i po ojcu i po matce odziedziczył fantazyę i temperament poetycki.

Rodzice jego, zniemczeni już zupełnie, mając tylko we krwi ślady pochodzenia, mieszkali pierwiastkowo w Nowym Rupinie, w Marchii brandeburskiéj, gdzie ojciec był aptekarzem. Tu w dniu 30 Grudnia 1813 r. urodził się Teodor Fontane i tu przeżył pierwsze lat dwanaście. Tu także głęboko zapadły w duszę po nad wiek rozwiniętego dziecka najpierwsze silne wrażenia marchijskich krajobrazów i ludzi, ziemię tę zamieszkujących. Nie omylimy się zapewne, twierdząc, że większa część postaci, które Fontane z tak nieprzepartą prawdą życiową skreślił w późniejszych latach, pojawiła się już w owych czasach na ścieżkach dziecięcego życia. Francuska krew, płynąca w żyłach młodego chłopca, ułatwiła mu zrozumienie tych ludzi, Marchijczycy bowiem są pod pewnym względem Francuzami śród Niemców. Ten szczep żołnierski nie ma w sobie nic z zapału, cechującego północnych Niemców, lecz nie odznacza się bynajmniéj chwiejnością, również ich właściwość stanowiącą. Jest to ród trzeźwy, w istocie uzależniający wszystko, podobnież jak Francuzi od rozsądku. To téż prawdziwy berlińczyk nie jest nikim innym, jak wielkomiejskim Marchijczykiem.

W roku 1827 przesiedlili się Fontanowie do Swinemünde. Warunki, w jakich znajduje się miasto nadmorskie, przybywanie i odpływanie okrętów, wreszcie inny zupełnie rodzaj spotykanych tu ludzi— wszystko to musiało wywrzéć niezwykle silne wrażenie na chłopcu, we wnętrzu kraju wyrosłym. Sam Fontane w bardzo zajmującéj i pięknie napisanéj książce: „Moje lata dziecinne" (F. Fontane & C-o, Berlin 1894) odtwarza rodziców swoich oraz otoczenie, w którém w Nowym Rupinie i w Świnemünde przeżył chłopięce lata. Zwłaszcza skreślony przezeń obraz ojca jest jedną z najbardziéj mistrzowskich chara-

kterystyk, jakie wyszły z pod pióra znakomitego powieściopisarza. Nic tu niema upiększonego, wszakże postać tego człowieka „lekkiéj myśli i lekkiego serca“, którą tu poznajemy, staje się dla nas tak miłą, jak zapewne miłą była dla wszystkich tych, co z nim razem szli przez życie.

Jeszcze w Nowym Rupinie wstąpił Teodor Fontane do gimnazyum, lecz był bardzo niedostatecznie przygotowany.

Zdaje się, że niezbyt w szkołach się wyróżniał. Przyszli poeci najczęściéj bywają złymi uczniami. Cokolwiekbądź, niebawem przeniesiono go do Berlina, gdzie począł uczęszczać do szkoły przemysłowéj. I tu jednak nauka nie szła w myśl rodziców, gdyż Teodor był i pozostał uczniem mniéj niż średnich postępów i pilności.

Dziwnym zbiegiem rzeczy na czele szkoły przemysłowéj stał naówczas dyrektor von Klöden, który właśnie wtedy pracował nad swojém wielkiém dziełem, poświęconém Quitzowom, nie przypuszczając zapewne, że z ładnego, marzycielskiego chłopca o błękitnych oczach, który mu wtedy tak mało, jako uczeń sprawiał pociechy, wyrośnie kiedyś bard jego ukochanéj Marchii.

Gdy Fontane ukończył lat szesnaście, odebrano go ze szkoły i oddano do apteki, w któréj sumiennie odbył lata praktyki i nauki. Rodzice, oddając go tam, mieli zapewne na myśli niemieckie przysłowie ludowe, twierdzące, że „z aptekarza wszystko wyrośnie“.

A nasz uczeń aptekarski, będąc jeszcze w szkołach, pochłaniał Walter Scotta i wszystkie nieśmiertelne postacie, stworzone przez wielkiego Szkota zaludniły jego fantazyę. Zresztą czytając pilnie, nie rzucał się na wszystko bez wyboru, tak że poezya, stanowiąca właściwość szkockich gór, łąk i pól, mogła się w jego duszy na zawsze zakorzenić. Zapadłe wtedy nasiona wydały późniéj niejedno czarowne kwiecie.

Z rozmaitych napomknień, rozsianych w „Moich dziecinnych latach“ wnosimy, ze Fontane już jako uczeń gorliwie wiersze pisał i ogłaszał je w wychodzącém naówczas „Berlińskiém Figaro“.

Po zgłębieniu tajników aptekarstwa udaje się on najpierw do Drezna, potém zaś do Lipska. Ostatnie z tych miast było, jak wiadomo, w czwartym dziesiątku bieżącego stulecia ogniskiem życia duchowego Niemiec. Wielu pisarzy mieszkało tam stale, inni przybywali od czasu do czasu na dłuższy pobyt. Młody Fontane wszedł w blizkie stosunki z Wilhelmem Wolfsohnem, Robertem Blumem, Jerzym Güntherem i Maxem Müllerem, który był naówczas studentem. Radykalizm polityczny, panujący w tém kole, nie miał w sobie nic pociągającego dla naszego romantyka marchijskiego. Dla

Fontane'a przez całe życie polityka była obcą, przytém zbyt wiele uroku miało dlań rycerstwo, ażeby miał zostać zdeklarowanym przeciwnikiem arystokracyi. Kto był czcicielem Zietena, Seydlitza i tym podobnych, temu musiały być obce ideje rewolucyjne. W roku 1844 powrócił Fontane do Berlina i stał się gorliwym członkiem znanego stowarzyszenia literackiego „Tunnel“. Zorganizowany przez Saphira, związek ten nabrał w owym czasie wielkiego znaczenia i liczył w swém gronie wszystkich prawie znakomitych mężów. Między innymi należeli tam obaj późniejsi ministrowie Henryk Friedberg i Henryk von Mühler, Gildemeister, hr. Moritz Strachwitz, Geibel, Kugler, Scherenberg, wreszcie Paweł Heyse. Niejeden piękny wiersz, zaliczony do klejnotów skarbca poezyi niemieckiéj, przedewszystkiém był odczytywany w „Tunnelu“.

Fontane znał Scherenberga jeszcze ze Swinemünde, wszakże przez długi czas nie nawiązywał się pomiędzy nimi bliższy stosunek. Dopiéro w 1850 r., kiedy Fontane na prośbę Scherenberga dopomógł mu przygotować do druku tom poezyi, zeszli się bliżéj i pozostawali w związku ścisłéj przyjaźni aż do śmierci Scherenberga.

Fontane po wstąpieniu do „Tunnelu" poznał się i zaprzyjaźnił z młodzieńcem, który napozór niewiele z piśmiennictwem miał wspólnego. Był nim B. von Lepel, oficer z pułku cesarza Franciszka. Niezwykle utalentowany i sympatyczny, urządzał w mieszkaniu swém, położoném w koszarach, gościnne przyjęcia dla całego koła; zwykle w wieczór obaj przyjaciele schodzili się tam, czytając to, co za dnia napisali.

W „Tunnelu“ odczytywano po raz pierwszy wiele z tych poezyi, które Fontane poświęcał pamięci pruskich bohaterów. Te z nich, które były wzorowane na starych pieśniach ludowych, odznaczają się istotnym tych pieśni czarem, utwory zaś, poświęcone staremu Derfflingowi, Zietenowi, Seydlitzowi i t. p. nie wywiérają bynajmniéj dodatniego wrażenia. Bez względu na patetyczny język i nieposzlakowaną doskonałość formy, w jaką je twórca przyodział, są one, prawdę rzekłszy, tak prozaiczne, jak i mężowie, których pamięć sławią. Dopiéro szkocki i skandynawski świat baśni dostarczył poecie materyału, z którym można było poczynać na dobre i z którego powstały wspaniałe ballady. Jakże pyszny jest „Archibald Douglas“—ta pieśń nad pieśniami, miłość ojczyzny sławiąca. Wygnany hrabia rzuca się przed polującym królem na kolana i błaga o łaskę. Lecz ten jest niewzruszony. Chwyta więc hrabia Douglas za cugle pańskiego rumaka i biegnie obok króla, Jeżeli monarcha nie wróci mu ojczyzny, niech go przynajmniéj zabije. Wte-

dy król Jakób zeskakuje z konia i wyciągnąwszy szeroki miecz z pochwy, nie spuszcza go, lecz rzecze do wygnańca: „Weź ten miecz i noś go i chroń mnie i mój spokój; ten jest w głębi duszy wiernym, kto tak jak ty ojczyznę kocha. Na koń! Śpieszmy do Linlithgow, a ty jedź przy moim boku, tam będziemy się bawić łowami, jak za dawnych czasów". Pieśń ta dzięki prześlicznéj muzyce, którą do niéj skomponowano, stała się bardzo popularną i sama przez się odznacza się niezwykłą melodyą wiersza — co od pierwszych strof począwszy, za serce chwyta. Jak wzruszającą jest daléj „Marya Duchatel". Przedewszystkiém budzi w nas podziw, jak mógł współczesny poeta tak podchwycić ton pieśni ludowéj. Wspaniałą jest także „Pieśń o Jamesie Monmouth". Coby dał za to poeta z epoki romantycznéj, gdyby mógł taki wiersz napisać! Niektóre ze szkockich ballad Fontane'a odznaczają się zbyt silną refleksyą, lecz większa część należy do arcydzieł w tym rodzaju. Prawdziwy poeta pełną piersią czerpał tu natchnienie z téj wiecznie żywéj krynicy.

Śród północnych ballad znajdujemy tak wspaniałe utwory, jak „Gorm Grymme" lub „Olaf Krageben". Jak grzmot fal północnego morza, huczy wiersz w naszém uchu, dzika poezya wikingowych pochodów znajduje w nim potężny wyraz. Ze współczesnych tylko jeden Moritz von Strachwitz umiał podobne tony powtórzyć. Naprzykład w „Starym admirale" z refrenem: „O ty moje huczące morze". Jeżeli znijdziemy od szkockich i północnych ballad ku wierszom, poświęconym pamięci generałów pruskich, to wydadzą nam się one rozpaczliwie jałowemi, w „Tunnelu" wszakże, w czwartym dziesiątku lat naszego stulecia, budziły one taki niekłamany zachwyt, że poeta odtąd zdecydował się wyłącznie literaturze poświęcić. W następstwie szczególnego upodobania, jakie żywił dla Anglii i piśmiennictwa angielskiego, postanowił gruntownie i to na miejscu ją przestudyować. Poznawszy w r. 1852 Londyn, cały czas od r. 1855 — 1859 w Anglii przepędził. Przedewszystkiém poznał dokładnie hrabstwa południowe. Tym właśnie latom zawdzięczamy szereg doskonałych przekładów angielskich pieśni oraz ballad.

W r. 1858 udał się Fontane wraz ze swym przyjacielem Lepelem w podróż po Szkocyi. Opis téj wędrówki, p. t. „Po drugiéj stronie Tweedu", wyszedł w doskonale napisanéj książce, niezwykle zajmującéj dla każdego szczerego miłośnika historyi szkockiéj. Te krajobrazy wyposażone po wszystkie czasy w czar romantyki przez geniusz Waltera Scotta, te dzieje porywające dzikością swą każdego człowieka obdarzonego duszą poetycką — znalazły w poe-

cie wielkiego talentu, jakim był Fontane, zapalonego miłośnika, który je z lubością maluje i rozjaśnia. Na niego samego wywarły one niezatarte wrażenie i świadomie czy nieświadomie starał się on zrobić dla Bredowów i Rohrów to, co szkoccy poeci uczynili dla Douglasów, Seytonów i Hamiltonów. Próba już z tego względu musiała być niefortunną, że te rodziny mają dotychczas tylko prowincyonalne znaczenie — fakt, którego nawet zmienić nie może stanowisko, jakie w dziejach świata zajęła ojczysta ich dzielnica.

Jeżeli ta próba okazała się bezowocną, w czém inném lępiéj poszczęściło się poecie. Tu w Szkocyi postanowił Fontane odtworzyć marchijską swą ojczyznę w szeregu obrazów, któreby dawały wierne odbicie natury kraju, jego mieszkańców i jego historyi. W przedmowie do pierwszego tomu swych „Wędrówek po Marchii brandeburskiéj“ sam o tém opowiada.

„Było to — mówi — w szkockiém hrabstwie Kinross, którego najpiękniejszym krajobrazem jest jezioro Leven. Śród tego jeziora leży wyspa, a w środku wyspy, napoły ukryte po za jesionami i sosnami, wznosi się stare zamczysko Douglasów w pieśniach i baśniach opiewane—Lochlevencastle. Są to już ruiny tylko, kaplica leży w gruzach na podwórcu zamkowém, a miast muru obwodzącego niegdyś zamek, ciągną się dokoła wyspy zarośla wierzbowe; lecz wznosi się jeszcze wieża, w któréj niegdyś była więziona Marya Stuart, i widać jeszcze furtę, przez którą Willy Douglas uprowadził królowę do zbawczéj łodzi, i pokazują jeszcze okno, z którego wychylała się stara lady Douglas, by ścigającéj łodzi oświecić pochodnią drogę i znaleźć ślady zbiegów. Płynęliśmy po jeziorze Leven i kiedy czyniła się dokoła nas coraz większa cisza i pustka, zbudziło się nagle w pamięci mojéj,jak sen, wspomnienie z przed wielu lat w podobnych warunkach odbytéj przejażdżki łodzią po jeziorze Rheinberskiém. Dwie siostry siedziały wtedy naprzeciwko mnie; starsza opuściła rękę w chłodną wodę, i oprócz głuchych uderzeń wiosła słychać było tylko cichy plusk fali, przeciskającéj się między palcami białéj ręki. W ustroni jeziora, stanowiącéj coś w rodzaju zatoki,przesunęła się łódź śród wodnych lilii, a woda tak była przezroczystą, żeśmy wyraźnie widzieli wyrastające z dna długie ich łodygi. Późniéj zwróciliśmy łódź w sitowie i pod gałęzie drzew parkowych, daleko nad wodę sięgające. Wreszcie zatrzymaliśmy się przy schodach na brzeg prowadzących, mając przed oczami zamek ze skrzydłami, wieżami, dziedzińcem i schodami i z kolumnadą dźwigającą balustrady i posągi marmurowe. Iluż uciech, iluż festynów świadkami były ten dziedziniec i ta kolumnada! Tu nad

tym dziedzińcem rozlegał się głos skrzypiec Grauna, wtórujących grze na flecie książęcego przyjaciela; tu przechadzali się Le Gaillard i Le Constant, pierwsi rycerze orderu Bayarda; tu w tęczowéj grze barw, z ironicznie zaostrzonemi dowcipami w zanadrzu, przesuwali się ambasadorowie wszystkich dworów, i ztąd wychodzili rozbawieni dworacy, próbując sił swoich na polach bitew i w cięższéj jeszcze walce z życiem. Z po za kolumnady jaśniały żółte ściany zamku w pełnym blasku dziennym, którego nie mącił żaden ton barwy romantycznéj, lecz i zamek i wieże, gdziekolwiek padały oczy, wszystko to nosiło na sobie wyraziste piętno historyczne. Po drugiéj stronie jeziora wysuwał się obelisk, głoszący w lapidarnym stylu dzieje wojny siedmioletniéj".

Oto mamy tajemnicę powstania „Wędrówek po Marchii brandeburskiéj" i zarazem próbę tego, jak Marchia w pracy téj odtworzoną została. Obszerne dzieło zawiera czarujące miejsca, lecz nie znajdujemy w niém „żadnego tonu barwy romantycznéj" przytém na książce ujemnie, naszém zdaniem, odbija się to, że Fontane stara się informować czytelnika o zbyt wielu rzeczach. Gdyby był utrzymał w pracy swéj wyłącznie historyczny charakter swych wędrówek po Marchii, każdy zwolennik tego rodzaju peregrynacyi z lubością by je odczytywał, lecz mieszanina, złożona z drobnych osobistych wydarzeń, opisów krajobrazów, inwentarzy zamkowych i rozpraw historycznych—nuży czytelnika. Tego rodzaju miscellanea są bardzo pożądane w feljetonie dziennika, lecz w książce, którą się kartka za kartką odczytuje, pożądaną jest nie tak różnorodna strawa. Nic więc dziwnego, że „Wędrówki po Marchii" o wiele mniéj są czytane, niż na to zasługują, i służą często za kopalnie, z których liczni korsarze pióra dobywają materyał dla swoich feljetonów. A jednak zawierają one oprócz krajobrazów, po mistrzowsku kréślonych, niejedną cenną rozprawę.

W r.1859 powrócił Fontane z Anglii do Berlina i wstąpił do redakcyi *Kreuzzeitung*, któréj stałym współpracownikiem był jeszcze podczas pobytu w Albionie. Dopiéro w r. 1870 zmuszony był do przerwania pracy, udając się z wojskiem niemieckiém do Francyi, zamierzał bowiem prowadzoną wojnę opisać w w większém dziele. W Dom Remy, miejscu urodzenia Dziewicy Orleańskiéj, wpadł w ręce wolnych strzelców i dostal się do niewoli francuskiéj. Odprowadzony na wyspę Oleron, opisał jeństwo swoje z wielką sztuką słowa w książce, p. t. „W niewoli wojennéj". Studyował jeszcze Francyę w czasach okupacyi i studyom tym książkę osobną poświęcił. Do-

piéro w r. 1876 zamknął „Historyą wojny 1870/71 r." szereg prac, krajowi temu poświęconych.

Fontane liczył już naówczas 57 lat, był więc w wieku, w którym większa część ludzi zamyka prace swe życiowe. Przysłużył się swemu narodowi szeregiem wspaniałych ballad i pewną ilością pięknych wierszy, zresztą działalność jego roztaczała się przeważnie na polu publicystyki. Napisał szereg książek, czyniących w świetny sposób zadość potrzebie czytelników w wyższym stopniu inteligentnych, którzy wymagają pouczającéj, zajmującéj i razem z tém w formę artystycznie piękną ujętéj, strawy duchowéj. A wszakże odtąd otwierało się dopiéro dla niego pole twórczości, do któréj był znakomicie uzdolniony i która świetnym laurem miała ozdobić jego skronie.

W r. 1876 rozpoczął Fontane pierwszą swoją powieść. Z dotychczasowego rozwoju jego talentu można było wnosić, że przedewszystkiém sił próbować będzie na polu powieści historycznéj. Wybrał czas poprzedzający bezpośrednio okres prowadzonych z Napoleonem walk o wyzwolenie... te gorące dnie, w których patryoci niemieccy zadawali sobie trwożliwe pytania, czy należy korzystać ze zniweczenia wielkiéj armii, czy téż upadek Prus za ostateczny uważać trzeba. Obraz tych czasów daje Fontane w powieści swéj „Przed burzą". Jest to utwór doskonały. Wszystkie stany zabierają tu głos, całość świetnie odbija nastrój współczesny, krajobrazy nakréślone są po mistrzowsku, cały szereg ludzi, w których autor umiał tchnąć prawdę życiową, przesuwa się przed naszemi oczyma. A jednak powieść nie zdobyła sobie należnego uznania Ukazując się w piśmie „Rodzina", cieszyła się, jakeśmy wyżéj powiedzieli,— zaledwie średniém powodzeniem. Jaki był właściwy powód tego.

Fontane nagle się przerzucił od feljetonu do powieś i. Nic więc dziwnego, że było mu obce zupełne opanowanie formy, czego powieść niezbędnie wymaga. Dawał zbyt wiele i nie umiał jeszcze wprowadzić należycie w bieg akcyi wszystkich osób w dziele tém występujących. Niejedno miejsce w powieści podziw i zachwyt budziło, całość wszakże nie była w stanie przykuć do siebie na stałe uwagi czytelnika. W wydaniu książkowém błędy te mniéj dawały się uczuć, ale przy ogłaszaniu powieści w piśmie peryodyczném dokuczały fatalnie.

Fontane wszakże był nietylko feljetonistą, lecz i twórcą ballad—i to mu pomogło do szybkiego zoryentowania się w nowém położeniu. Zaraz następująca z kolei powieść „Grete Minde" (1880) jest o wiele zwięźléj ujętą.

I „Grete Minde" jest powieścią historyczną, rozgrywającą się po dobnież na marchijskiéj ziemi; w jakich zaś czasach—daje się to określić tylko z ogólnych rysów. Kraj jest już ewangelicki, spotykamy w nim jednak jeszcze katolickie zakonnice. Jest to wielce charakterystyczném dla stanowiska, jakie Fontane zajmował wobec prac swoich. Nie zamierzał on bynajmniéj pisać powieści, obciążonych archeologicznym balastem. Trzyma się zaś tego, że ludzie w XVI wieku byli takimi ludźmi jak my, a Marchijczycy ówcześni niczém od dzisiejszych się nie różnili. To téż cofa bez ceremonii o cały tuzin pokoleń poczęte w jego wyobraźni poetyckiéj postacie, przyczém niewiele go to obchodzi, że noszono wówczas kaftany zamiast żakietów. Historyczne przybranie dawało mu pożądaną swobodę akcyi, a na tém głównie mu zależało.

Treść „Grety Minde" stanowią następstwa wykrytéj i nie dającéj już się usunąć krzywdy, wyrządzonéj osobie prawego charakteru, odznaczającéj się wszakże zapamiętałością. Bohaterką powieści jest tym razem kobieta, Grete Minde, córka znacznego obywatela tangermündskiego. Niezwykle wstrząsającą jest fabuła powieści: nieszczęśliwa kobiéta w przystępie obłąkania podpala rodzinne miasto i sama ginie w płomieniach. Jeden epizod wysnuwa się naturalną drogą z drugiego. Przy takiém założeniu i takich charakterach akcya w podobnych warunkach inaczéj rozegrać się nie mogła. Powieść ta jest właściwie przystosowaną do wszelkich reguł tragedyą i, jako taka, ma w orszaku swoim grozę i współczucie. Pomimo pogody i barwności poszczególnych epizodów, nad całością cięży jednostajny mroczny poważny nastrój; z dreszczem zgrozy dążymy śladem autora, który wszakże umié zatrzymać uwagę naszą na uwięzi, aż do straszliwego końca, przynoszącego zarówno winnym, jak i niewinnym zagładę.

Przy s osobności zauważyć tu należy, że Willibald Alexis, wielki marchijski poprzednik Fontane'a—nie wywarł na niego najmniejszego wpływu. Fontane, opowiadający z iście epickim objektywizmem, nie ma w sobie nic z subjektywnego romantyzmu Aleksisa, ani téż z jego balastu naukowego. Zresztą Fontane poznał Willibalda Alexisa dopiéro późniéj, już w czasach kiedy sam stanął krzepko na własnych nogach.

Następująca z kolei powieść „Ellernklipp" (1881) rozgrywa się w czasach, kiedy dzienniki nazywano jeszcze gazetami; akcya toczy się w Wernigerode i ma znowu przedmiot tragiczny. Stary leśnik w miłości ku swéj wychowance staje się rywalem własnego syna. Morduje go, a czyn zbrodniczy odkupuje potém samobój-

stwem. W powieści téj spotykamy wiele doskonale skréślonych postaci, jak racyonalistyczny pastor, nabożny owczarz, dwaj słudzy leśnika i stara hrabina; całość niezupełnie zadawalnia i stoi o wiele niżéj od „Grety Minde". Zamiast łączącéj się w iście epicki sposób akcyi, występuje tu psychologiczna „gra w chowanego", którą nieraz z trudnością zaledwie zrozumiéć można, co wielce ogólnemu wrażeniu szkodzić musi. I postać leśnika wydaje się błędnie skréśloną. Człowiek, jakiego nam autor stawia przed oczami, naszém zdaniem, nie byłby już po zamordowaniu syna poślubił Hildy.

„Ellernklipp" stanowi dla Fontane'a pod pewnym względem przejście od powieści historycznéj do współczesnéj. „L'Adultera" (1883) wprowadza nas już w najzupełniejszą współczesność. Pan radca handlowy, jego małżonka i Ruben są pod każdym względem postaciami z „końca wieku". Rodzina ta w ogólnych zarysach i w drobiazgach została wiernie z natury odtworzoną; ludzie ci, jak to ma miejsce w książce, zerwali w życiu tém z wszelką moralnością i nie liczą się z nią ni w wychowaniu, ni w konceptach. Wszystko to jest prawdziwe. Lecz prawda ta i rzeczywistość nie jest bynajmniéj pocieszającą, co zaś ważniejsza, wcale nie jest poetyczną. Powrócimy jeszcze do tego w inném miejscu.

Następująca z kolei powieść: „Schach z Wutenow" znowu jest historyczną. Bohatérem jéj jest oficer gwardyi, bohaterka zaś pochodzi z kolonii francuskich. Powieść ta jest arcydziełem subtelnego rysunku psychologicznego i po mistrzowsku odtwarza Berlin z czasów poprzedzających bitwę pod Jeną. Bohatér nędznie ginie w pierwszym większym konflikcie, do którego życie go doprowadza. Potrzeba było wstrząsającéj całym światem burzy na to, by tchnąć w tę cieśń świeże powietrze i naiwne zdrowe życie.

Rok 1885 przynosi powieść „Hrabia Petöfy", traktującą zręcznie i oryginalnie stary temat o starym mężu, młodéj żonie i przyjemnym kuzynku — oraz życiorys „Chrystian Fryderyk Scherenberg", który daje doskonałą charakterystykę tego poety i rzuca ciekawe świastło na życie współczesnych mu literatów berlińskich.

Rok następujący przyniósł doskonałe opowiadanie: „Pod gruszą". Z okazyi przestępstwa kryminalnego roztacza się przed naszemi oczami po mistrzowsku nakréślony obraz życia ludu marchijskiego, przyczém proces psychologiczny odznacza się godną podziwu konsekwencyą. Każda wprowadzona tu osoba występuje plastycznie i jest wyrazem najwyższéj prawdy życiowéj.

Podczas gdy opowiadanie „Pod gruszą“ nie wyszło po za krąg przyjaciół Fontane'a, następująca z kolei powieść: „*Irrungen und Wirrungen*“ stała się ważnym wypadkiem w świecie literackim. To czego młode Niemcy od wielu lat pożądały, a czego, z powodu zupełnego braku uzdolnienia w tym kierunku, dotychczas stworzyć nie mogły—powieść nie mająca żadnéj idei i pozbawiona wszelkiéj przyprawy poetyckiéj—zdawała się wreszcie być napisaną przez rzeczywistego poetę. Tém się téż tłómaczy zupełne uznanie ze strony młodych. Lecz i wielu ze starych przyjaciół Fontane'a, po pewném ociąganiu się, przyznało skończoną doskonałość prawdy życiowéj w opowiadaniu i dołączyło swój poklask. Inni znowu mniemali, napoły podziwiając Fontane'a napoły zaś go tłómacząc, że chciał on dowieść młodym, iż podobne zadanie dla rzeczywistego poety bynajmniéj trudném nie jest.

Treść powieści jest następująca: Młody oficer utrzymuje miłosny stosunek z dziewczęciem z ludu. Następnie „doprowadza do porządku“ swoje sprawy i żeni się z posażną kuzynką. Porzucona kochanka znajduje sobie męża, który nie tylko, że jest obojętny na jéj przeszłość, lecz udaje się jeszcze do oficera po pewnego rodzaju „referencye“ o niéj.

Dodać należy, że szczegół ten z wielkomiejskiego życia, jest tu oddany z najzupełniejszą prawdą. Istotnie, pojęcia o moralności tak są wielokrotnie w wielkiém mieście pomieszane, że ludzie godni zresztą zkądinąd szacunku, są pod tym względem czci pozbawieni. Jest téż zupełnie prawdziwém, że w podobnych warunkach rzecz się najczęściéj zupełnie obchodzi bez namiętności, co téż i w téj powieści widzimy.

I scenerya akcyi bywa zwykle zupełnie tak płaską i brzydką, jak w tym utworze Fontane'a. W saméj rzeczy jest to prawdziwe życie pewnych kół mieszkańców Berlina. Lecz czyż fakt ten przemawia za tém, by tego rodzaju ludzie nadawali się na przedmiot twórczości autorskiéj? Toż nie może być zadaniem powieści przeprowadzanie przed naszemi oczami wstrętnych dla nas, obdartych ze wszelkiéj poezyi indywiduów, i to w dodatku w zupełnie prawdziwéj ich postaci. Cóż nas zmusić może do czytania o nich, kiedy i tak już dość cierpimy, będąc zmuszonymi do spotykania ich w życiu?

Młoda para, która w gorącéj namiętności, pod czarem rozkwitającego kwiecia i cudnych pieśni słowiczych, traci panowanie nad sobą, może stać się przedmiotem naszego najgłębszego współczucia, lecz lejtenant, nawiązujący z mieszczańskiém dziewczęciem, na pu-

stym placu przy dźwięku orkiestry, co w poblizkiéj knajpie przygrywa, nie mający nic wspólnego z namiętnością stosunek, który snuje się daléj w towarzystwie podobnych jemu „kamratów“ i podobnych jéj „kochanek“ jest wprawdzie niestety postacią prawdziwą, lecz istotnie pod żadnym względem nie pociągającą.

Jaką drogą doszedł Fontane do tych „*Irrungen und Wirrungen*“? Introdukcyę do tego spotykamy już w „*L'Adultera*“. Właśnie tak subtelnemu obserwatorowi rzeczywistego życia, jak jemu, łatwo zdarzyć się mogło, że rozkosz jakiéj w tych obserwacyach nieświadomie doznawał, pozwoliła mu zapomnieć, że przedmiot obserwacyi nie zasługuje na nią.

I w powieści „Quitt“ odzywają się jeszcze echa ostatniego utworu Fontane'a, a mianowicie śród rodziny berlińczyków, przepędzających na Szlązku w ustroni wiejskiéj letnie miesiące. Zresztą „Quitt“ jest znowu doskonałą powieścią. Przejednanie ciężkiéj winy jest tu przeprowadzone poetycznie i porywająco.

Nadzwyczaj ciekawą jest także powieść: „Nie do powetowania“, zawiérająca historyę o hrabi holsztyńskim, który w płochéj atmosferze stolicy duńskiéj próbuje ze swéj strony być nieco płochym i dzięki temu niepowrotnie rujnuje szczęście swoje i swéj małżonki. Następująca z kolei powieść Fontane'a: „Pani Jenny Treibel” rozgrywa się w mieszczańskich kołach starego Berlina. Prawda życiowa, z jaką je autor odtworzył, jest znowu godną podziwu, lecz treść jest szorstka, a postacie w powieści téj występujące, cechuje nazbyt już wielka trzeźwość.

Nie wymieniam tu wszystkich powieści, które Fontane napisał, w każdym razie z długiego ich szeregu wyróżnić tu jeszcze należy ostatnie jego utwory: „Angiola Borgia“ i „Stechlin“ (1898). Jego wspomnienia skréślone na cztery lata przed śmiercią, p. t. „Moje lata dziecinne“, również należą, jak już o tém wspominaliśmy, do najlepszych utworów jego pióra.

Pomimo późnego wieku i sił steranych, Fontane nie ustawał w pracy do ostatniéj chwili. W d. 21 września r. z. atak sercowy położył kres jego pracowitemu i dobrze dla ojczyzny zasłużonemu żywotowi. Otoczony gorącém uznaniem całego narodu, największy po śmierci Auerbacha i Freitaga powieściopisarz niemiecki umarł— śmiało powiedzieć to można—z piórem w ręku.

Czego Fontane nie posiadał? Była mu obcą namiętność, któréj fala z serca autora bezpośrednio bije w serca czytelników i po-

rywa je za sobą. To, co nam daje, jest przedtém przecedzone przez chłód rozumnéj rozwagi. Nie można się temu dziwić, gdy się wspomni, w jak późnym wieku zabrał się do pisania powieści. Zresztą umié on opowiadać po mistrzowsku, z zupełną łatwością tworzy żywych ludzi i potrafi czytelnika zająć ich losem; ludzi zna Fontane doskonale, posiada wielki kunszt słowa i dyalogi prowadzi nadzwyczaj zręcznie oraz dowcipnie. Powieści jego, a zwłaszcza poezye, czyta się z wielkiém zadowoleniem i chętnie się do nich powraca.

T. P.



Rozbiory i Sprawozdania.

Dr. Piotr Chmielowski. Estetyka Mickiewicza. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. 1898.

Rozprawa niniejsza niestrudzonego pracownika na polu naszéj krytyki literackiéj jest, o ile wiemy, pierwszą próbą ujęcia w pewien system poglądów jakiéjś wybitnéj na polu piśmiennictwa jednostki na samą istotę poezyi i jéj rodzaje. Autor wziął tu sobie za zadanie uwidocznić, jakim stopniowym przeobrażeniom ulegały poglądy teoretyczne Mickiewicza w poezyi, które, jak twierdzi, nie pozostały bez wpływu na społeczeństwo.

Względnie do tego całą działalność Mickiewicza dzieli p. Chmielowski na 4 główne doby.

W pierwszéj z nich poeta hołduje jeszcze zasadom klasycznym. A że w owym czasie trzy głównie kwestye zajmowały naszych teoretyków: 1) określenie warunków dobréj epopei, 2) dobrego poematu opisowego i 3) dobréj tragedyi — w tych więc trzech kierunkach uwydatniły się poglądy Mickiewicza.

Co się tyczy zapatrywań Mickiewicza na epopeję, to najwięcéj materyału pod tym względem dostarcza nam jego rozprawa o „Jagiellonidzie" Dyzmasa Bończy Tomaszowskiego. Okazuje się, że pod tym względem poeta szedł za „prawodawcami estetycznymi", jak Dmochowski, Golański Filip Neryusz („O wymowie i poezyi",

edycya III, rok 1808), Karpiński („O wymowie w prozie albo wierszu"—rok 1783), Styczyński (recenzya poematu „Pułtawa“ jezuity Nikodema Muśnickiego w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1817) i t. d. Jeduém słowem, Mickiewicz w tych „Uwagach“ zostawał „w całkowitéj zależności od zasad, przyjętych wówczas u nas powszechnie, i żadnéj nie wyraził myśli, któraby dozwalała w nim dopatrzyć się przyszłego inicyatora nowego kierunku poezyi“ (str. 30).

W kwestyi poematu opisowego Mickiewicz w pierwszym okresie najlepiéj scharakteryzował swe poglądy w słynnym komentarzu do „Zofiówki“ Trembeckiego, o któréj wyraża się z prawdziwą czcią i uwielbieniem, nazywając ją arcydziełem i przeceniając wartość poematu i zasługi poety.

Zastanawiał się również Mickiewicz i nad dramatem, sam pisał kilka dramatów klasycznych, między innemi tragedyę „Demostenes“, ale poglądów swoich na dramat nie pozostawił.

W drugim okresie Mickiewicz występuje, jako bojownik romantyzmu, który do poezyi naszéj wprowadza. Uwagi jego, tyczące się romantyzmu, znajdujemy przedewszystkiém w „przemowie“ do pierwszego tomu poezyi, w któréj poeta nasz zależnym jest od wykładów profesora swego Leona Borowskiego, podręczników poetyki: Jana Joachima Eschenburga, p. t. „*Entwurf einer Theorie und Litteratur der schönen Wissenschoften*“ (1783, III edycya 1805), Fryderyka Bouterweka („*Geschichte der Poesie und Beredsamkeit seit dem Ende des 13 Jahrhunderts*“ Göttingen 1801—1819) i „*Aesthetik*“ 1806), oraz Jana Augusta Eberharda, autora „*Handbuch der Aesthetik für gebildete Leser aus allen Ständen, in Briefen* (Halle 1803—1805). Wreszcie w téjże przemowie dają się odnaleźć ślady wpływu Herdera, Grodka, F. Schlegla i pani Staël; zaznacza nakoniec p. Chmielowski, iż wszystkich tych cytowanych autorów Mickiewicz nie miał pod ręką, przytaczając ich z pamięci, niezawsze wiernie i dokładnie.

Zasady teoretyczne romantyzmu znalazły u Mickiewicza oddźwięk w jego rozprawie „Goethe i Byron“, w któréj według p. Chmielowskiego rozwinął 4 zasadnicze myśli: 1) narzekania teoretyków na wygasanie w ludzkości ognia poezyi są niesłuszne; 2) krytyka literacka powinna przestać być „szkolną“; 3) poezyę można rozdzielić na dwa wielkie rodzaje, t. j. na poezyę przeszłości i na poezyę czasów obecnych lub przyszłych; 4) w poezyi nowożytnéj reprezentantem historyczności jest Goethe, reprezentantem teraźniejszości — Byron. Pierwsze dwie myśli są powszechnie uznane, co do wartości dwóch ostatnich p. Chmielowski wyraża się z powątpie-

waniem, mówiąc, że trafniejszy byłby podział poezyi na przedmiotową i podmiotową, oraz iż przystałoby raczéj przeciwstawić Byronowi Walter-Scotta, nie zaś Goethego.

Najbardziéj krańcowym zwolennikiem romantyzmu Mickiewicz okazał się w rozprawie „O krytykach i recenzentach warszawskich“.

Rozprawie téj odmawia p. Chmielowski wartości naukowéj, nazywając ją „pamfletem“ i twierdząc, iż Mickiewicz dopuścił się tu wielu niesprawiedliwości, nieraz mimowolnych, zarówno pod względem pojedyńczych osób, jak i całych grup literackich; a co gorsza, rozprawa ta „rozpowszechniła niesłuszne sądy o całości literatury naszéj z początków XIX stulecia“.

W trzeciéj epoce Mickiewicz przetwarza teoryę romantyczną, przenikając ją to pierwiastkami mistycznemi, to realistycznemi. Wiadomości do téj epoki czerpać możemy już to z „Listów“ Odyńca, już to z luźnych artykułów, ułamków odczytów lozańskich i pierwszoletniego kursu literatury słowiańskiéj w kolegium francuzkiém.

Poglądy estetyczno-literackie Mickiewicza z téj epoki nie dadzą się wskutek fragmentarnego charakteru materyałów dostatecznie sformułować. P. Chmielowski zaznacza następujące punkty wytyczne: zwrot ku mistycyzmowi i religijności, myśl o zależności twórczości artystycznéj danego plemienia od warunków geograficznych i etnograficznych, przyczém poeta nasz wysoko stawia poezyę rzymską, dawniéj przez niego samego potępianą, daléj ideję postępu w literaturze wszechświatowéj, przyczém „odrodzenie“ i poczęści humanizm uległy ze strony poety ostréj krytyce; wreszcie w charakterystyce literatury słowiańskiéj Mickiewicz uwydatnia pracę nad wyrobieniem języka, ziemskość pomysłów w poezyi ludowéj i plastykę jéj stylu, nakoniec wybitny liryzm w poezyi Słowian i brak zupełny pierwiastku satyrycznego.

Co do pierwiastku realistycznego w téj epoce, to wykryć go można w zapatrywaniu Mickiewicza na istotę poezyi, która przedewszystkiém powinna odzwierciadlać „rzeczywistość i prawdę“; za przykład takiego szlachetnego realizmu służyć mogą niektóre sceny III części „Dziadów“, oraz cały „Pan Tadeusz“; względem romantyzmu zajął nawet Mickiewicz w tym okresie stanowisko krytyczne.

W czwartym okresie Mickiewicz oddał się cały wpływom mistycyzmu i Towiańskiego, co téż odbiło się w jego poglądach estetyczno-literackich. „Duch“ i bezpośrednia intuicya i „egzalta-

cya", według tych zapatrywań, powinny stanowić jedyne źródło natchnień; utwory literackie ocenia Mickiewicz w tej epoce według tego, o ile widocznym w nich jest pierwiastek mistyczny.

Rozprawę swą kończy p. Chmielowski następującemi słowy. „Mickiewicz, rozpocząwszy od przyjęcia pojęć tradycyjnych, zaakcentował następnie znaczenie uczucia i wyobraźni w twórczości artystycznéj, doszedł do zharmonizowania wszystkich potęg ucha zarówno pod względem treści, jak i formy, a w końcu nadał nadmierne, wyłączne znaczenie tym czynnikom, które mu, jako poecie romantycznemu, zapewniły władztwo nad duszami: uczucie rozżarzył aż do białości anielskiéj w egzaltacyi, wyobraźnię uduchowił i uskrzydlił do wzlotu w najdalsze, najniedostępniejsze dla zwykłych umysłów ludzkich dziedziny intuicyi boskiéj."

Rozprawa niniejsza jest rzeczą bardzo ciekawą, jako próba ujęcia w jeden system poglądów estetyczno-literackich Mickiewicza, i stanowi cenny bardzo przyczynek do dziejów rozwoju duchowego i umysłowego największego z naszych poetów.

Niewłaściwym tylko wydaje nam się tytuł niniejszego dziełka. „Estetyka" jest pojęciem zbyt obszerném dla treści rozprawy i naraża czytelników na pewien zawód; właściwie jest to „poetyka" lub „teorya poezyi" według zapatrywań naszego wieszcza, która stanowi tylko część „estetyki", jeden jéj dział—estetykę w poezyi.

H. Galle.

L. Tatomir. „Dzieje Polski". Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1898.

Niedawno pisaliśmy na tém miejscu o nowym podręczniku do historyi Polski, wydanym w „Bibliotece dzieł wyborowych" z przedmową Wł. Smoleńskiego. Obecnie mamy przed sobą drugi podręcznik do dziejów naszéj przeszłości. „Dzieje Polski" L. Tatomira—to tom sporego formatu o trzystu kilkudziesięciu stronicach z trzema tablicami genealogicznemi oraz 10 mapkami, wykazującemi rozległość państwa w różnych okresach czasu; te ostatnie, również jak i w poprzednim podręczniku, nie grzeszą zbytnią wykwintnością i staranném odrobieniem.

„Dzieje Polski" zaczynają się od ogólnego poglądu na dzieje przedhistoryczne słowiańszczyzny i powstanie państw słowiańskich, między innemi i Polski. Właściwą historyę Polski autor podzielił sza-

blonowo na trzy wielkie „epoki“: Piastów, Jagiellonów i królów elekcyjnych; te zaś epoki—na mniejsze „okresy“, których naliczył 11: 1) od króla Mieszka I do śmierci Bolesława III; 2) do Władysława Łokietka; 3) do ślubu Jagiełły z Jadwigą; 4) do wstąpienia na tron Kazimierza Jagiellończyka; 5) obejmuje panowanie Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra; 6) dwóch ostatnich Jagiellonów; 7) Henryka i Stefana Batorego; 8) dynastyę Wazów; 9) dwóch królów rodaków, Wiśniowieckiego i Sobieskiego; 10) od wstąpienia na tron Augusta II do pierwszego rozbioru (1773 r.); 11 wreszcie okres zawiéra w sobie panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego, od 1773 do 1795 roku.

Dziejów porozbiorowych autor nie dotyka; tylko na ostatniéj stronicy swego dziełka notuje zmiany, jakim ulegał podział ziemiami byłéj rzeczypospolitéj polskiéj od założenia Księstwa Warszawskiego w 1807 roku do skasowania Rzeczypospolitéj Krakowskiéj w 1846 r.

Tak się przedstawia całokształt dziełka p. Tatomira. Widzimy więc, że układ jego różni się podstawowo od układu podręcznika, wydanego staraniem „Biblioteki dzieł wyborowych“; kiedy bowiem autor tego ostatniego zwracał główną uwagę na bliższe nam czasy: dzieje Stanisława Augusta i porozbiorowe, p. Tatomir poświęca o wiele więcéj miejsca epokom dawniejszym, a w kréśleniu historyi ostatnich dwóch okresów nie wychodzi po za zwykłą normę „podręcznika“; porozbiorowe zaś dzieje, które w tamtym wykładzie zajmują tom cały, u p. Tatomira zostały zawarte na jednéj stroniczce.

Nie będę się spiérał z p. Tatomirem o podział na okresy; jest to kwestya drażliwa dla historyków, w któréj każdy chce coś nowego powiedziéć i zaznaczyć swą samodzielność. Nie wydaje mi się atoli potrzebném takie rozkawałkowanie historyi naszéj na kilkanaście cząstek, témbardziéj, że niejedną z nich możnaby zlać z innemi w jedną całość. Tak np. wyodrębnienie Henryka i Batorego lub Wiśniowieckiego i Sobieskiego w oddzielne okresy wydaje mi się co najmniéj zbyteczném.

Autor zwraca główną uwagę na zewnętrzne dzieje; nie pomija jednak milczeniem i wewnętrznego rozwoju. Kréśląc historyę jakiego okresu, przedewszystkiém podaje fakty z dziejów politycznych, potem przedstawia rozwój wewnętrzny Polski w danym czasie, wreszcie streszcza się w „poglądzie ogólnym“ na okres będący w mowie. Ta metoda, ściśle przeprowadzona w całém dziele, przed-

stawia niemałe zalety, zwłaszcza ze względów pedagogicznych, w myśl staréj a trafnéj zasady: *repetitio est mater studiorum*.

Co się tyczy sposobu traktowania materyału historycznego, to autor niniejszego dziełka daleki jest od owéj ścisłéj przedmiotowości, którą zaznaczyliśmy, jako wybitną cechę podręcznika, poprzedzonego przedmową p. Smoleńskiego. Podnosi on lub ocenia surowo działalność poszczególnych jednostek, lub wpływ tych lub owych kierunków politycznych, społecznych lub umysłowych. W ocenie téj idzie on po większéj części za Bobrzyńskim, który o ile się zdaje, stanowi podwalinę jego poglądów na przeszłość naszą dziejową, np. w zapatrywaniach na działalność wszystkich trzech Zygmuntów, Sobieskiego i t. d. Jednostkom, które według zdania autora, rzuciły cień na naszą przeszłość, nie szczędzi wyrazów wzgardy i oburzenia; np. Zbigniewa piętnuje mianem „niegodziwca“ (str. 33), chociaż postać jego nie jest dotychczas dostatecznie wyświetloną, a stronnéj apologii Bolesława III przez Gallusa zbytecznie dowierzać nie można.

W roździałach, zatytułowanych „Rozwój wewnętrzny“, autor przedstawia nam normy życia społecznego w formie skończonéj, skrystalizowanéj; nie czyni jednak żadnych uwag co do genezy tych norm, którą należało choć krótko omówić. Kreśląc np. obraz państwa Bolesława Chrobrego i rozlicznych klas, składających się na naród polski w owym okresie, nie zaznacza wcale, jaki mógł być początek i stopniowa ewolucya tych klas. Jest to wprawdzie kwestya sporna, lecz można było choć w przybliżeniu bieg téj ewolucyi nakréślić. Mówiąc o *liberum veto*, p. Tatomir nie zaznacza zależności tego prawa od samorządu ziem i ich dążności separatystycznych, co przyczyniłoby się do wyświetlenia należytego téj dziwacznéj napozór instytucyi.

W historyi reformacyi naszéj przy Zygmuntach należało uwydatnić bardziéj polityczny jéj charakter i logiczny związek z walką o sądownictwo duchowne, co odrazu wyjaśniłoby szerokie rozpowszechnienie reformacyi przy Jagiellonach i nagłe jéj stłumienie przez reakcyę katolicką przy Zygmuncie III i t. d.

Wskażemy jeszcze kilka drobnych usterek i niedomówień. Przedewszystkiém radzibyśmy usunąć z podręcznika cały szereg paragrafów, tyczących się historyi Rusi; znane one są już skądinąd, a stanowią tylką niepotrzebny balast dla uczącego się.

Daléj, nie zgodzilibyśmy się z tém, co autor mówi w § 8, iż „państwo polskie musiało o wiele wcześniéj powstać, nim je Niemcy wyprowadzili na widownię dziejową“ (str. 15); prawdopodobniejsze

jest przypuszczenie, iż właśnie napór Niemców popchnął bezradne rody słowiańskie do zorganizowania się państwowego.

Nie wiemy również, skąd autor wziął etymologię nazwy Wariagów od wyrazu wróg (str. 13); grecka transkrypcya tego imienia uwidacznia obecność w niém dźwięku nosowego, którego w wyrazie wróg trudno się dopatrzyć.

W historyi Bolesława Chrobrego p. Tatomir twierdzi, iż „swą gorliwością w szerzeniu wiary uzyskał on zezwolenie na koronacyę" od stolicy Apostolskiéj (str. 26); jest to rzeczą mocno wątpliwą—według wszelkiego bowiem prawdopodobieństwa kazał on się samowolnie koronować biskupom polskim wbrew woli cesarza i papieża.

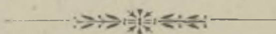
Mówiąc o przywileju w Jedlnie, nadanym przez Jagiełłę w 1433 roku, autor nie zaznacza, iż jednym z zasadniczych punktów téj konstytucyi było prawo *neminem captivabimus*, które w życiu społeczném XVI—XVII wieku odegrało rolę niemałą.

Wreszcie, dwa jeszcze uchybienia przeciw historyi literatury. Na str. 128 p. Tatomir utrzymuje, iż duchowieństwu winniśmy całe piśmiennictwo nasze XV w.; tymczasem zaś nie mówiąc już o bezimiennych autorach wierszy polskich świeckich, w XV w. mieliśmy takich wybitnych pisarzów nie duchowych i nawet antiduchowych, jak Ostroróg i Kallimach.

Druga uwaga dotyczy poezyi humanistycznéj czasów Zygmunta I. Twierdzi tu p. Tatomir, iż obok wierszopisów okolicznościowych mieliśmy wówczas jednego prawdziwego poetę łacińsko-polskiego, Klemensa Janickiego (str. 171); ale wszak miano „wierszopisa okolicznościowego" nie może stosować się do Jana z Wiślicy, którego „Wojna Pruska" jest jedyną próbą poematu łacińskiego, osnutego na fakcie z dziejów ojczystych.

Są to jednak drobne tylko usterki i nie zmniejszają one wartości dziełka, które dzięki swéj systematyczności i metodyczności w nauczaniu dziejów naszych może się okazać wielce pomocném. Nie wychodzi ono po za obręb kompilacyi dla użytku szkolnego, ale wszak i dobra kompilacya wielce użyteczną być może.

Henryk Galle.



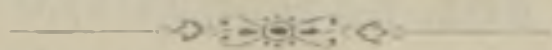
Nowości naukowe i literackie.

— **Matka**, powieść z życia ludu. Przez *Sewera*. Drukowana w „Kuryerze Warszawskim" i w jedném z pism krakowskich, ukazała się obecnie powieść Sewera w wydaniu książkowém, przeznaczoném dla ludu. Sewer jest jednym może wśród powieściopisarzy naszych, który, znając lud i kréśląc życie jego nie ze stanowiska optymistycznéj sielanki, potrąca przecież zawsze w utworach swoich struny jaśniejsze, nie daje obrazów ponurych i beznadziejnych, lecz jak gdyby akwarelową kolorystykę, delikatną a barwną. Nietyle materyalne położenie włościanina, co jego stany psychiczne zajmują uwagę autora. Dla włościan będzie to chyba najprzyjemniejszy rodzaj lektury, odnajdują bowiem typy dobrze im znane, ale uczucia i sytuacye niepowszednie, choć prawdopodobne i możliwe. Nam zaś odsłania Sewer takie struny wieśniaczéj duszy, których nie podejrzewalibyśmy może inaczéj, a które dźwięczą w niej niekiedy, choć naturalnie dźwięk ten musi miéć barwę odrębną, instynktywną nie wyrobioną, a więc może świéższą i piękniejszą, niż u ludzi z innéj sfery.—W „Matce" autor miał specyalnie wdzięczny, z życia wzięty temat, należało prawie fotografować i poetycką intuicyą powiązać pojedyńcze obrazy; stworzył téż prawdziwą perełkę, obrazek rzewny, świéży i prosty. Uczucie macierzyńskie występuje tu w najdodatniejszych, całkiem nieegoistycznych przejawach. Matką jest prosta włościanka galicyjska z okolic podgórskich, która nie umie nawet pisać. Czyta przecież i posiada skarb, czarną księgę zamykaną na klamry, a obejmującą żywoty świętych. Ta to księga, któréj nauczyła się prawie na pamięć, nadaje jéj we wsi powagę, a wzorowana na niéj wymowa przekonywa męża i kierować pozwala przyszłością dzieci. Zresztą są inne, ważniejsze jeszcze czynniki, które tę prostą kobiétę otaczają aureolą wyższości—silne i wielkie uczucie macierzyńskie i równie wielki pociąg do umysłowéj pracy, który w duchowém życiu widziéć każe najwyższe dobro dla dzieci. Jest to więc matka idealistka i nowatorka, która synów pcha do szkół, nie dla przyświécającéj zwykle włościaninowi nadziei karyery miejskiéj, ani nawet dla poświęcenia ich stanowi kapłańskiemu. Ona poprostu chce, aby wiedzieli to, o czém ona tylko marzyć mogła, i żyli życiem dla niéj niedostępném, a umiłowania godném. Z Chrystusowém zaparciem się siebie zdobywa pracą

środki na naukę dla dzieci, a wiarą w pomoc z nieba bezwiednie oddziaływa na otoczenie. Mąż, zwykły chłop, uczciwy i pracowity, stawia z początku opór, ale ugina się przed wyższością żony, jéj słodyczą i wiarą i zgadza na oddanie obu chłopców do miasta. W młodszym wcześnie budzi się talent poetycki, a powieść jest historyą młodości jednego z obiecujących dziś już poetów. Ciekawém jest, jak chłopcy, przyjeżdżając ze szkół na wakacye i przywożąc książki (Szekspira i Słowackiego), które sami jeszcze niezupełnie rozumieją oddziaływają na matkę, podnoszą ją umysłowo i nie tracą styczności z jéj wrażliwą inteligencyą. Pomimo braku realistycznych szczegółów, które towarzyszyć musiały niechybnie w postaci utrapień życiowych dziejom rodziny, powieść pociąga prawdą i szczerością i wielkie robi wrażenie; uczucie macierzyńskie kryształowe i szlachetne, niezmącone próżnością półcywilizacyi, drga w niéj od pierwszéj do ostatniéj strony. *zd.*

— **Ludwika Godlewska (Exterus): „Kato“.** (Powieść współczesna w dwóch tomach. Warszawa. Nakładem redakcyi „Głosu“, 1899, str. 318 i 236). Wobec powstrzymywania się krytyków warszawskich od oceny ostatniéj powieści Ludwiki Godlewskiéj, p. t. „Kato“, trudniéj przychodzi zabierać głos pismu, które—że się tak wyrażę—wprowadziło w świat beletrystyki wspomniany utwór. Zaprzeczyć się jednak nie da, że już w piśmie naszém praca Exterusa zwróciła na siebie uwagę czytelników dla świeżości pomysłu i staranności w opracowaniu, które to zalety powiały z pierwszego feljetonu, zawartego w zeszycie „Ateneum“ za styczeń 1897-go roku. Ażeby więc spełnić nasze zadanie i uniknąć zarazem posądzenia o chwalenie tego, co nasze, poprzestajemy tylko na wzmiance, chociaż powieść bezwątpienia na szerszy zasługuje rozbiór. Jest jeszcze i drugi powód, dla którego skromniejsze miejsce ocenie dać musimy, a tym jest znana czytelnikom treść powieści, którą pomijamy. Lecz w téj treści leży wielka utworu zaleta: w niéj zawarła autorka kartę życia prawdziwą, gdyż wspartą na spostrzeżeniach dokładnych. Bohaterowie, dopiéro występujący do walki, pełni świeżych sił, wiary i młodzieńczego zapału, stają przed czytelnikiem w oświetleniu jasném. Wśród nich na pierwszy plan wysunięty Andrzéj Krępic, przez kolegów swoich Katonem nazwany. Miano to dostał dla swoich zasad, mieszczących się w zdaniu nie mędrca, lecz matki swéj, kobiéty prostéj z odrobiną

inteligencyi, a sercem prawém i myślą nieskalaną,—w zdaniu, które synowi zostawiła konając, jako jedyną po sobie spuściznę—w słowach z ostatniém błogosławieństwem przelanych na głowę Andrzeja: „W życiu jest dużo dróg krzywych, ale tylko jedna prosta“. Krępic żył temi słowami! one były mu pokrzepieniem w trudach i biedzie. Słów tych on się nie wyrzeknie, nie zapomni, dopóki pamięć matki żyć będzie w jego umyśle... Filozofia Krępica, na takich oparta podstawach, dała mu sumę przykrości przewyższającą sumę, chwil szczęścia. On jednak nie zszedł z drogi! Zatęsknił serdecznie za sercem, któreby go zrozumiéć i pokochać mogło i znalazł je w „uosobieniu białości i niepokalania“, w osobie panny Emilii Oletowiczównéj. Korzystnie byłoby przeprowadzić analizę téj postaci. Z życiem tych dwojga związany i najbliżéj Krępica stojący jest Zygmunt Znamieniecki—„ostatni z romantyków“. Ten przyjaciel i towarzysz zdepce szczęście Andrzeja, sprowadzi niespodziane gromy na jego głowę i osieroci go przez rozwód z żoną. Krępic w owéj chwili zdaje się być z granitu, przeżyje i przecierpi, lecz żonie odda wolność, szanując w niéj przedewszystkiém człowieka. Niepodobna mi w zakréślonych ramach przejść całéj galeryi osób, biorących udział w powieści. Zwrócić wypadałoby uwagę na otoczenie Krypica, t. j. jego kolegów, na rodzinę panny Emilii, tak plastycznie odtworzoną, na starego Znamienieckiego; wspomniéć należałoby i o figurach dalszych, bo wszystkie na to zasługują, gdyż widzimy je dokładnie... Jeżeli plastyka w odtworzeniu postaci jest pełna zalet w omawianéj pracy Exterusa, to i strona opisowa bynajmniéj skromnie w cechy dodatnie uposażona nie została; świadectwem tego niechaj posłuży styl i język. Dlatego „Kato“ jest utworem większéj wartości i przynosi autorce chlubę. Powieść poświęcona w dowód czci Piotrowi Chmielowskiemu. *L. R.*



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 5 Января 1899 года.